



**Penelope Lively**

**FOTOGRAFIA**

Kath wyłania się z szafy na półpiętrze, gdzie w ogóle nie powinno jej być. Szafa jest wypakowana papierzyskami niskiej użyteczności, jak nazywa je Glyn: stare materiały z konferencji i sympozjów, rozprawy, studenckie referaty, przedruki, odbitki z książek i pism naukowych, a wśród nich, ma nadzieję, ta, której potrzebuje do swojego nowego artykułu. Warstwy, przez jakie przekopuje się w czeluściach nie otwieranej od wieków szafy, pamiętają czasy jego studiów. Nie układają się jednak w żaden porządek. Przeciwnie, wydają się bezładnie wymieszane, najwyżej zestawione w samotne pary. Wygniecione szpalty „Przeszłości i Teraźniejszości” podpierają stos postrzępionych teczek, z których już się coś wysypuje. Glyn przerzuca kartki, zapomniani studenci spadają z półki i kładą się u jego stóp z wyrzutem: „Wkład Susan Cochrane w prace seminarium należy ocenić jako marginalny...” Starannie opisane pudełka z fotografiami lotniczymi — „Lotnicze: Bishops Munby 1976, Leeds 1985” — wciśnięte między następne rzędy teczek. Próba wyciągnięcia jednej z nich ruszy lawinę; Glynowi przypomina się zabawa w wyjmowanie klocków z pięter wysokiej wieży. Za nimi, kątem oka, spostrzega jeszcze jedną teczkę, w której mogłaby się kryć potrzebna mu odbitka.

Patrzy na półkę wyżej. Dostrzega tam grawerowany złotymi literami grzbiet własnej rozprawy doktorskiej. Zielona tkanina oprawy zdążyła już na brzegach wypłowieć i zbrązowieć. Na rozprawie piętrzy się stos numerów „Pisma Archeologicznego w Yorkshire” z lat osiemdziesiątych. Jeśli się głębiej zastanowić, to można dojść do wniosku, że zawartość szafki na półpiętrze odzwierciedla całe jego życie zawodowe; to rozległy krajobraz, w którym, mimo pozornego nieładu, wszystko harmonijnie współgzystuje i wymaga nader fachowego demontażu. Ale coraz bardziej zirytowany poszukiwaniami Glyn zbytnio się nad tym nie zastanawia.

Chwyta za teczkę. Przyciąga ją do siebie, by zajrzeć, co kryje się na jej spodzie; rusza lawinę. Rozdrażniony pada na czworaka, wściekle zaczyna przebierać w bałaganie, zgarniać wszystko na jedną chwiejną, rozlazłą hałdę i właśnie wtedy, nagle, objawia się Kath.

Duża, brązowa tekturowa teczka, zamknięta w narożnikach naciągniętymi gumkami, na której w poprzek ciągnęły się nabazgrane przez Kath koślawe litery: *Nie wyrzucać!*

Uśmiecha się do niego; widzi jej ciemną, krótką grzywkę, jej oczy, uśmiech.

Co tu robi, w samym środku bałaganu, który nie ma z nią nic wspólnego? Glyn bierze teczkę do ręki, podnosi do oczu. Nie ma pojęcia, jak się tu znalazła. Pozbył się przecież wszystkich rzeczy po niej. Wtedy. Kiedy ona. Kiedy.

Zaraz, zaraz. Pod teczką widać jakieś skoroszyty i znowu rozpoznaje jej pismo: *Przepisy*. Na miłość boską, kiedyż to Kath poważnie traktowała kwestie kulinarne? Otwiera skoroszyt i przegląda zawartość. Rzeczywiście, przepisy sukcesywnie wycinane z gazet końca lat osiemdziesiątych, ale ich kolekcja szybko się urywa — bardzo symptomatyczne. Zagląda do drugiego skoroszytu, znajduje za-

płacone rachunki, wiele opatrzonych znakiem czerwonej flagi, to powtórne wezwania do zapłaty — również bardzo symptomatyczne. Jeszcze zbiór wyciągów bankowych wskazujących na przekroczone limity debetowe.

Wydaje się, że ów niewielki asortyment jej rzeczy trafił tutaj przez przypadek, wraz z innymi papierami, podczas tamtych wielkich porządków. Pośpiesznych i nerwowych. Elaine zaoferowała pomoc, miała przejrzeć i wyrzucić rzeczy po Kath. Na półpiętro jednak nie dotarła. Pozostały więc w szafie na dobre, psując się, łapiąc jakiś osad, pleśń.

No, może nie zaraz pleśń. Po prostu brązowieją na brzegach i narożnikach, uparcie poddają się unicestwieniu, jak wszystko wokół, jak każdy nieożywiony przedmiot podlegający przemijaniu, zmuszający do chwili zastanowienia; także tych, którzy zawodowo zajmują się odnajdywaniem pejzaży zagubionych w czasie.

Teczka jest brązowa, więc dotknięte zębem czasu brzegi nie rzucają się nawet w oczy. Glyn kładzie skoroszyty na podłogę i siada na szczycie schodów z teczką w rękę.

Otwiera ją.

W środku są różne stare dokumenty i zaklejona brązowa koperta, w której najwyraźniej znajduje się coś sztywnego. Na razie Glyn odkłada kopertę na bok i przerzuca pozostałe rzeczy.

Jubilerska wycena podwójnego naszyjnika z pereł i pary kolczyków z perłą. Należały kiedyś do jego matki, przypomina sobie. Kath często je nosiła.

Jej książeczka zdrowia. I akt urodzenia. Aha! Więc tutaj leżał ten cholerny akt, którego brak nieustannie dawał się im we znaki, a w końcu zmusił ich do wyprawy po oryginał do Somerset House\*. Brakowało im wtedy także aktu ślubu. Ten również się nie odnalazł i też przysparzał im ciągłych kłopotów. Zresztą aktu ślubu nadal nie ma, tyle że komu to teraz potrzebne...

\* Centrum kulturalne w Londynie, do niedawna także archiwum dokumentów stanu cywilnego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Końcowe świadectwo z gimnazjum. Siedem przedmiotów. Poza jednym same piątki. Glyn patrzy z niedowierzaniem. Ho, ho, ho. Kto by pomyślał?

Zalecenie, które widniało na skoroszytcie, najwidoczniej Kath adresowała do siebie samej. Była to dla niej przechowalnia rzeczy, których nie mogła wyrzucić, a które — znając siebie — obawiała się zgubić. Poczul, jak wzbiera w nim czułość; wprawilo go to w lekkie zakłopotanie. Zupełnie zapomniał, że pilnie szuka odbitki artykułu. Czułość szybko ustąpiła zdenerwowaniu; Kath przeszkadza mu w pracy, nie powinna tego robić i dobrze o tym wiedziała.

Jest jeszcze narodowe świadectwo udziałowe z połowy lat pięćdziesiątych, na sumę pięciu funtów. Rany boskie, przecież wtedy miała jakieś osiem lat. I jeszcze parę blankietów ze starej książeczki

czekowej, i pocztowa książeczka oszczędnościowa z wkładem na sumę czternastu funtów i pięćdziesięciu ośmiu pensów, i pakiet listów, na które z zaciekawieniem rzuca okiem. Listy od matki, która zmarła, gdy Kath miała szesnaście lat. Glyn nie jest nimi zainteresowany i wpycha je z powrotem do skoroszytu.

Została mu jeszcze półprzezroczysta teczka, w której znajduje serię jej zdjęć portretowych. Kath patrzy na niego z czarno-białych połysków, w sposób, który wydaje mu się teraz tak otwarty i oczywisty. Młoda Kath. W smudze światła, z gołymi ramionami, z głową zwróconą raz w jedną, raz w drugą stronę, patrzy w obiektyw lub spuszcza skromnie oczy, a na twarzy albo lekko prowokujący uśmiech, albo spojrzenie pełne zadumy. Bardzo młoda Kath.

Glyn przygląda się fotografiom dobrą chwilę.

Kath.

Wkłada wszystko z powrotem do teczki. Pozostaje jeszcze, odłożona wcześniej na bok, brązowa koperta. Dopiero teraz zauważa, że coś jest na niej napisane. Znowu jej charakterem pisma. Miękkim ołówkiem, delikatnie.

NIE OTWIERAĆ - ZNISZCZYĆ.

Do kogo tym razem adresowane jest zalecenie?

Otwiera kopertę. W środku fotografia i złożona kartka papieru. Najpierw spogląda na zdjęcie. Grupa pięciu osób; pod ich stopami zieleń trawy, za plecami kurtyna lasu. Mężczyzna i kobieta stoją odwrócenymi plecami do obiektywu. Wśród pozostałej trójki Glyn rozpoznaje Elaine. Stoi między obiema odwróconymi postaciami. Obok niej inna para, której Glyn nie potrafi rozpoznać.

Jedna z osób stojących tyłem to Kath — wszędzie poznałby tę sylwetkę. Jednak mężczyzna obok niej to, na pierwszy rzut oka, zagadka. To z pewnością ktoś mu znany; dłuższe, ciemne włosy, człowiek wysoki, postawny, co najmniej o głowę wyższy od Kath. Lekko przygarbiony.

Glyn zbliża zdjęcie do oczu, przypatruje się minutę dłużej. Wreszcie widzi. Dłonie. Kath i tego mężczyzny. Zamknięte w uścisku dłonie, zaciśnięte palce, splecione, schowane za plecy. Osoby stojące do nich przodem nie dostrzegają tej chwili intymności; dla grupy dotyk pozostaje niewidoczny.

Z wyjątkiem fotografa, który być może jest świadom tego, co uwiecznił — objawienie zatrzymane na klatce błony filmowej.

Nagle Glyn rozpoznaje drugą osobę, mężczyznę. To Nick.

Wolno przenosi wzrok na złożoną kartkę papieru, która towarzyszyła zdjęciu. Czuje, jakby dopadła go jakaś obezwładniająca, dusząca choroba, ale już wie, że musi do tej kartki zajrzeć.

Ręczne pismo. Krótki liścik: „Nie mogę się oprzeć i wysyłam. Wiem, że negatyw jest zniszczony. Ściskam, kochanie”.

Bez podpisu. Nikomu jednak podpis niepotrzebny. Ani wtedy Kath, ani teraz Glynowi. Tylko pewność potrzebna, jakieś potwierdzenie. Z pewnością znajdzie gdzieś wzór jego pisma. Jego podpis.

W jakimś liście z dawnych czasów, kiedy Nick zrobił go konsultantem, czy kimś równie nonsensownym, przy produkcji albumów z historii pejzażu, które wydawał i którymi się zachwycił, zanim jeszcze powstały; jak to Nick.

Czuje, jak zniewalająca choroba chwyta go za gardło. Gardło, trzewia, jądra. Czuje... nie, doświadcza strasznego, bolesnego palenia w żołądku, zawrotów głowy, która jest jak kocioł wrzących emocji. Niepojęty gniew na pierwszym miejscu, a pod nim kipiel zazdrości i upokorzenia — wszystko spięte wściekłym prądem rwącej gdzieś energii. Gdzie? Kiedy? Kto? Kto zrobił to zdjęcie? Kto przekazał je Nickowi i zniszczył negatyw?

Dzwoni telefon, na dole w gabinecie. Glyn jest tak rozogniony, tak pochłonięty nowym odkryciem, że błyskawicznie zrywa się na nogi, zbiega z półpiętra, porywa słuchawkę i wyrzuca z siebie krótkie:

— Nie mam czasu. Przepraszam.

Niestety, nie mogę teraz poświęcić panu ani minuty, ponieważ właśnie się dowiedziałem, że kobieta, która była moją żoną, miała romans z mężem swojej siostry — choć, tak, to wymaga jeszcze potwierdzenia. Najwyraźniej fujara ze mnie, najwyraźniej potworny matoł, najwyraźniej rogacz. Zupełnie inaczej widziałem własną przeszłość; teraz została ona brutalnie podmyta, podkopana, zamulona. Proszę wybaczyć, ale w najbliższym czasie ta sprawa będzie zajmowała całą moją uwagę.

Telefon przestaje dzwonić. Rzecz jasna. Włącza się automatyczna sekretarka.

Glyn wraca na półpiętro i siada na schodach. Trzyma w rękach zdjęcie i liścik i patrzy to na jedno, to na drugie. Kath jest wszędzie. Na półpiętrze jest jej w bród, na schodach też, i w szafie wypełnionej papierzyskami, nieprzyjaznej i zdradzieckiej: dziesiątki Kath, z różnych czasów i miejsc, każda coś do niego mówi, tak mu się przynajmniej wydaje. Kath tuli się do niego w łóżku, opowiada o filmie, który właśnie obejrzała, wsuwa nieśmiało głowę przez uchylone drzwi jego gabinetu, uśmiecha się słonecznie, podsuwa kawę, zbiega przed nim ze stoku Cumbrian, mała błyszcząca figurka w purpurowej kurtce.

Pytania tłoczą się w głowie. Kiedy, gdzie, kto? Ale również — kto jeszcze? Kto jeszcze wiedział? Elaine? Wiedzieli wszyscy poza nim? Był tym głupiutkim niewiniątkiem, naiwniakiem? Ludzie szepotali sobie do ucha i rzucali ku niemu ukradkowe, wszystkowiedzące spojrzenia?

Dla kogo Kath nabazgrała ołówkiem te słowa na kopercie?

NIE OTWIERAĆ - ZNISZCZYĆ.

Dla siebie? Dla mnie?

Zaplanowała wszystko krok po kroku? Zaplanowała także ten moment? Że wyłoni się nagle z szafki i wznieci we mnie płomienie?

Chyba nie. To nie w stylu Kath, ona taka nie była. Kath nigdy nie planowała. Jej plany nigdy nie wychodziły poza jutrzejszy dzień. Kath żyła chwilą, chwytając dni w locie i zapominając o nich natychmiast, gdy się kończyły.

Nie. Było inaczej. Pewnego dnia po prostu zajrzała do teczki, w której chowała rozmaite rzeczy. Przejrzała jej zawartość, może czegoś szukała, i trafiła na kopertę. Wyjęła kopertę, liścik. „O... psia-kość!”, pomyślała. Miała pod ręką ołówek, naskrobała szybko trzy słowa i schowała wszystko z powrotem.

Dlaczego jednak nie zniszczyła zdjęcia?

Prawdopodobnie dlatego, że miała ochotę jeszcze na nie spojrzeć. Bo miało dla niej jakieś znaczenie? Jakie? Ogromne? Znaczyło wszystko?

Teczka stanowiła bezpieczny depozyt. Kath przechowywała w niej rzeczy, które gdzieś musiała przechować, bo mogły się jeszcze przydać, bo wygodniej było ich nie wyrzucać, bo... kierował nią sentyment.

Dlaczego nie posegregowała ich według kategorii? Jedna teczka na rachunki, a druga na sprawy sercowe?

Ponieważ Kath nigdy nie działała w sposób uporządkowany, ostrożny i racjonalny. Jeśli nie mogła pozbyć się czegoś raz na zawsze, albo nie chciała, to upychała wszystko w jedno miejsce. Być może zadzwonił telefon, kiedy przeglądała teczkę — w jednej chwili schowała wszystko z powrotem, ale nagle zdjęła ją jakaś obawa, sięgnęła jeszcze raz po kopertę, wypisała szybko ołówkiem zalecenie, znowu schowała kopertę, a teczkę wrzuciła do szafki, w której zawsze ją trzymała. Potem pobiegła do telefonu i zapomniała o niej na amen. „O, cześć!”, wykrzyknęła w słuchawkę, „Cieszę się, że dzwonicz, tak, właśnie chciałam... Wiesz, mam świetny pomysł, co dzisiaj robisz? Bo ja koniecznie muszę iść do...” — już odbiegła myślami, już poddała się kolejnej spontanicznej myśli, już płynęły kolejne niezaplanowane godziny.

Ale przecież kreśląc te słowa — decydując o tym, by jednak je napisać — podświadomie dopuszczała myśl, że kiedyś ktoś może otworzyć szafkę, odnaleźć teczkę i wziąć do ręki kopertę.

Choćby ja.

Zatem to mnie prosi, bym nie otwierał koperty.

Czy spodziewa się, że posłusznie wypełnię zalecenie? Czy też zakłada — z drwiącym uśmiechem w kątku ust, z nieznacznym wzruszeniem ramion, podniesieniem oczu do nieba — że otworzę?

„Zrobi, jak zechce”, myśli Kath. „Ja prosiłam, żeby tego nie robił”.

To była zapewne kwestia paru sekund. Dzwoni telefon. Ona bierze do ręki ołówek i pisze.

Glyn długo siedzi na schodach, zaczynają go boleć plecy. Wstaje i podchodzi do szafy. Zbiera z podłogi rozsypane teczki i układa je na okiennym parapecie w jeden stos. Teczki Kath, razem z liści-

kiem, odkłada na bok. Wraca do swoich poszukiwań. Szpera za rzędem teczek, w miejscu zarzuconym różnymi papierzyskami, wśród których nareszcie udaje mu się odnaleźć odbitki jakichś artykułów.

Początkowy wstrząs i palący gniew zaczynają z wolna ustępować zimnej, wciągającej, racjonalnej rekonstrukcji zdarzeń i zarysowującym się planom działania. Wie, co robi — ale wszystko w swoim czasie. Wciąż ma przed oczami to, co przed chwilą zobaczył, wciąż zastanawia się nad tym, co z tego może wynikać, ale jednocześnie nieugięcie ma zamiar realizować to, co tego dnia sobie zaplanował; dnia, który okazał się wyjątkowy. Znajdzie to cholerne ksero.

Zanurza się w geologiczny osad minionych trzydziestu pięciu lat. Papier, papier, papier. Połacie lasu, które postradały dla niego żywot. Dąb, jesion, krzewy cierniste przepadły na zawsze, unicestwione dla jego kariery — no, właściwie głównie skandynawska sosna. W tym wyższym stanie umysłu odnajduje w sobie gotowość do bardziej złożonego myślenia. Refleksje napływają równoległymi falami, przetaczają się z jednej strony na drugą. Fotografia nie daje mu spokoju: kiedy? kto? Widzi pudełko z przezroczami, przypomina sobie, że ma wygłosić wykład, wyciąga pudełko. Gdzie zrobiono to zdjęcie? Gdzie oni stoją? Ta para? Odbitki, jak na razie, nie ma. Odkłada część teczek z powrotem i szuka na następnej półce. Wycinki prasowe, nie domykające się pudła, pękate od zawartości; znowu padł jakiś las. Wyobraża sobie siekiery — nie, jakie siekiery, armie pił łańcuchowych. Na fotografii też był las, przypomniał sobie. W tle. Jakie drzewa? To może być trop. Sprawdzi później.

Bierze do ręki pierwsze pudełko, otwiera. Notatki — dziesiątki notatek, ręcznie sporządzonych w bibliotece, z czasów, gdy kserokopiarki nie weszły jeszcze do powszechnego użycia. Długie godziny mozolnej pracy Bóg jeden wie, ile setek tysięcy godzin pracy zamknęło się w tej małej szafie; pracy jego i innych. Z kolei rezultat jego pracy to odbicie pracy tych, co już dawno odeszli; niezliczonych, bezimiennych osób. „Proszę państwa, historyk pejzażu dokonuje interpretacji dowodów rzeczowych pracy wykonanej przez pokolenia anonimowych ludzi, efektów trudu ponoszonego każdego kolejnego dnia, każdego kolejnego stulecia, przez masy bez twarzy — tych, którzy ciężko przepracowali każdą godzinę, każdy dzień, każdy rok; w upale i na mrozie, w deszczu i o głodzie, z obolałymi członkami. Kopiając, przerzucając piach, wyciągając na powierzchnię. Chwytając i dźwigając. Siekając i rąbiąc. Ładując, układając, podnosząc. Pędząc stada, pilnując ich, doglądając, wreszcie je zarzynając. Ścinając drzewa i krusząc kamienie. Przemieniając drewno i skałę w domy, stodoły, kościoły i katedry. Wznosząc pod niebo kamień i szkło. Oto cała manipulacja światem fizycznym, dokonywana przez rozbieganych, pchanych czymś ludzi, nastawionych na przetrwanie i pracę, za którą mogą coś zjeść, by przeżyć, by żyć z dnia na dzień, by poczuć słońce na twarzy i deszcz, i wiatr, by napełnić żołądki, przespać się parę godzin i obudzić następnego dnia”.

Kiedy to napisałem? Wydaje mu się, że pamięta, jak mówi te słowa do kamery, kiedy kręcili pierwszy odcinek serialu dla telewizji. To były czasy. To były dni. Burzy i naporu. W oku cyklonu, z całym telewizyjnym entourage'em — młode, urocze panienci z nieodłącznym notatnikiem i dłu-

gopisem w dłoni, reżyser, asystenci, operatorzy kamer, dźwiękowcy, oświetleniowcy — i on, zawsze w centrum wszystkiego. Mówi na zboczach gór albo przy katedrach, albo zbiornikach wodnych i czuje, doskonale wie, że kocha każdą minutę tej pracy. Gdy w telewizji rusza emisja serialu, natychmiast zauważa, że zaczynają go rozpoznawać obcy ludzie; ukradkowe spojrzenia na ulicy, w sklepie, na peronie, w pociągu. Przytyki kolegów, którymi jednak ani trochę się nie przejmował. Zazdrośni, czyż nie? Och, się działo! Na łeb, na szyję! Ile tchu w płucach! Tak było.

Ale przede wszystkim praca. Cóż, jest praca i praca. Bywała w deszczu, upale i chłodzie, myśli Glyn, i też nieraz kopałem, choć dźwiganie i wyciąganie pozostawiałem już innym, a i głodno raczej mi nie było. Nie ma jednak w moim życiu dnia, którego bym nie przepracował.

Teraz wkracza Kath, jak na zawołanie.

Jej głos brzmi najdonośniej. To, co zostało już powiedziane. Dlaczego tak jest, że słowa nieustannie tłuką się po głowie? Zdanie powtarzane bez chwili wytchnienia. Kath w jego głowie to słowa, tak samo jak ciało i krew.

— Nie pojedziesz ze mną? — strzela raptem głos wysoko podniesioną nutą: ze mną?

Siedzi po drugiej stronie stołu w kuchni w Ealing, z listem w ręku. To musiało być latem; jej skóra odcina się brązem od białej letniej bluzki. Na szyi złoty łańcuszek. Włosy mokre po kąpieli, sklejone, przylegają do karku i ramion.

— Nie pojedziesz ze mną do Devon? Na weekend z Barronami? Będzie cudownie. — Rzuca mu krótkie, dokuczliwe spojrzenie; nigdy nie prosi, nie namawia, och nie, nigdy, tylko ten wzrok, który jasno stawia sprawę: tak czy nie. — W Devon nie zabraknie ci starych pejzaży.

Wyjaśnia jeszcze raz, drugi albo trzeci, że ma konferencję.

— A, racja... — Kiwa głową. — Trudno. Chcesz jeszcze jednego tosta?

Kath nie pracowała. Nie goniły jej obowiązki, nie ciążyła na niej odpowiedzialność, nie znała konieczności stawienia się w danym miejscu o danej porze, robienia rzeczy, których być może wcale nie miałyby ochoty robić. Patrząc " oczami wyobraźni, Kath jest bryzą wiejącą wzdłuż uliczki, jest uśmiechem, lekkością i wędrownym światłem, podczas gdy wszystko inne wokół niej to przymus i konieczność: listonosz wrzucający listy do domowych skrzynek, kierowca furgonetki rozładowujący towar przed pobliskim sklepikiem, policjant drogówki na patrolu, brygada robotników hałasujących hydraulicznym młotem i ciężkim sprzętem budowlanym, pośrednicy nieruchomości tkwiący przy telefonie za swoimi biurkami, taksówkarz nerwowo czekający na zmianę świateł — wszyscy robią coś, bo muszą. Z wyjątkiem Kath, która podążała za celem, który sama sobie wyznaczyła, która robiła to, na co miała ochotę.

Nawet kiedy rzeczywiście pracowała, nie sprawiała takiego wrażenia. Jeśli miała pracę — w tych krótkich okresach przejściowych, gdy znajdowała, mniej czy bardziej opłacalne, zatrudnienie — to tylko dlatego, że tak sobie postanowiła. Bo akurat ciekawa wydała jej się pomoc w galerii lub w



centrum sztuki rękodzielniczej, bo akurat zapragnęła uczestniczyć w organizacji muzycznego festiwalu lub pomóc w doborze ilustracji graficznych jakiemś wydawcy. Kiedy jednak wygasaly zainteresowanie, zapał czy radość, Kath jakoś samoistnie znikala. Po prostu rozplywala się w powietrzu, z dnia na dzień — być może z przepaszajacym uśmiechem na twarzy, ale niekoniecznie.

Glyn dobrze znal te sytuacje, poniewaz niejednokrotnie go zaskakiwaly i nieraz musial wysluchiwac pytan, cierpkich uwag lub slow oburzenia, plynacych z drugiego konca linii telefonicznej.

Jak to robila? Cóz, Glyn się uśmiecha, udawalo jej się przez dziesiec lat, bo byla moja zona. Ja oplacalem wszystkie rachunki. Ja ją karmilem, ubieralem, zapewnialem jej dach nad glową. Ale przedtem? Przecie Kath byla dorosla, zanim jeszcze wpadla pod moje skrzydla. Miala trzydzieści sześć lat i od ponad dwudziestu zyła na własny rachunek, zwaywszy, że jej dom właściwie przestal istniec po smierci matki. Oczywiscie, obie siostry cóś po niej odziedziczyly, jednak nie aż tyle, by sobie beztrosko zyc. No, ale od biedy Kath mogla przetrwac, w kazdym razie na jedzenie starczalo. Tym bardziej że czasem skapnelo pare groszy, skads lub od kogos. Natomiast Elaine, jak to ona, zaparla się, wyuczyla dobrego zawodu i pracowala przez czterdzieści lat — z duzym zyskiem, mozna dzis powiedziec — a Kath, jak to Kath, nie pracowala.

Glyn ciagle myszkuje po szafce, ale jest tak zatopiony w myslach, że jeśli pozadana odbitka wpadnie mu w rece, w ogole moze jej nie zauwazyć. Uswiadamia sobie, że te mysli to nic nowego, ale pojawily się raptem w wyniku tego, co się przed chwila stalo. W wyniku choroby, która nagle go dopadla, trawiaczej goraczki, która zakrecila wszystkim jak traba powietrzna. Kath to wciaz ta sama osoba, ale Kath to takze zupełnie inna osoba. Inaczej juz na nią patrzy — innej jej teraz szuka.

Nie oddawala się ztudnej pracy, nie snula planow, dawala się uniesc chwili; w tym sensie wpasowala się w ducha tego niezwyklego dnia. Ale w innym sensie nie. Kath ani troche nie obchodzila sukces czy pozycja — jej własne lub innych. Śmiała się, slyszac uwagi na ten temat: Hedonistyczna aura tamtych czasow bardzo do niej pasowala i bardzo jej odpowiadala. Wyzwania dnia codziennego absolutnie jej nie pociagaly. Nie pamietam, by Kath kiedykolwiek dyskutowala na temat sytuacji miedzynarodowej albo żeby zastanawiala się, na kogo glosowac w wyborach. Feminizm przemknal obok niej niezauwazony. Prawa kobiet w ogole jej nie obchodzily, poniewaz, w sposob naturalny, sama potrafila je sobie zapewnic. Nigdy się nie zdarzylo, by czegos jej odmowiono dlatego, że jest kobieta.

Przeciwnie, bycie kobieta bylo w jej zyciu jak podmuch wiatru w zagle, pozwalalo wyznaczyc kurs, podazyć za nastrojem, chwila i fantazja.

Jednak nie kazda kobieta to potrafi, mysli Glyn. Och, nie kazda. Ale dlaczego Kath potrafila?

Bo tak.

Dlugie rozmyslania ustepuja teraz obrazom wyobrazni. Nie mysli juz o Kath, lecz ją widzi. Doświadczaja jej. Male, sliczne piersi; krąglutkie brodawki uwiezczone czekoladowymi sutkami, zawsze zaskakujacymi swym urokiem. Nie potrafil oderwac od. nich oczu, kiedyś i dzisaj tez; znowu ro-

sną, pęcznieją, właśnie teraz. Krzaczuszek, gęsty i miękki w dotyku, jak jedwab, pasujący kolorem do jej włosów. Te smukłe nogi. Te stopy. Ta twarz. Och, tak — twarz.

Kath potrafiła tak żyć, ponieważ była kobietą uderzająco piękną. Kobieta nie klasycznej urody, lecz niezwykle oryginalnej, kobietą o zbląkanym, magnetycznym spojrzeniu — delikatne rysy twarzy, kształtny nos, zielone oczy, które zdawały się chwytać światło, wargi uniesione w uśmiechu. Łatwo można było dostrzec, jak jej obecność przykuwa spojrzenia. Każdy mimowolnie zwracał ku niej oczy, kobiety i mężczyźni. Nawet dzieci. Kath dobrze rozumiała się z dziećmi. Przyciągała je, a one ją. Może gdyby...

Boże, nie. Kath matką? Kobieta z uwagą zwiewnego motyla? To jeden z powodów, dla których nigdy nie było o tym mowy. Zresztą, ja nigdy nie chciałem mieć dzieci.

Sięgnął do najwyższej półki w szafce. Jeszcze więcej teczek, jeszcze więcej pudełek i skoroszytów. *Drogi hrabstwa Oxfordshire — 1984*. Otwiera pudełko; mapy, fotografie i znowu Kath. Ale inna. Tym razem nie stoi gdzieś i kiedyś, trzymając kogoś za rękę i burząc przeszłość. Teraz leży sobie spokojnie, pewna swego miejsca.

— Po co tu przyjechaliśmy? — mówi. — Straszne tu błoto.

Wchodzi na niską, żelazną furtkę, i siada na niej, wystawiając twarz ku słońcu. Ma na sobie tylko dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami; nie ma stanika. Przez cienką tkaninę Glyn dostrzega kształt jej sutków. Ten widok rozprasza go, odrywa jego myśli od map Państwowego Urzędu Geodezyjnego, których rulony trzyma pod pachą. Gdyby nieopodal stał stóg siana, porwałby tam Kath i zrobił swoje. Ale kto tu kiedy widział stóg siana? Nie zna jeszcze bliżej tej kobiety, ale niebawem ją pozna, jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem.

Idą polną drogą, traktem pokrytym równymi kępkami trawy, które jednak coraz częściej zaczynają ustępować koleinom, kałużom i zasychającym bruzdom błota. Glyn jest ciekawy szerokości traktu. Zastanawia się nad tym i zapomina o sutkach Kath. Nie wszystko naraz.

— Przyjechaliśmy tu — mówi — bo podejrzewam, że ta polna droga była kiedyś ważnym traktem komunikacyjnym. Muszę to sprawdzić. Mówiłem przecież przed wyjazdem.

— A tak... Ciągle zapominam, że ty pracujesz — zaśmiała się, ach, ten śmiech, jej śmiech, jak żaden inny. — Czuję się, jak podczas wycieczki na wieś. Sprawdzaj sobie ten trakt, a ja tu zostanę, chyba nie masz nic przeciwko temu? Poopalam się za żywopłotem.

Już zeskakuje na drugą stronę furtki, idzie na łąkę i rozkłada się na plecach, rozrzucając ramiona w wysokiej trawie. Koszulka już zdjęta, piersi już wystawione ku słońcu, ku niebu.

Wrzuca pudełko z powrotem na półkę i spostrzega raptem wciśnięty z boku plik zwiniętych kserokopii. Aha! Odbitki! Jest i to, czego szuka: *Podstawowe systemy dystrybucji we wczesnych osadach północnej Anglii*, „Rozwój Nauki”, 1961.

Gdyby zaczął szukać od najwyższej półki, teczka z fotografią nie wpadłaby mu w ręce. W każdym razie nie tego dnia. Ten dzień potoczyłby się tak, jak Glyn zaplanował; siedziałby teraz na dole przy biurku i dałby się pochłonać pracy.

Zabiera wszystko, czego potrzebuje. Zamyka szafę i wraca do gabinetu. Siada przy biurku. Odbitkę artykułu kładzie po prawej stronie. Przyjdzie jeszcze, do diaska, czas na obowiązki.

Wyciąga fotografię.

Spójrz jeszcze raz. Może coś uszło mojej uwagi. Kath ma na sobie długą spódnicę i czarną, krótką bluzkę, spod której widać kark i nawet plecy. Chyba pamiętam tę bluzkę. W uszach kolczyki. Te też pamiętam.

Nick ubrany jest w ciemne spodnie i koszulę w kratę z krótkim rękawem, jakoś nie przypominam sobie ani jednego, ani drugiego. Ale pamiętam jego charakterystyczne, nieco za długie włosy. Pamiętam, jak swobodnie opadały na czoło. Na zdjęciu przesłaniają mu twarz, którą zwraca gdzieś w bok, nie ku Kath, ale ku komuś innemu. Wydaje się, że ku Elaine.

Elaine stoi przodem do obiektywu. Być może coś mówi — usta ma lekko rozchylone. Może mówi coś do nich. Ma na sobie spodnie i zwykły, luźny sweterek, na ramieniu torbę, a na głowie drelichowy kapelusz.

Pozostalej dwójki w ogóle nie znam. Wysoki, szczupły mężczyzna i drobna kobieta z kręconymi, ciemnymi włosami. Również ubrani sportowo, w zwykłe, jasne rzeczy, mówiące tylko tyle, że to pełnia lata, a spotkanie jest najzupełniej nieformalne.

Spora gromadka, a przecież jest jeszcze osoba robiąca zdjęcie: on albo ono,

Gdzie ja jestem? Hm, najwyraźniej mnie tu nie ma. Jestem nieobecny. Jestem gdzie indziej. Załatwiam swoje sprawy.

Gdzie stoją? Tło zupełnie nic nie mówi. Ściana drzew. Trawa. Błękitne niebo i samotna chmurka.

Jakaś wyprawa za miasto. Piknik.

— Hej, jedziemy! Rzucamy wszystko i w drogę. Taki piękny dzień! Elaine jedzie i oczywiście Nick...

Kiedy? Sądząc po młodych oczach Elaine, wczesne lata osiemdziesiąte. Mniej więcej.

Dobrze byłoby dokładnie wiedzieć kiedy. Nie — nie byłoby dobrze wiedzieć. Po co? Tylko w środku napiera coś, by wiedzieć. Coś przymusza mnie, bym z tego drobnego kawałka dowodu rzeczowego wydobył wszystkie możliwe informacje, które powiedzą, jak miały się sprawy, bo wszystko wskazuje na to, że nie miały się tak, jak mi się wydawało, ani nie wyglądały tak, jak mi się wydawało — od dawien dawna, od samego początku.

Kiedy zrobiono to zdjęcie?

Kim był fotograf? Kim była osoba, która dostała do ręki kopertę z wywołanym filmem i zdjęciami, przejrzała je beznamiętnie, ale nagle uważniej przyjrzała się tej jednej fotografii, zastanowiła się i podjęła błyskawiczną decyzję; wycięła klatkę negatywu, zniszczyła ją, a odbitkę przekazała jemu.

Zmowa milczenia? Czyja?

Jedną z osób, które mogłyby wyjaśnić tę kwestię, jest oczywiście Elaine. Być może uczestniczyła w zмовie, może nie — tego muszę się dowiedzieć. Z pewnością wie, kim są pozostałe osoby na zdjęciu, kto brał udział w tamtej arcyciekawej wycieczce za miasto.

Teraz to Elaine wypełnia pokój. Widzi ją i słyszy, w rozmaitych wcieleniach. Zna Elaine od dawna, z różnych stron. Przede wszystkim Elaine jest siostrą Kath i tak teraz Glyn na nią patrzy.

Cóż, oczywiście nie były sobie zbyt bliskie. Elaine dużo starsza. Zupełnie inna. Obie są jak dwa przeciwległe bieguny — w wyglądzie, w sposobie bycia, w pragnieniach, w osobowości, inne we wszystkim. To niezwykła między rodzeństwem płatanina wzajemnych zobowiązań i napięć. Elaine nie umiała zaakceptować Kath i nigdy nie potrafiła znaleźć z nią wspólnego języka. Ale była dla niej jak matka, broniła jej zawsze i wszędzie. Czasem Kath uciekała do Elaine bez specjalnego powodu, niekiedy dzwoniła do niej w środku nocy.

Co mi do tego, myślał wtedy Glyn. To ich sprawy. Teraz nie. Także jego sprawy. Gdzie w tej historii umieścić Elaine? Wie? Wiedziała?

Myśli o Elaine z tamtego okresu; młoda architekt ogrodnictwa, odnosząca pierwsze duże sukcesy zawodowe bizneswoman i żona Nicka. Glyna, także samotnego przez długi czas, wiele z nią łączyło. Myśli o niej, ale Elaine pozostaje nieprzenikniona. Mówi, wygląda, porusza się tak samo, w sposób nie zdradzający niczego. Może zawsze taka była — bardzo chłodny typ.

Kiedyś stała w tym pokoju, w jego gabinecie. Wtedy, kiedy... Po tamtym.

— Będziesz dalej tu mieszkał? — zapytała.

Jego odpowiedź zbyła milczeniem. zaproponowała tylko, że przejrzy rzeczy Kath. Co też zrobiła, ale, jak widać, niezbyt dokładnie.

Po co była mu wtedy potrzebna przeprowadzka? Tak, ten dom będzie... rozbrzmiewał jej głosem, to zrozumiałe.

Ale głos Kath rozbrzmiewałby w każdym innym miejscu. Było wiadomo, że będzie musiał nauczyć się z tym żyć.

Porzuca Elaine. Nie ma nic do zaproponowania, w każdym razie nie w takim wcieleniu. Glyn bierze notatki, włącza komputer: już minęło popołudnie, szkoda dnia.

Fotografia praży się w kopercie. I w jego głowie.

Beznamiętna, rzeczowa ocena to dla Glyna chleb codzienny. Ocena śladów i dowodów, dociekanie i rozpatrywanie dostępnych faktów. To system, który wyprodukował mu kilka książek, dziesiątki artykułów, mnóstwo wykładów, referatów i recenzji. Za tym idzie opinia; Glyn znany jest z umiejęt-

ności przekonywania i zaciętej obrony swego stanowiska. Ale dystans i obiektywizm to kwestie fundamentalne.

Beznamiętny i rzeczowy obraz samego Glyna, w tej chwili, ukazałby mężczyznę koło sześćdziesiątki, wpatzonego w monitor komputera, z resztkami ciemnych włosów na głowie, dotkniętych tu i ówdzie siwizną. Koścista, nieco kanciasta twarz o wyrazistych rysach, nosząca ślady częstego przebywania na świeżym powietrzu — lekko ogorzała, smągła, zmęczona wichrami i słońcem, isticie farmerska. Okrągłe, piwne oczy. Usta ściągnięte w kącikach, zdradzające być może nawyk koncentracji. Glyn zamasyście uderza w klawiaturę, robiąc wiele błędów; nigdy nie nauczył się używać więcej niż dwóch palców. Co pewien czas sięga po liścik za stosem artykułów, rzuca na niego ciężkie spojrzenie, myśli i odkłada go z powrotem.

Jego gabinet to oczywiście warsztat pracy z prawdziwego zdarzenia. Pod ścianami regały sięgające sufitu, książki na nich stoją i leżą. Stoły i krzesła zarzucone papierami. Obok szafki z zapełnionymi szufladami. Mało dekoracji i rzeczy niefunkcjonalnych: para terierów z porcelany na kominku, połyskliwy dzbanuszek na parapecie i stary perski dywan na podłodze. Wydana przez Państwowy Urząd Geodezyjny, oprawiona w czarne ramy dziewiętnastowieczna mapa skrawka hrabstwa York. Lotnicze fotografie obszarów zielonych. Kolorowe zdjęcie Glyna, młodszego o kilkadziesiąt lat, przystojnego, stojącego w wietrze na górskim stoku. Na dole zdjęcia koślawy podpis: *Pozdrowienia od Lotnej Brygady Zmian Terenowych — 1980.*

Gdyby cofnąć się kilkanaście kroków i objąć wzrokiem szerszą perspektywę, to gabinet Glyna będzie tylko częścią domu przy zadrzewionej alei, wzdłuż której wznoszą się inne wolno stojące domy z ogródkami: urbanistyka lat trzydziestych, klasyczny przedwojenny rozwój miast południowej Anglii. Jeśli cofnąć się jeszcze dalej i objąć perspektywę ostatniego, beznamiętnego oka patrzącego z góry, z samego nieba, to widać całe miasto; zrost kamienia, cegły, drewna, szkła i stali. Jest katedra, wznosząca się wysoko ponad ziemski galimatias, są wstęgi i wąwozy dróg, są ciągi domów i kamienicznaczonych porządkiem równych kominów, jest szeroki pas parkingu, białe klify biurowców, a na peryferiach uładzona geometria budynków uniwersytetu, w którym Glyn jest zatrudniony.

Żadnych ludzi, tylko auta pełzające jak robactwo. Dom Glyna znika już z widoku, pożarty przez otchłań miejskiej masy; jest już tylko nierozpoznawalnym klockiem w rzędzie podobnych klocków. I sama masa niknie; zawily, nieprzenikniony nieład strzępi się i krwawi na brzegach, rozsiewa się coraz rzadszymi plamami, aż wreszcie daje się całkowicie wchłonąć pustej przestrzeni, albo raczej różnorakim przestrzeniom, kwadratam, trójkątom, prostokątom, owalom i rozmaitym zniekształceniom takich figur, obwiedzionych niekiedy ciemnymi krawędziami. Ciemne, gąbczaste masy, blade linie tnące mętny pejzaż i niknące w dali. Tu i ówdzie, gdzie linie się zlewają, powstaje miniatura miejskiego zagęszczenia, mała koncentracja energii. I wreszcie ta pusta przestrzeń powoli ustępuje, daje się pokonać bardziej wyrazistym choć niekształtnym liniom. Coś w nią przecieka, coś się przesącza, coś wlewa,

narasta niepokój, który znowu przenika w format miasta: tajemnicze połączenie tego, co było, i tego, co jest. Wszystko staje się w jednej chwili.

Tak to może wygląda, jeśli wiesz, na co patrzysz. Jeśli jesteś Glynem Petersem, który wstał właśnie znad komputera i wyciąga szerokie, płytkie szuflady jednej z szafek. Po chwili znajduje w nich to, czego szuka — mapę i powiększone zdjęcie lotnicze. Rozpościera jedno i drugie na szafce i zastyga nad zdjęciem. Przygląda się. Nie widzi kształtów i kresek, lecz nagromadzenie czasu. Widzi przyłożone do siebie stulecia, nakładające się jedno na drugie, wcinające się w siebie, wypychające się nawzajem siłą przemijania. Widzi znój chłopów średniowiecznych, odcisnięty w warstwach ziemi poniżej linii osiemnastowiecznych murów; widzi autostradę rzuconą na starorzyski trakt; widzi zieleniący się kopiec normańskiego zamku wyzierający spod chaosu miejskiego centrum.

Widzi siebie, jak zagarnia połacie własnych terytoriów. Byłem tam, zrobiłem to i tamto. Oto Bishops Munby, gdzie spędził lato 1976 roku, nadzorując wykopaliska nowo odkrytej średniowiecznej osady. Wciąż widzi to pole i bruzdy ziemi przemawiające językiem wieków, grudy, spadzistości i doły; zapisaną w nich historię chat, które tam stały, wiejskich drózek, stawów rybnych. Dni w słońcu, dni w deszczu, a wokół ciekawskie krowy, snujące się po łące i muczące. Prowizoryczna kantyna w namiocie. Wieczory w lokalnym pubie i wesoła, studencka siła robocza. Widzi dziewczynę z Durham: Hannah Jakaś-tam — młoda pani magister, z którą łączyło go ciche porozumienie wzajemnej adoracji; widzi wytarte, drelichowe szorty i jej długie, opalone nogi; dziewczyna kopie ostrożnie łopatką przy jakimś murze i konspiracyjnie posyła mu ukradkowy uśmiech.

Jest tam dziesięć lat później, w tej industrialnej sieci miast, studiuje plany ulic i porównuje je z pomiarami na starych mapach geodezyjnych. Samotna praca. Miejsce wiruje wokół niego, ludzie patrzą ciekawie na mężczyznę z notesem i torbą na ramieniu, który przechadza się raz w tę, raz w tamtą stronę, przypatruje się czemuś i ciągle coś notuje. Okres szalonej pracy, niebawem na rynku ukaże się jego najważniejsza książka, głowa buzuje mu od pomysłów i projektów. Raptem pojawia się Kath. Jej głos podnosi się z połyskującej powierzchni zdjęcia, na które patrzy. Na zdjęcie napływa teraz obraz ordynarnego hotelu, w którym Glyn się wtedy zatrzymał. Głos Kath w słuchawce telefonu: „Wyjeżdżam na parę tygodni do Francji, z grupą znajomych. Skoro tego lata ciebie nie ma...” Pauza. „Kochasz?” — pyta jeszcze. Glyn pisze coś w pokoju hotelowym i nagle te słowa Kath, oddalonej o ponad dwieście kilometrów. Wciąż pobrzmiwają w jego uszach. Ale słyszy wyłącznie ją. Jego własny głos znikł w czeluści czasu. Co jej wtedy odpowiedział? Bóg jeden wie.

Uderzony tym odkryciem podnosi wzrok znad fotografii i patrzy w okno. Dziwne. Cały melanz słów, jaki pozostaje w głowie, pochodzi od innych ludzi; nigdy od siebie. To oni mówią, ty nie odpowiadasz. Brak wymiany zdań; przepada główny dowód. A przecież nie należę do tych, co zapominają języka w gębie.

Ciekawe. Proces pamięciowy opiera się na absorbowaniu sygnałów z zewnątrz; tego, co się słyszy, i tego, co się widzi. Oczywiście sami także znajdujemy się w środku akcji, ale jakoś wymazujemy z niej swoje uczestnictwo. Glyn szpera długo w pamięci i dochodzi do przekonania, że własnego głosu w ogóle nie słyszy. Najwyżej czasem, przy okazji ważnego wykładu albo wypowiedzi przed kamerą, ale to dlatego, że słowa zostały wcześniej zapisane na papierze, są dobrze znane i swojskie. Jednak w żywej rozmowie z ludźmi milczy — on, który nie milczy niemal nigdy.

Przychodzi mu do głowy myśl, że milczenie pamięci ma wymowną analogię: milczenie zmarłych. Niezliczonych martwych, których życie tak bardzo go zajmuje, których losy stara się zrekonstruować z pozostawionych śladów — cegły i kamienia, zniekształceń w krajobrazie i zawieruchy tysięcy archiwaliów. Wielka, niema masa ludzi, która dokonała już wszystkiego, ale nic już nie powie, której głosy docierają do nas tylko pośrednio, przefiltrowane, przerzedzone, przeinaczone. Tak, zjadliwa i trafna myśl do artykułu. Trzeba ją zapamiętać. Koncepcja nie jest może doskonała — pozostają przecież po nich dzienniki czy listy — ale warto wziąć ją pod rozwagę.

Nadal patrzy na swój zaniedbany ogród. Jakiś gołąb przechadza się po kosmatym trawniku i wystawia ponad źdźbła czujne oczy. Po konarze wiśni zbiega wiewiórka; w jednym płynnym ruchu, jakby wodnej strugi. Glyn rzadko teraz wychodzi do ogrodu. Cóż ogród, nawet dom pełni już tylko funkcję sypialni lub miejsca pracy. Kiedy Glynowi zaczyna brakować ludzi, umawia się na pogawędkę w pubie z kolegami czy studentami. Głębszą pociechę stanowi dla niego Myra, kobieta zatrudniona w administracji tego samego uniwersytetu. To związek bardzo dyskretny; Myra pogodziła się z tym, że nigdy nie nabierze formalnego charakteru i że to, co ich łączy, pozostaje wyłącznie ich prywatną sprawą. W niedzielę Myra często przygotowuje sutą kolację. Jej łóżko jest miękkie i wygodne. Glyn trzyma w jej łazience maszynkę do golenia i szczoteczkę do zębów.

Glyn patrzy bezmyślnie na wiewiórkę; zwierzak hasa w nie skoszonej trawie, zastyga raz po raz i obserwuje coś w bezruchu z podniesioną kitą. Nagle daje susa w krzaki i znika.

Glyn otrząsa się, zły na siebie. Nie należy do ludzi, którzy potrafią gapić się na wiewiórkę za oknem, gdy goni ich praca. Inercja napięcia emocjonalnego, uznaje. O nie, na takie słabości nie ma tu miejsca.

Zmusza się, by usiąść przy komputerze. Zdjęcie lotnicze pozostało na szafce; już jest niepotrzebne, spełniło cel, w jakim je wyjął z szuflady, ale także posłużyło czemu innemu, czego zupełnie się nie spodziewał. Znowu zawzięcie stuka w klawiaturę. Mija czas, widać już pierwsze efekty, na ekranie monitora przybywa tekstu. Glyn jest z siebie zadowolony; uchwycił istotę artykułu. Cyzelowanie zdań może poczekać do jutra. Teraz musi wrócić do tego, co stało się dziś. Musi wszystko uporządkować, ustawić w odpowiedniej perspektywie, zastanowić się nad własnymi odpowiedziami i przyjąć jakąś strategię.

Już wieczór — długi, jasny wieczór wczesnego lata. Glyn przechodzi do kuchni i otwiera tylne drzwi. Przez cały dzień siedział zamknięty w domu, jak w klatce. Może świeże powietrze ulży jego zmęczonej głowie. Na nieduży, wyłożony płytkami taras wystawia stare, plecione krzesło. Przygotowuje talerz z pieczywem i serem; jeszcze kawałek ogórka i jabłko. Otwiera butelkę, czerwonego wina.

Siada na tarasie, w łaskawym świetle ciepłego wieczoru. Zza ogrodzenia dobiega go swojski hałas kosiarek do trawy, bawiących się dzieciaków. Glyn jest głuchy na te odgłosy. Jest nieobecny, nie ma go tu i teraz, przebywa gdzie indziej, zamyślony nad czymś odległym.

Jest tam; w scenerii tamtego zdjęcia. Już nie musi na nie patrzeć. Dobrze wie, co przedstawia. Doskonale pamięta obraz, a wyrazy z dołączonego liściku wypisane są w jego głowie wyraźnym, tłustym drukiem.

Tak, tak. Bądźmy rzeczowi i obiektywni. Cóż widzimy? Dwoje ludzi trzyma się za ręce. Najwyraźniej ukradkiem. Samo trzymanie się za ręce sugeruje, hm, co najmniej bliską znajomość, ale niekoniecznie związek cielesny. Ton słów w liściku jest jednak bardzo intymny: „Ściskam, kochanie”. Także te słowa wydają się skreślone ręką wytrawnych spiskowców. Sposób, w jaki fotografia została przekazana przez osobę, która ją zrobiła, każe wnioskować, że między parą trzymającą się za ręce zachodziło coś, co należało zachować w tajemnicy. Inaczej mówiąc, różni się równo.

Od kiedy? Jak długo? I... czyż nie nasuwają się dalsze pytania? Czy byli jeszcze inni? Czy Kath wesoło wpadała w objęcia kolejnych kochanków? Wiedzieli wszyscy poza mną?

Dowody, myśli, potrzebne są dowody. Ha, dowody można znaleźć. Ale wszystko w swoim czasie. Co wiem na pewno?

Glyn analizuje swoje małżeństwo.

Najpierw przychodzi mu do głowy nudne sprawozdanie — mniej więcej takie: w sobotę 25 sierpnia 1984 roku Glyn Peters i Kath Targett zawarli związek małżeński w Urzędzie Stanu Cywilnego w Welborne. Zamieszkali w domu przy Marlesdon 14 w Ealing. W 1986 przeprowadzili się na St Mary's Road 29, w Melchester, z powodu zatrudnienia Glyna Petersa na stanowisku wykładowcy miejscowego uniwersytetu. Pod tym adresem mieszkali przez resztę dni swego małżeństwa.

Być może tę opowieść trzeba by poprzedzić stosowną preambułą: Glyn Peters poznał Kath Targett w domu jej siostry Elaine, z którą od pewnego czasu łączyła go bliższa, choć niezobowiązująca znajomość.

To fakty. Glyn to przecież par excellence człowiek faktów. Ale na te fakty patrzy ze wzgardą. Nic mu nie mówią. Jedynie to, co już wie. A teraz liczy się to, czego nie wie.

Liczą się podteksty, zdarzenia drugorzędne, równoległe, których cienie wylaniają się spod wątku zasadniczego. Fragmenty ich wspólnych dni, w dwóch wersjach: jej i jego. Wersja Glyna ma różne punkty widzenia. Jest życie z Kath i jest życie bez niej. Jest okres, gdy są razem — oko w oko przy kuchennym stole, ramię w ramię w łóżku, blisko siebie w towarzystwie poza domem — i jest też



okres, kiedy są daleko od siebie, kiedy on jest po prostu sobą, jak przedtem. Zatem wyjazdy, delegacje, rozmowy, praca, praca, praca — słowem (gdy teraz o tym myśli) życie, o którym Kath niewiele wiedziała. Życie opieczętowane służbowymi zobowiązaniami.

A podteksty Kath? Bo przecież ona również wiodła takie podwójne życie. Glynowi wydaje się teraz, że o każdym z nich wie niewiele. A Kath już nie dostarczy mu dowodu; jest nie do odzyskania, starty na proch, stracony.

Z kolei jego własny został boleśnie skrzywiony. Teraz jest tylko to, co wie. I jest śmiertelny lot w korkociągu, narzuconym przez fotografię i liścik.

Kiedy to się działo — ona i on?

Glyn bierze minione lata pod lupę.

Układa je w odpowiednim porządku. Najpierw lata w Londynie, zaraz po ślubie, zanim jeszcze dostał posadę. Dom w Ealing. Codzienne dojazdy metrem do college'u, zajęcia ze studentami, każda wolna chwila spędzona w bibliotece; to w czasie semestru, a wakacje zarwane — albo wykopaliska, albo konferencje, albo kolejne godziny w bibliotekach. Co robiła Kath? Pamięta, że kiedyś pracowała jak urzeczona w jakiejś galerii, pamięta okres, gdy zaangażowała się w organizację jakiegoś festiwalu, zniknęła wtedy na kilka dni. Pamięta jeszcze krótki wybuch entuzjazmu, gdy uczyła się projektować biżuterię u jakiegoś jubilera. Ale co z resztą czasu? Tylko urwane ślady. Wyłapuje z pamięci swoje wieczorne powroty z college'u albo z jakiejś wyprawy archeologicznej. Czy Kath czeka na niego z drinkiem albo aromatycznym ciastem prosto z piekarnika? No, nie. Ale to nie było w jej stylu. Jeśli Kath była w domu, to najczęściej byli z nią jacyś goście — ktoś z całej plejady jej znajomych, którzy teraz, gdy usiłuje ich sobie przypomnieć, wpadają na siebie bezładnie i mylą mu się w głowie. Jeśli Kath nie było domu, to nie miał pojęcia, gdzie jest. Najwyżej zostawiała kartkę w kuchni: „Będę późno. Buziaki. K.”

Przeprowadzka do Melchester. Do tego domu. Do życia na jeszcze wyższych obrotach, przynajmniej dla niego. Tu Kath wymyka się jeszcze bardziej. Pamięta, że odkrywa w sobie talent projektantki wnętrz; maluje ściany we wzory z wyciętych szablonów, packa je ścierkami umoczonymi w farbie, kładzie kolory drobnymi plamkami. Właściwie wszystkie ściany w jego domu to spuścizna po Kath. Glyn widzi ją, jak stoi na domowej, aluminiowej drabince, w džinsach i luźnej koszulce, z włosami zawiązanymi z tyłu bawełnianą chustą. „Hej!”, woła do niego. „Jak ci się podoba? Może być, jak na projektanta wnętrz?!”

Dom jest jej pełen. Kath wchodzi przez drzwi frontowe: „Cześć! Jesteś, to świetnie!”; w wannie, w pianie i zapachu płynu do kąpieli nuci coś pod nosem, a jego łamie pożądanie. Śpi obok niego w puszystej pościeli. Budzi się z lekkim jękiem protestu, gdy sięga do niej dłonią. Przez długie lata jej duch żył z nim pod jednym dachem, oswojony i obłaskawiony. Ale teraz wszystko jest inne; wzywa ją do siebie w gniewie i frustracji. I oto jest, jak zawsze, znowu niedostępna, ale... w inny sposób.

Widzi ją w czasie jakiegoś sympozjum na uniwersytecie; żona jak się patrzy, wzór dla innych, co przecież nie leżało w naturze Kath. Widzi głodne spojrzenia kolegów. Z błogim zadowoleniem patrzy, jak Kath przemierza salę; jest sobą, jak zwykle, ale tutaj należy także do niego — to bezcenny majątek, wyróżnienie, wielka nagroda. Kath przyćmiewa inne żony.

Ale ona nie ma o tym pojęcia. Po spotkaniu mówi: „Przepraszam... na pewno przyniosłam ci wstyd. Wszystkie panie miały piękne wyjściowe suknie, a ja tę drelichową spódniczkę. To z pewnością powód do rozwodu”.

Patrzy na tamte lata. Wszędzie jest jakaś perforacja. Dziury, przez które Kath znika raptem, upływnia się bez słowa. Tamten rok, kiedy pojechał na miesiąc do Stanów. Gdzie była Kath wtedy? Nie wie. Spędziła ten miesiąc sama, tutaj, doskonaląc swoje domowe umiejętności? Mało prawdopodobne. Jeśli jednak nie sama, to z kim?

Bo podejrzenie narasta. Kto mógł z nią być?

Kiedy poznał Kath, kręciło się przy niej paru typków, których należało odesłać z kwitkiem. Nie pamięta, by kiedykolwiek był zazdrosny, najwyżej w krótkotrwałym odruchu, bardziej kierując się interesem niż emocją. Gdy ujrzał ją po raz pierwszy, od razu coś mu powiedziało, że ta kobieta musi być jego, wiedział to, i nie na parę tygodni czy miesięcy, ale na zawsze. Tym razem małżeństwo. To absolutne przekonanie bardzo go zdumiało — gwałtowna, nieopanowana potrzeba. Innych należało więc usunąć, a najlepszym sposobem było ustanowienie prawa własności, jak najszybciej, jak najbardziej nieodwołalnie i bezdyskusyjnie. Od razu założył, że wygra.

Tamten niedługi okres zlewa się w jego oczach w impresjonistyczną mgłę barw; było, minęło. Dzwoni do niej bezustannie, godzinami wisi na telefonie, mówi i mówi, ale dzisiaj nie słyszy swoich słów, najwyżej jej słowa. Kath śmieje się — swoim zagadkowym, dwuznacznym śmiechem: „Glyn, doprawdy...”, udaje zdziwienie, „Och... to ty”, mówi. Ta prędką nuta, bez tchu. „Ależ słucham”, mówi, „zamieniam się w słuch”. Przyjeżdża po nią, kiedy może, samochodem, zabiera ją wszędzie, gdzie się da. Nie chce, aby zniknęła mu z oczu, chce ją ciągle widzieć, jej profil, jej ciemne kosmyki włosów na twarzy. Zabiera ją tu i tam — swoje obłędnie Kath tką w deseń własnej pracy. Kath pnie się po umocnieniach z epoki żelaza, zwiedza zakłady przemysłowe, uczestniczy w wykładach. „To gdzie jedziemy?” — pyta z niedowierzaniem, ze śmiechem. Nie zawsze mu ulega. Niekiedy wymyka się gdzieś i znika; nie odbiera telefonu, bardzo jej przykro, ale dziś się jej nie uda. Jednak takie wybiegi wzmacniają tylko uporczywość Glyna. „Robię rzeczy, których nigdy w życiu nie robiłam”, tłumaczy Kath. „Nie wiem, co się dzieje”. Ale ona wie, musi wiedzieć. Dzieje się on, Glyn. Jest siłą nie do zatrzymania; zaskoczył tym siebie i zaskoczył ją. Kto by pomyślał, że kobieta może doprowadzić go do takiego stanu?

Przy kominku staje Elaine. Są sami. Kath wyszła z pokoju. Nick jest Bóg wie gdzie.

— Więc moja siostra i ty — wyrokuje chłodno.

Glyn rozkłada ramiona w bezradnym geście, jakby chciał ją sobie zjednać, przekupić. Nie ma nic do powiedzenia, ten jeden raz.

Ten temat nigdy więcej nie został podniesiony. Kath otwarcie zawiadamia, że niebawem się pobiorą. Elaine natychmiast podejmuje energiczne plany: przyjęcie weselne w domu, najważniejsze sprawy biorę na siebie, chcecie wszystkich przy stole czy szwedzki bufet? Daje się unieść radosnej fali działania, sporządza jakieś listy, zamawia catering, organizuje dowóz samochodami.

— Za dużo tego wszystkiego — protestuje Kath. — Wystarczy spotkanie z przyjaciółmi w pubie.

— Ślub bierze się raz — odparowuje sucho Elaine. — Przynajmniej mam nadzieję i ufam, że tak będzie.

Kiedy wychodzą z urzędu, Elaine czeka na ulicy z aparatem i robi zdjęcia.

— Stójcie! O, tu. Nie, trochę w lewo. Dobrze. Uśmiech. Kath, popraw spódnicę, bo się podwinęła.

Glyn zjadł już chleb, kostki serków, ogórka i jabłko, wypił dwie lampki wina, nawet nie zauważył, jak to wszystko zniknęło. Resztki dnia na dobre zaczynały już niknąć z ogródka. Milkły silniki kosiarek, cichły odgłosy dziecięcych zabaw. Glyn nie utrzymywał z sąsiadami bliższych znajomości. Typowe: człowiek zawodowo zajmujący się społecznościami ludzi sam unika społeczeństwa. Zwłaszcza nie interesuje go, co się dzieje za płotem. Zresztą zajmuje go teraz co innego; kłębiące się w jego głowie myśli wchodzą w następną fazę.

Dokonał krótkiego przeglądu lat z Kath i wcale się nie uspokoił. Czas na Elaine.

Pokaże jej fotografię. I liścik.

Elaine nie musi się dowiadywać. Nie ma takiej potrzeby. Na pewno byłoby dla niej lepiej, gdyby nie wiedziała. Ale ja wiem. Sam nie zniosę tego brzemienia. Potrzeba mi bratniej duszy — do złości i gniewu, może żalu, może spóźnionej zazdrości, nie wiem jeszcze, jak nazwać to uczucie. Więc pokażę fotografię Elaine.

Przede wszystkim muszę wiedzieć, czy Elaine wiedziała. Wtedy. Czy wie teraz.

Z Elaine nie widział się od dawna. Dość dawna. Od ich ostatniego spotkania minęło co najmniej parę lat... Nie zabraknie więc pretekstu, by zadzwonić do niej i zaprosić na kawę, lunch, drinka... Imperatyw jest tak silny, że postanawia wsiąść w samochód i pojechać do niej już następnego dnia rano — sto kilometrów to żaden problem w końcu. Ale to nie jest dobry pomysł. Może natknąć się na Nicka.

Będzie musiał być cierpliwy. Zatelefonować. Umówić się. Spokojnie.

Kath. Tu zawsze się pojawia Kath. Kiedy Elaine czeka na zielone światło przy High Street w Welcome, a w dali widać gmach ratusza. Niemal za każdym razem Kath schodzi po schodach, z ręką wsuniętą pod ramię Glyna. Kath mężatką, Boże kochany. Elaine widzi ją wyraźnie, jak tamtego dnia przez obiektyw aparatu fotograficznego, kiedy przebiegła na drugą stronę ulicy, by zrobić im zdjęcie: dobra starsza siostra, która o wszystkim pomyśli i o wszystko zadba w tak ważnym dniu. Kath śmieje się serdecznie. Ktoś rzuca konfetti, w jej włosach widać drobne, kolorowe kółeczka; zstępuje ze schodów i śmieje się, już na zawsze.

Na zawsze, jeśli ja jestem w pobliżu, myśli Elaine. Zapala się zielone światło, samochód rusza, Kath znika. Kath jest teraz łagodna i potulna jak baranek, jak nigdy wcześniej. Przychodzi i odchodzi, niekiedy przychodzi nieproszona, ale można nad nią zapanować.

Elaine jest już zaabsorbowana czymś innym. Prowadzi automatycznie, droga do domu prosta jak strzeł. Myślami przebywa tam, gdzie niedawno jeszcze była, w ogrodzie jednego ze swoich klientów. Projektuje tam alejkę szczodrzeńców. Ale teraz wymazuje szczodrzenie i zastępuje je pnącym się po metalowych kabląkach słodzinem i warzywami rodzaju *allium*. Rozmyśla nad liniami strumyków wodnych, alejką parkową i murkiem otaczającym warzywnik. Żona koniecznie chce mieć warzywnik! No, to będzie go miała. Mąż wygląda na osobnika, który większość czasu najchętniej spędzałby na polu golfowym. Ale facet jest nadziany, kupił posiadłość w zamożnym Surrey, niejako więc z natury rzeczy powinna ona mieć taras!

Żona też koniecznie chce taras. Ogląda dużo programów telewizyjnych dla miłośników ogrodnictwa, czyta poradniki, kolorowe czasopisma i dobrze wie, co jest modne. Albo tylko wydaje się jej, że wie.

Postawmy sprawę jasno, jeśli Elaine ma mieć w tej kwestii coś do powiedzenia, to żona nie będzie miała wymarzonego tarasu. Wytlumaczy kobiecie, że coś, co jest dobre dla ceglanego bliźniaka w Birmingham, niekoniecznie musi pasować do położonej na ośmiu tysiącach metrów kwadratowych willi maklera giełdowego, zbudowanej w 1910 roku w stylu Lutyensa. Dzisiaj ten teren przedstawia żalosny widok, ale da się z niego coś wyczarować. Elaine natychmiast zauważyła historyczne pozostałości, najwyraźniej świadczące o istnieniu tam niegdyś założenia „ogrodu zapadniętego”, inspirowanego ideami Gertrudy Jekyll\*, ze strumykami i fontannami. Elaine ma zamiar odrestaurować ten dawny, tajemniczy ogród.

\* Edwin Lutyens (1869—1944) — wybitny brytyjski architekt; Gertrude Jekyll (1843—1932) — pionierka popularnego ogrodnictwa ozdobnego i projektowania ogrodów. Oboje często ze sobą współpracowali.

Absolutnie żadnego tarasu.

„Jesteś taka apodyktyczna”, mówi Kath. „Przestań mnie ciągle krytykować. Bądź dla mnie miła”. Kath wróciła. Wyrosła jak spod ziemi. Wyparła ogród nowobogackiej pary z Surrey. Jest tylko głosem i twarzą. Jak Kot z Cheshire z *Alicji w Krainie Czarów*. Często tak robi. Powiedziała jej to już wiele razy, z lekko przekrzywioną głową, bawiąc się kolczykiem w ucho. Elaine ją odpędza.

Żadnych tarasów, a strumienie będą zaprojektowane na wzór pomysłów Gertrudy Jekyll. Wybij sobie z głowy te swoje drażone w ziemi jamy wyłożone najwyższej jakości styropianem. Trudno przypuszczać, by żona kiedykolwiek słyszała o Gertrudzie Jekyll, ale Elaine łatwo przesłoni jej oczy argumentami stricte naukowymi, a ponieważ para małżonków wyłożyła dużo pieniędzy na firmę Elaine, jej prestiż i know-how i ponieważ Elaine nie jest nowicjuszem ani prezydentką nocnego programu telewizyjnego, lecz projektantką wysoko cenioną w branży, o dużym stażu, mającą na koncie niejedną poważny projekt i niejedną znaczącą publikację, małżonkowie poczują się przyparci do muru i zaczną wątpić we własne pomysły. Minie kilka lat i z dumą będą pokazywać gościom „zapadnięty ogród”, aleję parkową i pergolę z wisterią, a kolegom męża, bogatym biznesmenom, mimochodem będą wspominać nazwisko Elaine, które nic im nie powie oczywiście, ale które odtąd będą kojarzyć z robotą pierwszej klasy.

Z reguły Elaine nie przejmuje się za bardzo klientami. Najbardziej lubi tych, którzy są anonimowymi przedstawicielami wielkich korporacji; płacą i dają wolną rękę. Jednym z jej największych i najbardziej udanych projektów był ogród w gmachu Appleton Hall, nabytym przez duży holding bankowy pod centrum konferencyjne i szkoleniowe dla kadr — krótko i węzłowato, kontrakt, budżet i jazda do roboty, a nie jakaś zawzięta i mało mądra para, dysząca jej w kark, sprzeczącą się między sobą o każdy drobiazg.

Elaine jest dumna z ogrodów w Appleton Hall — na parterze żywopłot z bukszpanu, brzegi w srebrze i błękitach, zielony pejzaż połyskujący klejnotami kwiatów, zamknięty trawiastymi ścieżkami.

Elaine nie przyjmuje już zleceń na podmiejskie bliźniaki; ich właściciele nie stać na jej stawki. Teraz całe gromady firm znajdują swą klientelę właśnie tam. Elaine widziała w swej karierze różnorodność ogrodów, od potężnych założeń, projektowanych dla wąskiej grupy bogaczy, nie wymagających później szczególnego zachodu, po działkowe grządki dla każdego, kto skłonny jest poświęcić parę groszy na upiększenie swej posesji. Wydaje się, że ogrodnictwo to dzisiaj dość powszechna mania. Dawniej w tym kraju ogrodnicy byli albo ogarniętymi obsesją hodowcami rzadkiej odmiany zielonego groszku, który miał zdobywać nagrody, albo przygarniętymi przez jakiegoś mecenasa ekspertami, zarządzającymi dużymi arealami. Dzisiaj byle małżeństwo cieszące się przydomowym ogródkiem bez trudu odróżni prusznik (*ceanothus*) od kaliny (*viburnum*).

Elaine jest rozbawiona tym fenomenem. Jej zawód stał się modny. Nie jest już tylko przywilejem staroświeckich babć czy wąskich elit, zależy jak na to spojrzeć. To powszechny trend, sprzyjający

biznesowi. Ale Elaine zdaje też sobie sprawę z rosnącej lawinowo konkurencji w branży. Skończywszy sześćdziesiąt lat, zaczęła nieco przykręcać interes. Stała się bardziej wybredna i odmawia przyjęcia zlecenia, jeśli wydaje się jej zbyt nudne lub nazbyt wymyślne.

Kiedy stawiała pierwsze kroki, po latach nauki, podejmowała się prac za śmieszne stawki, byle nauczyć się czegoś od najlepszych. Wtedy zaprojektowałyby wszystko: barwny klomb przed wejściem do hotelu i zieleń na nowo budowanym osiedlu mieszkaniowym. Nie miała wyjścia — jako uczeń wchodzący do zawodu, jako „osoba do wszystkiego” w nędznej, małej firmie, działającej na jednym z zasypanych liśćmi londyńskich przedmieść.

W CV, które przy pierwszym spotkaniu Elaine przedstawia klientom, tamte wczesne lata zostały zreżymowane i upiękkszzone. Zresztą od tego czasu CV Elaine przemieniło się w obszerną broszurkę informującą o jej coraz obfitszych połowach wśród coraz grubszych ryb. Elaine stale, systematycznie ją aktualizuje. Pierwsza była skromna w porównaniu z projektami, jakie dzisiaj oferuje rynek wydawniczy. Przy tamtej ulotce pomógł jej Nick. Jedną z jego koleżanek, zawodowa ilustratorka, ozdobiła ją motywami florystycznymi. Wydrukowała ją firma, z którą Nick współpracował, gdy założył swoje wydawnictwo. To było wtedy, w szalonych czasach pierwszych lat małżeństwa — i pracy, jej pracy i jego pracy.

Elaine jest już blisko. Mija jeszcze jedno skrzyżowanie i ulicę, która prowadzi do ich starego domu, w którym życie rodzinne upływało w ciasnocie i nieustannym zgiełku, wśród zawirowań raczkującej firmy wydawniczej i jej przedsięwzięcia ogrodniczego, pozostającego jeszcze w stanie embrionalnym. Było to miejsce wypełnione ludźmi, hałaśliwe i zagracone. W każdym pokoju stały półki z segregatorami i katalogami, regały pełne książek i biurka, przy których zawsze ktoś siedział. Polly siedziała w kuchni na wysokim krzeselku dziecięcym albo chodziła po podłodze na czworakach, płacząc się między nogami nie widzących jej osób, ciągle gdzieś telefonujących, gdzieś wysyłających faktury, faksy, umowy.

Ten stary dom wysyła teraz do niej sygnały, niegasnące kody alfabetu Morse'a, które w tej okolicy zawsze będą słyszalne. Wcale o nim nie myśli, ale mimo wszystko przypadkowe fragmenty obrazów tamtych dni opadają na nią bezlitośnie, jak zwiewane wiatrem liście, i mieszają się z pomysłami projektowanego ogrodu w Surrey. Ogród z mokradłem? Róże wzdłuż dłuższej granicy? Pod murem *hydrangea paniculata*? I równoległa myśl, że musi zrobić na jutro zakupy w hipermarkecie. Napływają kolejne urwane myśli, na horyzoncie pojawia się Nick. Może dlatego, że zbliża się do pubu, do którego często wychodzili w niedziele na lunch? Dawno temu. O, jest. Siedzi przy stoliku na zewnątrz, na tej samej ławce przykręconej do chodnika, w letni poranek, ubrany w tę samą ciemnozieloną koszulkę, z potarganymi włosami nad czołem, trzymając w ręku duży kufel, którym — gestykułując — kręci dookoła i rozprawia z zajęciem o kolejnym pomysle.

— Drogi — mówi. — Zapomniane drogi. Prehistoryczne, romańskie drogi, którymi pędzono bydło. Cała seria wydawnicza. Kanały i koleje już się przejadły. *Zagubione drogi Brytanii*, co o tym sądzisz?!

Obok siedzi Oliver. Druga połowa firmy, partner i serdeczny przyjaciel. W tym klipie sprzed lat nie wypowiada ani słowa. Siedzi. Także trzyma w ręku kufel, ale nim nie wymachuje, milczy zagadkowo. Nic dziwnego — Nicka nie sposób powstrzymać, gdy da się porwać entuzjastycznemu uniesieniu. Oliver, wrażliwy i pragmatyczny, wie, co to praca od podstaw. Wydawniczy biznes zna od podszewki. Zajmuje się wszystkimi drobiazgami, pomysły zostawiając Nickowi. Stary dobry Oliver. Kochany Oliver, myślała nieraz Elaine, kiedy widziała, jak Nick bez opamiętania, w sposób nieobliczalny, krnąbrny, nawet przewrotny stara się za wszelką cenę realizować kolejny straceńczy plan. Oliver odgrywał wówczas rolę hamulcowego; był po to, by studzić nastroje, wlewać w Elaine poczucie ufności, przekonywać, że wszystko ucichnie, a jeśli nie, to uda mu się pokonać trudności. Czasem pojawiała się w niej pokrętna myśl, że może powinna była wyjść za Olivera, a nie za Nicka. Bywało — kiedy zasięgała u Olivera porady lub prosiła o opinię — że miała na niego ochotę. Ale Oliver nigdy nie zdradziłby przyjaciela, ani myślą, ani słowem, ani uczynkiem. Zresztą... przecież kochała Nicka, prawda?

— Znowu nie słuchasz, kochanie — mówił z wyrzutem, wymachując kuflem piwa i patrząc jej w oczy. — Znowu myślisz o jakichś wyśnionych ogrodach. Pomyśl trochę o drogach!

Minęła bar. Tamtego Nicka zastąpił w jej myślach Nick dzisiejszy, który może jest teraz w domu, a może nie. Ale jeśli jest, Elaine myśli nie bez irytacji, to z całą pewnością nie wpadnie na to, żeby zajrzeć do lodówki i wybrać się po zakupy do hipermarketu. Głowę da, że nie. Nick cały dzień snuje się po domu, czytając gazetę lub buszując w Internecie. Skreśli może kilka słów recenzji, stworzy może pół akapitu do któregoś ze swoich marnych krajoznawczych przewodników dla niedzielnego turysty — jeśli w ogóle musi pracować, co jest mało prawdopodobne. Tymczasem Elaine przejechała sto pięćdziesiąt kilometrów po czterogodzinnym spotkaniu z parą pociesznych idiotów, podczas którego musiała przymuszać się do wyszukanych uprzejmości.

Jedzie przez miasteczko. Zjeżdża w boczną uliczkę. W starym domu mieli wielu sąsiadów. Nowy dom — jeśli dziesięcioletni dom można uznać za nowy — położony jest z dala od ludzi, w wyjątkowo pięknej dolince, otoczony laskiem i łukiem zakręcającego tu strumyka. Od lat mieli z Nickiem to miejsce na oku — mały dom w stylu króla

Jerzego, na dwuhektarowej działce, o jakim Elaine zawsze marzyła, jaki za wszelką cenę chciała mieć dla siebie. Nagle okazało się, że jest wystawiony na sprzedaż. Miała wtedy dobry okres; zamówienia płynęły strumieniami, w głowie huczało jej od pomysłów — to był dobry moment na podjęcie ryzyka.

W ciągu tych dziesięciu lat ogród dojrzał. Zaniedbywany grunt, na który Elaine spoglądała pożądlivym wzrokiem, przeistoczył się w największe dzieło sztuki. Oczywiście młodzietkie, jak na

ogrodnicze miary; aleja lipowa to ledwie wyrostek, miłorzęby muszą jeszcze sporo podrosnąć. Poza tym powinna skorygować parę rzeczy, dodać to i owo, a to też wymaga czasu. Elaine nie ma zamiaru otaczać ogrodu majestatyczną chwałą; nie jest to ani Hadspen, ani Tintinhull, ani Barrington Court. To tylko świadectwo jej smaku i talentu, opatrzone jej sygnaturą — to jej oficjalna witryna.

Minęła szósta. Łukiem alejki dojazdowej zajeżdża pod dom. Zauważa, że nikogo z pracowników już nie ma. Na parkingu stoi tylko golf Nicka. W ciągu dnia parkuje tu sporo samochodów. Sonia, asystentka Elaine, dojeżdża z miejscowości oddalonej o blisko dwadzieścia kilometrów. Trzy razy w tygodniu pojawia się Liz, która zajmuje się księgowością i wszelką papierkową robotą, z którą nie zdąży się uporać Sonia. Czerwony pikap należy do Jima, ogrodnika do najcięższej roboty. Pojawiają się też autka studentek, które u niej praktykują, u mistrzyni, jak swego czasu Elaine terminowała u innych. Obecnie ma u siebie Pam — dziewczyna przy kości to mało powiedziane, to baba-chłop, wytrzymała i silna jak wół, a przy tym nadzwyczaj wesoła i towarzyska. Pam odpowiada przede wszystkim za organizację sobót, kiedy ogród jest otwarty dla klientów i publiczności. Zawsze wtedy brakuje rąk do pracy; kogoś, kto będzie nadzorował ścieżki spacerowe, kto będzie zajmował się sprzedażą, kto rozsądnie doradzi, jaki dobrać sprzęt, nasiona i sadzonki, jakie kupić książki w sklepiku — i w końcu kogoś, kto będzie umiał dyskretnie podsunąć publikacje Elaine. W soboty wygon przy alejce dojazdowej zamienia się w prawdziwy parking samochodowy. Często Elaine osobiście wychodzi do ogrodu, z uśmiechem odpowiada na pytania i z wdzięcznością wysłuchuje pochwał. Kiedyś znajdowała w tym przyjemność, coś kojącego i dobrego dla siebie. Teraz jednak czuje się zmęczona, słysząc kolejne pytanie, czy to roślina sezonowa czy trwała albo jak przycinać róże. Coraz częściej zamyka się w domu i zostawia klientów studentkom, które bardzo chętnie ją zastępują.

Kiedy trzy lata temu wpadła na pomysł, by udostępnić ogród publiczności, myślała, by skorzystać z pomocy Nicka. Miał okazję zaprezentować najwartościowsze przymioty swej osobowości. W końcu jest człowiekiem z natury otwartym, towarzyskim, rozmownym i pełnym entuzjazmu. Oprowdzanie gości, nadzór nad sprzedażą, a w najgorszym razie choćby utrzymywanie porządku na parkingu miały być wentylem dla nadmiaru tego entuzjazmu. I rzeczywiście, początkowo Nick ulegał i stosował się do wszystkich próśb. Brylował koło tarasów, z chłopięcym czarem zajmował się paniami, zabierał grupki gości nad strumyk, by pokazać prymulki, a ponadto obsługiwał kasę w sklepiku i podliczał utarg — zwykle błędnie, ale nikt nie miał mu tego za złe, bo był takim uroczym czarusem. To jednak nie trwało długo. Kiedy Nick wprowadził jakieś bmw w mokradła, gdzie samochód od razu ugrzązł, odpowiedzialność za parking przejął Jim.

Z upływem czasu zapal Nicka do sobotnich obowiązków stopniowo gasł, aż końcu całkowicie się wyczerpał. Elaine protestowała, zaciskając wargi w złości. „Ależ kochanie, pytają mnie, jak się to nazywa, jak tamto, jak długo to rośnie, czy nie zmarnuje się w kwaśnej glebie, a ja przecież nie mam o tych rzeczach zielonego pojęcia. Twoje dziewczęta znają się na tych sprawach sto razy lepiej ode



mnie. Wszyscy też wiedzą, że nie powinienem się zajmować pieniędzmi, z tym się chyba zgodzisz, prawda?"

O tak, z tym się zgodzi. Nie można z sukcesem prowadzić wydawnictwa bez znajomości podstawowych reguł rządzących biznesem. Trzeba umieć oszacować, co się sprzedaje, a co nie; trzeba umieć ocenić ryzyko, przewidzieć koszty i ustalić margines zysków. Pożądane jest minimum pewnej łatwości w operowaniu liczbami, a to część przedsięwzięcia, która potwornie Nicka męczy. Najczęściej odwracał po prostu oczy. Kiedy jego wydawnictwo „Hammond&Watson”, mimo tytanicznych wysiłków Olivera, w końcu zaczęło się borykać z pierwszymi trudnościami, kiedy magazyn zalegał nie sprzedane pozycje, a nie spłaceni autorzy, drukarnie i dostawcy pukali do drzwi, wówczas coś, co miało być małym, sympatycznym wydawnictwem specjalizującym się w publikacjach podróżniczych, stało się finansowym ciężarem nie do udźwignięcia.

Porządkowanie spraw w firmie zajęło cały rok. Nick dostał srogą nauczkę. Ale, rzecz jasna, nie tracił pogody ducha i optymizmu. Nic się przecież nie stało. Póki co nie jest źle. Ma mnóstwo kontaktów, może pisać do gazet, do weekendowych działów turystycznych, może nawet pisać przewodniki, może... och, pomysłów mu nie brakowało.

— Słuchaj Oliver, a gdybyśmy tak...

— Nie — Oliver uciął rozmowę. — Na mnie już nie licz.

Nie bierz sobie tego do serca, proszę, ale myśmy już raz wydali nasze pieniądze.

Elaine Oliver powiedział coś więcej:

— Przepraszam, powinienem był to przewidzieć, zapanować nad tym. Mam poczucie, że cię zawiodłem.

Komu kiedykolwiek udało się zapanować nad Nickiem? — myślała wtedy. Ja też powinnam była zauważyć czerwone światło. Ale teraz wszystko się zmieni. Czuli się starsza, twardsza, bardziej doświadczona, a jednocześnie, mimo bankructwa męża, jakaś radośniejsza i podniesiona na duchu.

Zbiera z tylnego siedzenia notatnik i dokumenty. Wchodzi do domu.

Okna szeroko otwarte, do wnętrza wpada ciepłe, wieczorne powietrze. Z odległego kąta cicho syci muzyka. Nick siedzi w ciepłarni z drinkiem w rękę i wsłuchuje się w łagodną melodię płynącą z wieży stereo. Po ciężkim dniu.

Elaine wchodzi do gabinetu. Na biurku Sonia zostawiła dla niej listy do podpisu, przygotowane już do wysłania. Obok leży osobny stosik nadesłanych dzisiaj faksów i listów, które Elaine musi przeczytać. Zbiera je wszystkie razem. Zrobione w ciągu całego dnia notatki wsuwa do przegródki na sprawy bieżące.

Na tablicy w kuchni, jak zawsze, Pam i Jim zostawili dla niej aktualne wiadomości. Pam skończyła pielęgnować dłuższą granicę, ale czeka na instrukcje dotyczące żywopłotu z bukszpanu i wskazówki, jak przyciąć fuksje. Jim informuje, że znowu zepsuła się samobieżna kosiarka do trawy, że

wezwał mechanika i ma nadzieję, że do soboty, kiedy trawa musi być skoszona, mechanik zdąży ją naprawić.

Elaine przechodzi przez dom i wchodzi do cieplarni; tutaj natychmiast wpadają w oczy różowe rozetki zawciągów, a za nimi, w rdzawej poświacie zmierzchu, wspaniale błyszczą cały ogród. Dzisiaj jednak Elaine nie zwraca uwagi na te cuda. W głowie huczą jej jeszcze wydarzenia dnia. Patrzy na Nicka, wygodnie usadowionego w fotelu — właśnie tak, jak się tego spodziewała. Nie słyszał, jak wchodzi, ale gdy Elaine siada w fotelu, kątem oka dostrzega ruch.

— Och, jesteś! Cześć. Nawet cię nie zauważyłem.

— Naturalnie, że nie. Mógłbyś troszkę ściszyć? — Elaine zaczyna przeglądać pocztę.

Nick ścisza stereo. Wstaje i znowu nalewa sobie drinka. Zamyka powoli butelkę, ale naraz jakby coś zaświtało mu w głowie.

— Napijesz się? — pyta. Elaine przytakuje.

— Wiesz, skończyło się to dobre, białe wino australijskie, które ostatnio kupiłaś. Dobrze byłoby dokupić parę butelek.

— Dzięki, że mi przypomniałeś.

Nick wyczuwa chłód w głosie Elaine. Rzuca jej uważne spojrzenie.

— Dzwoniła Poll — mówi ostrożnie. — Powiedziała, że jeszcze zadzwoni.

— Uhm...

Nick stara się rozchmurzyć Elaine.

— Zostaw te straszne papierzyska, kochanie. Odpocznij. Zrelaksuj się. Chłoń ten ciepły wieczór. Wiesz co? Mam pomysł, usmażę omelet, zrobię sałatę i nie tkniesz dziś nawet patelni, co ty na to?

— Tak, tak, zrób sałatkę... dobry pomysł. — Elaine dalej przegląda listy i faksy.

Nick zastanawia się, trochę zaniepokojony. Patrzy na nią spode łba.

— Nieznośni klienci? — pyta z troską w głosie i zawodowym znawstwem.

— Większość klientów jest nieznośna — rzuca oschle Elaine. — Gdybym się tym przejmowała, dawno bym splajtowała.

Nick zmienia taktykę. Zdaje się na instynkt samozachowawczy.

— Wyobraź sobie, zwalili mi na głowę redaktorkę merytoryczną. Kobieta szuka dziury w całym, potwornie marudzi, ciągle słyszę jakieś pytania, nagabywania, prośby, żebym sprawdził to albo siamto, jakiś przypis, jakieś źródło, jakieś srutu-tu-tu... Pamiętasz ten tekst dla dodatku turystycznego „New York Timesa”?

— I co, mogłeś sprawdzić?

— No... to i owo mogłem — mówi Nick. — Daj spokój, co za robota, baba wierci dziurę w brzuchu o byle co! Bez końca: „A możemy teraz zajrzeć do akapitu drugiego na trzeciej stronie szczo-tek...” — Nick udatnie przedrzeźnia redaktorkę.

— Straszne... — Głos Elaine jest spokojny, nieprzenikniony.

Bierze do ręki kolejny faks i czyta go uważnie.

Taktyka Nicka nie przynosi niestety zamierzonego efektu, jakim jest próba narzucenia własnego, ważnego oczywiście, tematu rozmowy.

— Chciałem też wstąpić do biblioteki. Muszę znaleźć jakieś materiały na temat Isambarda Kingdoma Brunela\*. Projekt tej książki jest fantastyczny, ciągle o nim myślę.

*\* Isambard Kingdom Brunel (1806—1859) — brytyjski architekt i inżynier, wybitny konstruktor mostów.*

Elaine ma dziwne przeczucie, że redakcja „New York Timesa” nie zaprosi już więcej Nicka do współpracy i jego teksty nie ukażą się już w dodatku turystycznym. Kontakty Nicka z sekretarzami redakcji cieszą się zwykle krótkim żywotem: Nick uważa, że terminy są absurdalnie krótkie, a spotkania redakcyjne długie i nużące. Elaine przeczuwa także, że projekt książki, owszem świetny, dla Nicka pozostanie tylko mgnieniem myśli. Może to dobrze, bo trudno sądzić, by dziełko jego pióra zważyło wydawców z nóg. Rynek zalany jest publikacjami na temat Brunela, o wiele ciekawszymi od tego, co Nick byłby w stanie z siebie wydobyć.

Bywały w ciągu tych lat chwile, choć nieczęste, kiedy zastanawiała się, czy po prostu nie powinno być jej żal Nicka. On jednak nie oczekuje tego rodzaju sympatii, ponieważ nie uważa, by miał jakiegokolwiek problemy. Kiedy w sposób naturalny znika jakieś pole jego zainteresowań, Nick z zaskakującą pogodą ducha akceptuje nowy bieg rzeczy: „To od początku nie miało racji bytu... było nawet nudne... ale co tam, mam zupełnie nowy, fantastyczny pomysł...” Jego głównym zajęciem stało się wpadanie w zapał. „To oczywiste, przyszłość ma dzisiaj tylko komputerowy skład tekstów... Mam genialny pomysł, wycieczki stateczkiem po kanałach dla bogatych Amerykanów... Doradztwo turystyczne dla biur podróży to teraz najbardziej przyszłościowe usługi na tym rynku...” Raz na jakiś czas Nick wychodził poza magiczny krąg bujnej wyobraźni i z werwą zaczynał szukać niezbędnych sponsorów. Przygasał jednak natychmiast, gdy, ku swemu zdziwieniu, nie znajdował zrozumienia wśród potencjalnych fundatorów. Zwykle już na początku rozmowy padało z ich strony pytanie o biznesplan — pytanie, na dźwięk którego Nick się wzdragał i uciekał gdzie pieprz rośnie. Niesprecyzowany projekt szybko się rozmywa, przyjmuje mgliste kształty i prędzej czy później Nick siada do pisania listów z propozycją recenzowania książek. Daje się pochłonać tylko krótkotrwałym przedsięwzięciom. Jego życie zawodowe jest nieprzewidywalne. Nigdy nie wiadomo, kiedy Nick wyjdzie ani kiedy wróci. Zawsze coś go gna, choć nie wiadomo co, jakaś niezdefiniowana potrzeba, niejasne zobowiązanie. Mimo to wygląda na człowieka wyluzowanego, pogodzonego ze sobą i ze światem. Trudno polubić takie podejście do świata.

Elaine jest żoną Nicka od trzydziestu dwóch lat. Gdy patrzy na Polly, silny charakter ich córki wydaje się jej wypadkową tych wszystkich niełatwych lat. Elaine nie potrafi już wyobrazić sobie świata bez Polly i niezbyt dobrze pamięta, jak wyglądało jej życie bez Nicka. Ale teraz to Polly się rozwija, to przed nią świat stoi otworem; Polly współczesnego dnia — zdolna, rzutka, energiczna, do wszystkiego nastawiona pozytywnie, niezmordowana i pracująca. Polly projektuje strony internetowe — to, według niej, praca na czasie. Elaine wydaje się, że jej córka zawsze taka była: żywa jak skra, z temperamentem, błyskotliwa, ciągle czymś zaabsorbowana, ale też rozsądna i zorganizowana — osoba w pełni dorosła, która zachowała młodzieńcze wnętrze. Elaine potrafi dojrzeć w niej dawnego bobasa, przedszkolaka czy nastolatkę — widzi, jak Polly się zmienia. Nick przeciwnie. Nick prawie wcale się nie zmienia, uparcie pozostaje modelem lat młodzieńczych, trochę już przechodzonym. Bywają chwile, w których Elaine wydaje się, że Nick to dla niej ktoś dziwnie przypadkowy.

Czasem się zastanawia, jakim cudem stworzyli parę i jak to się stało, że tak długo są razem. Dlaczego właśnie z Nickiem, a nie z kimś innym? Cóż, ludzie się łączą, gdy w pewnym miejscu i o pewnym czasie krzyżują się ich drogi. Młodzi są jak pobudzone pieski. Osobom dwudziestoletnim, uniesionym przez burzę hormonów, każdy wydaje się piękny, młody i dobry. Każdy, kto jest do zdobycia, kto akurat nie ma nikogo do pary, kto jest gotów zadzierzgnąć wzajemne więzy. Och, tak, pojawia się miłość — ale miłość jest oportunistyczna. Miłość jest wybiegiem. Miłość spoczywa na laurach.

Nick się pojawił, gdy Elaine miała dwadzieścia sześć lat. Dusza towarzystwa, zawsze w centrum grupy, otwarty na propozycje, tryskający zdrowiem, humorem i świetnym samopoczuciem. Dóbr partnera wśród gatunków żywych opiera się na zewnętrznych cechach fizycznych — widocznych oznakach dobrego materiału genetycznego. Owszem, jeśli chodzi o cechy zewnętrzne, Nick był niczego sobie, gwarantował nie najgorsze geny. Polly jest słusznego wzrostu, ma mocne kości, zęby się jej nie psują, mało choruje, a przy tym jest niebrzydką dziewczyną. Na całe szczęście jednak Polly nie przejęła po nim w genach słabości charakteru, inercji i decyzyjnej chwiejności. Polly wie, czego chce. Mówiąc językiem jej czasów i jej zawodu, Polly jest życiowo zorientowana.

To zatem kwestia kolizji — dwoje ludzi spotyka się nagle w tej samej chwili i tym samym miejscu. Nagłe przecięcie się dwóch odległych trajektorii. Skrzyżowanie dróg Elaine i Nicka nastąpiło w latach sześćdziesiątych, kiedy, jak fama, głosi, warto było być młodym. Dzisiaj Elaine się wydaje, że Nick był wtedy zdecydowanie bardziej młodzieńczy niż ona. Nawet w tamtych szalonych latach Elaine czuła się na marginesie galopującego świata i jego nowych obyczajów. Więcej czytała o nim w gazetach. Z dystansu obserwowała ludzi, którzy zdawali się łapać ducha czasu i rozumieć postępowość. Kiedy pierwszy raz się z nim zetknęła, na jakimś wrzaskliwym przyjęciu, Nick należał do takiej właśnie grupy ludzi; on w centrum, ona gdzieś z boku, gotowa do odejścia. Ale zdążył ją dostrzec, wypatrzeć — atrakcyjny, wesoły młody mężczyzna, co prawda młodszy o dwa lata, ale... co tam. „Może lubi mamusie”, żartowała któraś z koleżanek, co uraziło Elaine. Zachowywała jednak

ostrożność. Przez długie miesiące ich znajomość była bardzo nieokreślona i nieczytelna, szarpana emocjami. Potem w ich związek wkradło się coś zwyczajnego, jakieś przyzwyczajenie, podskórne przekonanie, że to zapewne na stałe. Pewnego dnia, podczas lunchu w małym pubie, Nick powiedział: „Wiesz, wydaje mi się, że powinniśmy się pobrać. Serio”. Serio. I tak została z Nickiem.

Nick doroślał bardzo powoli. Czasem Elaine się wydaje, że Nick nigdy nie wydorósł. Zachowanie i angażowanie się w sprawy typowe dla dwudziestopięcioletka nie mogą być takie dla czterdziestolatka, nie wspominając już o mężczyźnie pięćdziesięcioośmioletnim. Gdy poczuła się zbalamucona przez los, stała się drażliwa. Przez lata narastała w niej irytacja, ale przytłumiona, nie desperacka i nie ostateczna. Akceptowała ten układ w dalekiej perspektywie. Mogłoby być gorzej, myślała sobie; mogła trafić na pijaka i hulakę, na kanciarza albo flirciarza. Tymczasem on jest tylko słaby, nieudolny i niekonsekwentny.

Niewątpliwie Nick znajduje się na marginesie jej życia. Śpią w jednym łóżku, jedzą przy jednym stole, ale Nick nie bierze udziału w wydarzeniach dnia. Nie ma go przy faksach, telefonach, przy rozmowach z Sonią, Jimem, przy studentkach zatrudnionych do prac w ogrodzie, przy całodziennym żmudnym wysiłku, który pochłania czas i energię. Niewiele wie o jej wyprawach przez wsie i miasteczka, do klientów mieszkających nieraz bardzo daleko. Niewiele wie o pisanej przez nią książce. „Dokąd jedziesz?”, pyta tuż przed jej wyjściem. „Warwick? Powinnaś tam zobaczyć pobliski kanał, najdłuższy ciąg śluz w kraju, wręcz nieprawdopodobne!” Nick stara się już nie poruszać tematu książek, od czasu kiedy, kilka lat temu, wypalił z jeszcze jednym niemądrym pomysłem: „Wiesz, twoją książkę moglibyśmy sami wydać. To znaczy ja mógłbym ją wydać. Przygotuję na komputerze do druku. Ktoś zrobi korektę, ktoś rozprowadzi. Proste jak drut... dobrze, dobrze... tak tylko mówiłem... to był tylko pomysł...”

O nie! Nie ma mowy! — myślała wtedy. Już to przerabiałam. Nigdy więcej. To poza tym moje przedsięwzięcie — moje książki i już.

Słońce wolno zachodzi. Nad ogrodem zapada wieczorny mrok. Elaine pozwala sobie na chwilę zadumy, odrywa się od obowiązków, smakuje urok ogrodowego krajobrazu. W przyszłym roku posadzi tu nowe tulipany, najlepiej wzdłuż żywopłotu z cisów, rozjaśni trochę ten ciemny narożnik. Po paru minutach wraca do listów, już prawie skończyła je czytać. Podzieliła je na dwie grupy — te, na które odpowiedzi może udzielić Sonia, i te, na które będzie musiała odpisać osobiście. Zaproszenie do wygłoszenia prelekcji na jakimś festiwalu literackim; dlaczego nie, jej książki będą się lepiej sprzedawać i zawsze to jakaś promocja dla firmy. Czy zechce być gościem honorowym na uroczystości zakończenia roku i rozdania nagród w policealnej szkole ogrodniczej? Zapewne tak, z tych samych powodów. Czy nie zechciałaby rzucić okiem na ogród pewnej starszej pary w Shropshire („Zdajemy sobie sprawę, że to daleko, ale z wielką przyjemnością ugościmy Panią na parę dni...”), po której to prośbie następuje czterostronicowy, rozwlekły elaborat wyniszczający istotę ich własnych teorii sadzenia

roślin. Nadawcy zapewne mają słabe pojęcie o wysokości stawek Elaine za fachową poradę; list trzeba zostawić Soni. Faksy od klientów, faksy od dostawców, gruby pęk reklamówek i materiałów promocyjnych — rzuca na nie okiem; zdarza się bowiem, że na rynku pojawia się coś, o czym powinna wiedzieć.

Nick napelnił obie szklaneczki. Lada moment usiądzie z powrotem w fotelu.

— Co z omletem?

— Omletem? — Nick jest zaskoczony. — Ach! Jasne. Omlet i sałata. Zaraz zrobię.

— To dobrze — rzuca Elaine.

Bierze do ręki grubszą broszurę na temat nowej marki nawozów i środków spulchniających glebę. Przerzuca szybko strony i wyrzuca broszurę do kosza na śmieci. Nick wciąż stoi.

— Coś się stało?

— Nic, nic... Dziwne, przez moment dziwnie przypominałaś mi Kath. No, dobra. Czas na kolację. Do roboty.

Te słowa bardzo ją złością, nawet nie wie dlaczego, nie potrafi zrozumieć dlaczego, a może nie chce. Nie wygląda jak Kath, nigdy nie wyglądała jak Kath, nigdy w niczym jej nie przypominała i pewnie dlatego Nick powiedział „dziwne, przez moment”. Oboje wiedzieli, że nie ma bardziej różniących się od siebie siostr. Niemniej Elaine wiedziała, co Nick może mieć na myśli. Sama to czasem dostrzegała w lustrze. Coś z ustami. Jakiś genetyczny psikus — to samo, szczególne ułożenie warg. A przecież zdawało się, że bez względu na wszystko Elaine i Kath nie mogą mieć wspólnych genów.

Co za osobliwość; Kath przetrwała w układzie warg. Ciekawe, co by na to powiedziała. Na pewno rzuciłaby jakąś zbywającą uwagę, jedno ze swoich tyleż dowcipnych, co absurdalnych powiedzonek.

Elaine pomyślała, że być może istnieje zależność między tym, jak Kath jest obecna teraz w jej myślach, a tym, jak była obecna w jej dzieciństwie. Stanowiła wtedy dla Elaine, choć stały, to jednak peryferyjny element domowego pejzażu. Kiedy Kath była usuwana w cień tylko ze względu na różnicę wieku, między siostry bezlitośnie wciskał się klin, rozłupywał rodzeństwo na dwie odrębne części, narzucał im odmienne role i kierował na inne ścieżki. Dwunastolatka nie bawi się z sześciolatką, w każdym razie nie ta dwunastolatka. Szesnastolatkę mało interesuje dziesięcioletnia dziewczynka. Elaine pamięta zamknięte od wewnątrz drzwi do swojego pokoju. Pamięta wymuszane przez rodziców, pełne nerwów wspólne wakacje. Czas długich, ciągnących się lat, kiedy Kath była dla niej najwyżej nieznośną osobliwością w otoczeniu, niekiedy źródłem zazdrości, miejscową anomalią klimatyczną, której można nie zauważać, ale trzeba jakoś tolerować, nawet jeśli irytuje. Rodzice częściej ją upominali, niż jej pomagali: „Pamiętaj, ona ma pięć... siedem... dziewięć lat...” Jej obecność oznaczała tyle, że w domu zawsze istniał ten element niepewności, który skupia uwagę innych i żąda troski i pomocy.

Ale ten okres dobiegł końca. Zupełnie nagle, myśli teraz Elaine. Kath raptem dorosła. Przestała być denerwującym dodatkiem do życia Elaine; stała się osobą. Opierzyła się, urosły jej silne skrzydła — przeszła metamorfozę. Oto pojawiła się dziewczyna, przeobraziła się z niepozornej dziecięcej poczwary w urokliwego duszka — elfa, rusałkę, tancereczkę. Pasowało do niej wiele baśniowych określeń. Była śliczna, smukła i zwinna, o długich nogach i drobnym, idealnym ciele. Wyrazista twarz, wąski i piękny nos, oczy zielone jak jeziora północy, idealnie łukowate brwi i brązowoczarne, gęste, mocne włosy — melanż cech, które przyciągały spojrzenia, nienasycone, wracające do niej za każdym razem, gdy Kath pojawia się w pokoju. Można było zauważyć, jak ludzie zerkają na nią ukradkiem, odwracają wzrok, a po chwili znowu zerkają z tym samym zdumieniem, zainteresowaniem i przyjemnością. Ona nie miała o tym pojęcia. Niczego nie była świadoma. Jak nie jest świadom bukiet kwiatów, obraz na ścianie, biżuteria — wszystko, na czym wzrok zatrzymuje się mimowolnie. „Jesteście takie niepodobne”, słyszała nieraz. „Nikt nie pomyślałby, że jesteście siostrami”. Wówczas wołałaby, być może, by takich słów nie wypowiedano, by najwyżej tak pomyślano.

Nick krząta się już po kuchni. Elaine słyszy niezdarne postukiwania patelni i talerzy. Nie rusza się z ciepłarni, przegląda ostatnią transzę listów, które nie wymagają już wielkiej uwagi, odrywa się od nich automatycznie, przenosi się myślami tam, dokąd wywołały ją prowokacyjne słowa Nicka. Oczywiście nie miał zamiaru niczego prowokować. Nick nigdy nie ma takiego zamiaru. To jedna ze znakomych cech Nicka — nieświadome czynienie czegoś, co samoistnie pogarsza sytuację.

Słyszy głos matki. Dość dziwne, bo matka rzadko się teraz przy niej pojawia, zresztą zawsze tak było, przez długie lata.

— Nasze brzydkie kaczątko zmienia się w łabędzia — mówi mama. — Popatrz tylko!

Elaine, która przyjechała na wakacje z college'u, spogląda na siostrę i przyznaje mamie w duchu rację.

— Znajomi mówią, że powinna pomyśleć o szkole aktorskiej. — Mama podnosi brwi, poważnie się nad tym zastanawiając.

Elaine czuje, jak rośnie w niej złość. Typowe! Oczywiście. Typowe dla mamy. Typowe dla znajomych.

— Tak? A dlaczego? — pyta z przekąsem.

Mama, trochę zdezorientowana, brnie dalej. Zaczęła się już bać stanowczości Elaine, ale wciąż nie nauczyła się ostrożnie z nią postępować.

— No... bo jest ładna, chyba.

— A umie grać?

Mama przywołuje występy Kath na szkolnej akademii, jakiś czas temu, drugoplanowa rola. Poza tym uważa, że trudno od razu grać, że przecież właśnie po to idzie się do szkoły aktorskiej, żeby się tego nauczyć, prawda?

Gdy nastał odpowiedni czas, Kath poszła do szkoły aktorskiej, inspirowana być może entuzjazmem i zdaniem mamy, a być może kierując się opiniami całej rzeszy znajomych i nieznanym ludzi. W każdym razie nie wyszło jej to na dobre; ale mama wówczas już nie żyła.

Z mamą był jeden kłopot, myśli Elaine, wszystko brała za dobrą monetę. Z pełnym przekonaniem, bez zastanowienia. Była prostym człowiekiem, miała nieskomplikowane spojrzenie na świat i kierowała się pospolitymi poglądami. To nie była jej wina — rygorystyczne wychowanie, życie skoncentrowane wokół domu i rodziny. Tato, zdaje się, nie wywierał na nią wpływu. Nie pamiętam, by w domu toczono kiedykolwiek poważniejsze dyskusje poza tymi, na jaki kolor pomalować kuchnię albo gdzie wybrać się na wakacje. Żyli wygodnie, spokojnie, bez większych ambicji. Mama troskliwie opiekowała się Kath, mną. Dbała, by posiłki trafiały na stół o właściwej porze, by wszystko było w idealnym porządku, zgodnie z poradami czasopisma „Dobra Gospodyni”. Tato chodził do pracy, przynosił do domu pieniądze, odkładał dla dwojga na emeryturę. Wszystko było jak należy. Byli zadowoleni z życia.

Nie, wcale ich nie bronię — jestem jak najbardziej obiektywna. Widzę ich takimi, jacy byli, nie znaczy to przecież, że ich nie kochałam. Wiedli zwykłe życie, jak większość ludzi, i co w tym złego? Staram się tylko spojrzeć na to z dystansem. Mama była w porządku, choć miała swoje ograniczenia.

I młodo zmarła. Miała czterdzieści trzy lata. Zupełnie się z tym nie liczyli. Bo dlaczego mieliby się z tym liczyć?

Pamiętam telefon od Kath: „Straszne, z mamą coś się dzieje...” Tego dowiedziałam się najpierw. Potem minęło parę miesięcy — cztery, sześć? Staralam się jeździć do domu jak najczęściej. To był jednak trudny i męczący okres; właśnie znalazłam pierwszą pracę, nie miałam na nic czasu, zaległości nadrabiałam w weekendy. A Kath przecież była w domu.

Wiem, Kath miała tylko szesnaście lat, a ja dwadzieścia dwa. Ale była bliżej mamy niż ja. Ona nie przejmowała się szkołą, jeszcze przed chorobą mamy mówiła, że i tak nie ma zamiaru jej kończyć. Oczywiście, po szesnastym roku życia, ostatnią, szóstą klasę mogła kończyć już w college'u i kontynuować naukę w kolejnych latach, czyż nie? Mogła, ale nie chciała?

To ja zajęłam się pogrzebem? Wiele rzeczy słabo już pamiętam, ale bywa, że raptem widzę bardzo czytelne chwile i obrazy. Tato zapadnięty w fotelu; pusta twarz, opuszczone ręce, bezradny — to było ponad jego siły. Staję przed nim, mówię: „Tato, ja wszystko załatwię, nie martw się”. Telefony do księży, do zakładów pogrzebowych.

Trudno, żeby dwudziestodwulatka miała doświadczenie w ułatwianiu takich spraw, ale udało mi się. Pamiętam nawet, że byłam z siebie bardzo zadowolona — pomyślałam wtedy, że skoro dałam sobie radę z takimi sprawami, poradzę też sobie z innymi.

Wydawało się, że Kath zapadła w jakiś trans. Prawie się nie odzywała. Jej uroda nagle gdzieś czmychnęła, jakby ktoś zdmuchnął ją jak świeczkę. W jednej chwili znowu stała się nastolatką — wy-



straszoną dziewczynką, skurczoną w sobie, uciekającą oczami, z malutką twarzą skrytą we włosach. Tak to trwało przez cały rok, może dłużej, potem stopniowo wszystko wróciło do normy. Ludzie znowu zaczęli na nią zerkać w oniemieniu, a potem oczywiście chłopcy, sfory chłopców. Kath, jak myślę, nie przestrzegала żadnej dyscypliny. Ojciec działał jak robot, robił, co do niego należało, a każdy jego dzień był podobny do poprzednich. Jednak po jakimś czasie związał się z Jenny Peterson, a raczej ona się z nim związała. Wkrótce się pobrali.

— Nie mogę z nimi dalej mieszkać, Jenny mnie nie znosi — użalała się Kath.

Powtarzała to nieustannie, przez lata. Teraz mówi to równie wyraziście — z daleka, donośnie, spokojnie. Lecz tylko tyle. Elaine wsłuchuje się, ale nie słyszy nic poza tym.

Co jej odpowiedziała?

Ależ skąd, nie mogłam się zgodzić na to, żeby ze mną zamieszkała. Wynajmowałam wówczas pokój w Chiswick, oszczędzałam każdego pensa na przedpłatę i kupno mieszkania. Kath miała już dziewiętnaście lat. Byłyśmy tak różne, tak nieprzystające do siebie, byłyśmy jak dwa odrębne światy, dwie inne dorosłe osoby, które dzieliła już nie tylko duża różnica wieku, ale też charakter, gust, życiowe cele, wszystko. Kiedy przebywałyśmy razem, mimo woli grałyśmy sobie na nerwach. Zresztą Kath nie była opuszczona i samotna. Przeciwnie, miała przyjaciół, bardzo wielu. Zawsze przebywała w towarzystwie.

Utrzymywałam z nią kontakt, czyż nie? Nie było to łatwe, zważywszy na jej sposób bycia. Człowiek nigdy nie wiedział, gdzie Kath może się znajdować ani jakie ma plany czy z kim. Była nieuchwytna i nieprzewidywalna; każdego tygodnia co innego i gdzie indziej. Był okres szkoły aktorskiej. Krótki. Na początku była nią zachwycona, całkowicie zauroczona, ale już niebawem kończy ze szkołą i aktorstwem: „Szkoła? A... nie, to nie miało sensu. Przyjaciele, nie znasz ich, namówili mnie, żebym zamieszkała z nimi w squacie w Brighton”.

Lata sześćdziesiąte. Kath jak ulał pasowała do lat sześćdziesiątych, a one do niej. Nie przejmować się niczym i robić co się żywnie podoba. Idealny klimat dla Kath — jej młodość przypadła na odpowiedni czas. Moja nie. Z pogardą i ironią spoglądano wówczas na przedsiębiorczość, dbałość o karierę zawodową, szukanie sukcesu. Trzeba też dodać, że ogrodnictwo nie cieszyło się wtedy wielkim zainteresowaniem. Najczęściej kojarzyło się z wrywaniem chwastów na działce przez małżeństwo rencistów lub stryżeniem krzewów w zamożnych domach hrabstwa Gloucester. Kath krążyła z miejsca na miejsce. Uczciwie mówiąc, nie potrafię powiedzieć, czym się wtedy zajmowała i czym chciała się zajmować — ja tymczasem wiedziałam, czego chcę i kim mam zostać.

Oczywiście, martwiłam się o Kath. Oczywiście. Ale czyż nie była dziewczyną pełnoletnią? Nie moją sprawą było prawić jej, co ma robić, a czego nie. Nawet jeśli nie było nikogo, kto mógłby na nią wpłynąć — bo tato także usunął się na bok. Zresztą Kath zbywała każdą uwagę w charakterystyczny sposób.

— Jesteś taka apodyktyczna — wyrzucała. — Przyjechałam z daleka, żeby się z tobą zobaczyć, a ty na powitanie mówisz, że powinnam iść do fryzjera. Bądź dla mnie miła. Wiesz, że zdaję na prawo jazdy. Co ty na to?

Pieniądze, które mama dla mnie zostawiła, poszły na przedpłatę na własne mieszkanie. Powiedziałam Kath, że swoją część powinna ulokować podobnie. Ale nie zrobiła tego. Naturalnie, że nie. Mieszkała tam, gdzie akurat była jakaś okazja — kątem u koleżanki, w jakimś wspólnie wynajmowanym pokoju, gdzieś na sofie w salonie, gdziekolwiek. Diabli wiedzą, co się stało z jej częścią pieniędzy po mamie. Przypuszczam, że po prostu się rozeszły, z czasem wszystko wydała. Nie żeby przepuściła, nie była wcale ekstrawagancka, no, czasem może trochę.

Kath na schodach przed domem. Nie, raczej kosz kwiatów. Liliowy róg obfitości. Kath wygląda spomiędzy nich, śmieje się, tryska humorem: „Niespodzianka! Obudziłam się dzisiaj i wiedziałam, że muszę cię odwiedzić, nie-od-wo-łał-nie!” Elaine tylko jedno przychodzi do głowy, że florystka musiała skasować co najmniej dwadzieścia funtów za bukiet, który najdalej pojutrze zwiędnie.

Zaraz, zaraz, oczywiście głośno tego nie powiedziałam. W każdym razie nie wprost. Być może jakoś dwuznacznie, być może. Kath nigdy nie miała pieniędzy, nie miała stałej pracy, najwyżej jakieś dorywcze zajęcia, czasem coś zarobiła. No dobrze, dobrze, możliwe, że burknęłam parę słów.

Kiedy Kath pojawia się w jej głowie z pełną siłą, Elaine nieraz odczuwa w tej obecności jakąś dokuczliwą, niemą przewrotność, jakby ktoś miał odgrywać rolę adwokata diabła. To nic, że Elaine doskonale wie, jak się mają sprawy, co się stało, kto co zrobił; coś jednak wytrąca ją z równowagi, miesza w głowie. Jakby nie mogła już ufać faktom, które doskonale zna.

Nick woła z kuchni. Omlet będzie gotowy lada chwila.

Elaine wstaje, odnosi faksy i listy do gabinetu, schodzi na dół, do łazienki. Tam rzuca okiem na lustro i szuka w sobie śladów Kath, ale nic nie dostrzega. Jej usta są znowu wyłącznie jej ustami. Co więcej, jest zadowolona z odbicia w lustrze: z wiekiem jej twarz wyszlachetniała, rysy nabrały wyrazistości i harmonii. Dzisiaj zatrzymuje na sobie spojrzenia częściej niż w młodości. Coś, co nigdy nie było śliczne, teraz stało się piękne. Kształtny nos, foremna szczeka, szeroko rozstawione oczy, dyskretne kości policzkowe. Gęste, kasztanowate włosy, wciąż nie siwiejące. Można się dobrze ubierać i zdrowo wyglądać, myśli Elaine. Nie ma to jak dobre, stałe zajęcie, nie wspominając już o przebywaniu na świeżym powietrzu i przyjemności lekkiej pracy fizycznej. Pokrzepiona poszła do Nicka.

Omlet gumasty, sałata zupełnie bez smaku. Nick nigdy się nie przejmował tym, by przyswoić sobie bodaj podstawowe umiejętności domowe. Niemniej z dumą w oczach zaprasza ją do stołu, jakby był jej hojnym i łaskawym dobrodziejem.

— Proszę! Podano do stołu! Omlet gotowy. Wino otwarte. Siadaj i jedz.

Jedzą. Nick opowiada o Isambardzie Brunelu i brytyjskiej inżynierii drogowej, o nowych planach i nowych wyprawach, „Aha, skoro już o tym mowa, byłbym zapomniał, jutro muszę zawieźć sa-

mochód do mechanika..." Drobiazg, wymiana układu wydechowego, ale trochę potrwa, czy widzi zatem możliwość, by mógł pożyczyć jej samochód. Po czym, nie czekając na odpowiedź, zmienia temat, jak wie, pracuje teraz nad serią krajoznawczych przewodników po szlakach geologicznych: „...Błękitny lias z wczesnej jury, od Yorkshire po Dorset, góry kambryjskie w Walii... to fantastyczne. Oczywiście, potrzeba całej grupy badaczy...”

Elaine słyszy jego słowa, ale koncentruje się na swoich sprawach. Jej myśli krążą między szczegółami nowego zlecenia a różnymi wspomnieniami, które dryfują bez celu i nieproszone wdzierają się wąskimi przesmykami w jej rzeczywistość. Królewskie lilie porastające kamienny murek w polu splatają się raptem z przygotowaniami do rozmowy z gburowatym dostawcą kompostu; wizja *Sorbus vilmorinii* zostaje nagle zmieciona przez wspomnienie spaceru po portowym nabrzeżu Cobb, gdy pojechała z Polly do kąpieliska Lyme Regis. To ostatnie wspomnienie poparte jest mimowolnym spojrzeniem na kredens, na którym stoi kupiona tam wówczas piękna donica. Polly ma osiem i pół roku, ma na sobie różowe szorty i koszulkę z krótkimi rękawami. „Kupisz mi czekoladowego batonika?” Elaine zastanawia się, czy może się szarpnąć na klasyczną wiktoriańską ceramikę, która strasznie ją kuszi. „No, kupisz?” Gdzie Nick? Dlaczego Nick nie zajmuje stanowiska w sprawie donicy i batonika? Ale Nicka nie ma — na tym urywa się wspomnienie. Najwidoczniej musiała wrócić do sklepu z antykami i kupić donicę, ale tego już nie pamięta. Nie pamięta też, czy Polly dostała batonika. Znając Polly, najpewniej dopięła swego.

Tamto wcielenie Polly zostaje teraz zastąpione zupełnie innym, pojawiającym się chyba bez szczególnej przyczyny, ot, nieświadomy strumień wyobraźni. Polly jest dużo młodsza. Ma cztery lata, może jeszcze mniej. Tańczy. Razem z Kath. W salonie ich starego domu. Gra muzyka. Z magnetofonu? Z radia? Elaine słyszy piosenkę: „Idziemy na jagody, na jagody, na jagody...” Melodyjna, zapraszająca do tańca. Polly i Kath, zwrócone do siebie twarzami, trzymają się za ręce — mała Polly, dorosła Kath — wirują po pokoju: „Idziemy na jagody, na jagody...” W oczach zachwyty, radosne uśmiechy, zapomnienie... Polly zadziera głowę i patrzy z uwielbieniem na Kath, i wirują. Bez końca chyba.

Na pewno wisteria, w ogrodzie w Surrey, ale czy szcudrzeńce będą pasować? Jutro musi opracować konspekt nowej propozycji książkowej, musi porozmawiać z Pam i z księgową. Spogląda na Nicka ponad stołem, ten wciąż rozprawia w najlepsze. Jedno spojrzenie na ucho Nicka, lewe, niespodziewanie wstrzymuje natłok myśli w jej głowie; przywołuje to wspomnienie ich nocy poślubnej, a raczej poranka po nocy poślubnej. Elaine budzi się i patrzy na coś; raptem dociera do niej, że wpatruje się w różową mażowinę ucha, na poduszce obok niej. Nigdy wcześniej nie przypatrywała się uchu z taką ciekawością i w tak intymny sposób. „Więc to jest małżeństwo”, pomyślała wtedy.

Teraz zastanawia się, czy umiałaby odróżnić ucho Nicka wśród dziesiątek innych. Gdyby było oderwane od głowy? Rozpoznałaby? Dajmy na to, gdyby dostała je w kopercie od porywaczy. Podobno robią takie okropne rzeczy.

— ...Och, oczywiście, przewodników po szlakach turystycznych jest całe mrowie — mówi dalej Nick. — Ale przewodnik tematyczny to coś nowego. Można zrobić przewodnik nie tylko geologiczny, ale, powiedzmy, botaniczny, historyczny, co tam chcesz... — Przerzywa na chwilę. — Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Elaine raptownie odrywa się od myśli na temat lewego ucha męża.

— Będziesz sam penetrował te wszystkie szlaki?

— Och, jednej osobie nie starczyłoby czasu. Myślę o sporej grupie wolontariuszy. Może dziewczęta z ogródka...

— Nie.

— Oczywiście dostaną zwrot kosztów.

— Dziewczęta z ogródka, jak je nazywasz, to nie zgraja włóczęgów, które nie mają co zrobić z wolnym czasem, ale studentki, które odbywają u mnie praktyki z ogrodnictwa i ciężko pracują. — Elaine wstaje. — Kawy?

— Tak, skoro już robisz. Jutro chciałem zrobić mały objazd po okolicy, mam na oku parę tras, niedaleko, może przyjdą mi do głowy nowe pomysły. To co, mogę pożyczyć samochód?

— Nie. Muszę jechać po zakupy. Chyba że pojedziesz do hipermarketu.

Nickowi zrzęda mina. Jak było do przewidzenia, nie ciągnie tematu. Znowu zmienia taktykę.

— Nic nie szkodzi. Pojadę, kiedy auto wróci od mechanika. Właściwie powinniśmy pomyśleć o wymianie mojego samochodu, ciągle się psuje, czas go zastąpić.

— Ale czym...?

— Myślałem o nowym modelu renault, fajne autko. — Nick podniecony podnosi głos. — Wiesz, o który chodzi? Pojawia się w reklamach. Czerwony. Zawsze chciałem mieć czerwony samochód.

— Nie pytałam, czym zastąpić stary samochód. Miałam na myśli co innego. Czym masz zamiar zapłacić za nowy?

Oj, złe wychowanie. Przecież obowiązuje ich cicha umowa: nie będą roztrząsać faktu, że domowe rachunki opłaca Elaine. W każdym razie on uważa, że jest taka umowa.

Nick podnosi brwi i ściąga lekko wargi. Niemal niezauważalnie wzrusza ramionami. Patrzy na nią potulnie z miną, którą Elaine nazwała sobie w duchu miną skarconego szczeniaka. Kiedyś, dwadzieścia lat temu, to spojrzenie całkowicie ją rozbijało, jednak ostatnio straciło siłę oddziaływania.

Elaine robi kawę. W kuchni zapanowała cisza — w kuchni, która służy także za warsztat pracy. Przypomina o tym niemal każdy kąt: w jednym wisi na ścianie tablica, na której białą kredą, podczas

nieobecności Elaine, współpracownicy zapisują najważniejsze informacje dnia; w drugim plakaty od wydawców promujące książkę Elaine; a na parapetach inspekty, wypełnione czymś dzbanki i dzbanuszki, i miedziany garnek z *Ibis sibirica*. Cisza, jaka zapadła, jest dla Elaine niemal niezauważalna; jej myśli wciąż są głośne. Napis na tablicy utwierdza ją w przekonaniu, że raczej trzeba wymienić psującą się kosiarkę niż samochód Nicka; irysy przypominają jej o zaległym zamówieniu na cebulki. Lecz wszystkie te myśli płyną wolno ponad nurtem kłębiących się emocji i nagłych głosów, nie mających nic wspólnego z tym, co się dzieje tu i teraz. Czuje się obciążona nad miarę, czuje narastającą irytację i bunt. Z nie wypowiedzianym wyrzutem stawia przed Nickiem kubek kawy. Uważasz, że wszystko jest w porządku, mówi bezgłośnie, że jestem zadowolona i że ty też możesz być o mnie spokojny. Zawsze tak uważałeś. Najważniejsze to błogi spokój, prawda? Błąd. Kardynalny. Nie zawsze byłam taka, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Bywały okresy, kiedy byłam od ciebie daleko, bardzo daleko, niebezpiecznie daleko. Zwłaszcza tamten jeden raz. Zapamiętaj to sobie.

Dzwoni telefon.

— Odbiorę — oświadcza krótko Elaine. Polly.

— Cześć mamó, gdzie byłaś, dzwoniłam wcześniej, ciebie nie ma i nie ma... — Polly natychmiast wpada w swój rytm.

Elaine widzi ją; leży na sofie w swoim mieszkanku w Highbury, z nogami ułożonymi wysoko na oparciu („Tak, tak, czynsze są bająnskie, ale tu jest tak fajno, no i tylko dwie minuty do stacji metra...!”). Polly miała szalony dzień, pada z nóg, ledwo żyje, wprost trudno uwierzyć, przez co musiała przejść z tymi nowymi klientami, makabra, właśnie wybiera się z przyjaciółmi do knajpy, żeby ochłoniąć, zadzwoni jeszcze przed weekendem, może wpadnie w niedzielę, zależy, w jakim będzie nastroju, tak tylko dzwoni, żeby sprawdzić, co i jak, ten tydzień był kompletnie zwariowany, to pa, mamó, trzymaj się zdrowo, pa, pa!

Głos Polly wlewa się gwałtownym strumieniem do kuchni, jak z odległej planety, co w pewnym sensie można by przyjąć za prawdę. Elaine dobrze wie, jak wygląda życie córki; jedna gorączkowa biegania, szaleństwa pracy i zabaw, odpowiedzialność, solenna konsekwencja, determinacja i solidność. Polly ma trzydzieści trzy lata. Za rok zamierza założyć własną firmę i zacznie myśleć o dziecku. Co prawda, jak na razie, zaplanowanemu dziecku nie zaplanowała jeszcze ojca, ale na wszystko przyjdzie czas. Elaine czuje, że podoba się jej podejście Polly do życia. Zaplanowane miesiące i lata, czas pokryty siecią przemyślanej strategii, wytyczone cele, rozeznane sposoby ich osiągnięcia; kiedy dostanę pierwszą podwyżkę, kupię nowy dywan, wiosną zamierzam zmienić pracę, do Gwiazdki rozstaję się z Danem, jeśli nadal nic z tego nie będzie wynikało. To podejście przypominające pytania, jakie można dziś usłyszeć od pracodawcy w czasie rozmowy kwalifikacyjnej: „Co zamierza pani robić za pięć lat?” Może inaczej, może takie pytanie odzwierciedla wizerunek dzisiejszej młodej generacji? Będąc w wieku Polly, tuż po trzydziestce, Elaine nie byłaby skłonna ryzykować odpowiedzi na pyta-

nie, co będzie robić po pięciu latach. Czułaby, że próba szukania odpowiedzi na takie pytanie to kuszenie losu lub opatrności. Jedno jest pewne, nie potrafiłaby dać odpowiedzi jednoznacznej, zdecydowanej i ambitnej, takiej *de rigueur*, która odtąd stanowiłaby obowiązującą zasadę. Elaine lubi tę kombinację chłodnego pragmatyzmu i dobrych intencji; to najbardziej odpowiedni dla niej klimat do działania. Swoją sukces osiągnęła dzięki ciężkiej pracy i raczej oportunistom niż wykalkulowanemu wspinaniu się po szczeblach kariery.

— Poll ma sto tysięcy spraw na głowie, he? — Nick zachichotał. — Mnie też zalała rzeką opowieści. Jak zwykle, znowu suuuperrobota dla suuuperfirmy. Ciągłe do przodu, he?

Dla Nicka Polly jest wciąż źródłem dobrej zabawy, jakby wciąż miała sześć czy szesnaście lat. Polly nauczyła się traktować ojca z ogromną dozą tolerancji, choć podszytej poirytowaniem i zniecierpliwieniem; ot, jak traktuje się starszego brata. Często kręci się wokół niego jak osa: „Tato, na biurku masz kompletny bałagan. Przepraszam, ale muszę coś z tym zrobić”. Albo przypatruje mu się uważnie, powstrzymuje cisnącą się na usta uwagę, a wreszcie mówi dobitnie: „Tato, nie możesz nosić tego krawata do tej koszuli”. Była w tym prawdziwa troska, bo jeśli ktoś rzeczywiście nie interesował Polly, to nie zauważała go wcale. Nick, który słabo umiał odróżnić, co przynosi mu ujmę, a co nie, i który posiadał wrodzoną skłonność puszczania mimo uszu wszystkiego, co nie robiło na nim wielkiego wrażenia, nie miał nic przeciwko temu. Chętnie się także zgadzał, by Polly rozliczała za niego zeznania podatkowe, choć przecież mało skomplikowane, zważywszy na jego nikłe dochody. Niedawno Polly zaopatrzyła ojca w chińskie zioła przeciw katarowi siennemu i dręcząc go niemiłosiernie, zmusiła do członkostwa w jakimś klubie zdrowego żywienia. Poczucie poirytowania zostało w ten sposób wyparte przez coś w rodzaju nadopiekuńczości, jakby Nick był dla niej nie najlepiej funkcjonującą, ale bardzo ważną instytucją. Elaine widziała w takim stanowisku coś denerwującego i irracjonalnego zarazem.

Powroty do domu są istotne, mówi Polly, gdy wpada na jedną noc albo na krótki posiłek — chodzi o to, żeby wszystko było dokładnie takie samo. Nie rozumiecie? To znaczy, oczywiście, możecie czasem zmienić firanki w oknie, jeśli koniecznie wam na tym zależy, choć i to w granicach rozsądku, ale ogólnie wszystko powinno być nienaruszone. Muszę mieć możliwość zawinięcia do portu macierzystego, rozumiecie, stałej bazy. Wiem, wiem, to skrajny egocentryzm, ale chyba nie macie nic przeciwko temu, no nie? Od czasu do czasu zgodzę się na małe innowacje, właściwie łazienkę można by już teraz odnowić, ale podstaw nie wolno naruszyć, jasne? Żadnych rozjaśniaczy do włosów, mammo, dobrze? A jeśli zobaczę kiedyś tatę we flanelowej koszuli i tweedowych spodniach, to, jak Boga kocham, na miejscu ukręcę mu łeb!

Słyszając tę mantrę, Elaine czuje wzruszenie, a zarazem bunt. Dobrze, dobrze, myśli, rozumiem, o co ci chodzi, córeczko, ale przecież nie dzieją się tu żadne rewolucje i nie ma powodu do zmartwień, prawda? Och, córeczko, naprawdę nie. Jeśli wprowadzam zmiany, to mają one związek tylko z firmą; nowe rośliny w ogrodzie albo nowe wyposażenie biura. No, to chyba ci nie przeszkadza?

Nick skończył pić kawę. Wertuje gazetę w poszukiwaniu programu telewizyjnego. Elaine bierze do ręki notes z adresami i przysuwa telefon. Musi zadzwonić do klienta, którego można zastać tylko wieczorami. Nick podnosi na nią oczy znad gazety.

— Przypomniało mi się. Telefonował Glyn. Powiedział, że spróbuje cię złapać jutro.

— Glyn? — Podnosi brwi. — Ach... ten Glyn.

TLR

Dlaczego restauracja? Dlaczego nie chciał przyjść do jej domu? W ogóle dlaczego?

Elaine zwalnia przed budynkiem restauracji „Pod Łabędziem”, znajduje wolne miejsce i parkuje samochód. Poprawia włosy w lusterku wstecznym i patrzy na swą twarz. Minęło tyle czasu od ostatniego spotkania z Glynem; jeszcze więcej od czasu, gdy sami jedli kolację.

Restauracja „Pod Łabędziem” położona jest niemal dokładnie w połowie drogi. Każde z nich miało do pokonania około pięćdziesięciu kilometrów. Cały Glyn. Glyn ma łeb na karku. Glyn to człowiek praktyczny. „Dziękuję za zaproszenie, ale... w domu raczej nie... Jeśli nie masz nic przeciwko temu... Miło będzie cię zobaczyć”. Po krótkim pożegnaniu odkłada słuchawkę, nie otrzymując dalszych wyjaśnień.

Elaine wchodzi na salę — na ścianach przyciemnione panele, rozproszone światło, czerwone obrusy w kratę, czas lunchu, zwykły dzień roboczy, ale niedużo ludzi. Przy jednym ze stolików widzi Glyna. On wstaje i wita się z nią; pocałunek w policzek.

— Świetnie wyglądasz, Elaine.

Glyn jest zaskoczony. Elaine ma już chyba sześćdziesiątkę albo i więcej. Boże kochany, nie wygląda na swoje lata. Wcale. W każdym razie nie bardziej, niż mógłby oczekiwać, jeśli można tak to ująć.

Elaine siada, rzucając szorstką uwagę na temat widocznego za oknem restauracyjnego ogródka. Glyn patrzy na nią; przycięte krótko włosy, ubrana prosto, ale z gustem. Elaine zawsze miała w sobie jakąś nieodpartą siłę i to się nie zmieniło. Jakaś para przy sąsiednim stoliku patrzy na nich ukradkiem. Cieszyłby się ze spotkania, gdyby nie okoliczności — przyjemnie zobaczyć się z miłą kobietą, którą zna się od tylu lat. Ale to nie chwila na uciechy i radości. Spotkanie ma ustalony porządek, przyjechał tutaj z przemyślanym planem rozmowy, w konkretnym celu i z jasnym postanowieniem, które musi zrealizować. Rozprasza go piekąca zawartość kieszeni marynarki, nie słyszy dobrze pytań Elaine, nie zauważa, jak kelner podsuwa kartę.

Po co ten lunch? Elaine od razu dostrzega napięcie. Trzeba znać Glyna, by po nim to poznać — nie ma chyba bardziej zrównoważonego człowieka, takiego, który okaże najwyżej lekkie poruszenie. Ale dzisiaj jest coś więcej. Elaine instynktownie to wyczuwa; rozbiegane oczy, brak koncentracji, zaniepokojenie. Najwyraźniej musi nabrać sił, by rozsypać worek z wiadomościami dobrego i złego; mało spodziewana powściągliwość z jego strony. O co może chodzić? Może żeni się po raz drugi i uważa, że przyzwoitość wymaga, by do siostry byłej żony przyjść z zapowiedziami? Może otrzymał tytuł szlachecki, godność para — w końcu jest poważanym akademikiem, często wypowiadającym się w sprawach publicznych? Może — Elaine poczuła gorące rumieńce — może pracuje przy jakimś odkryciu archeologicznym, które wymaga fachowej ekspertyzy ogrodnika, jak... wtedy? Jeśli tak, to



znajdzie czas. Tyle się o tym mówi — zagubione ogrody. Telewizja, najlepszy czas oglądalności. Ciekawe. Chętnie by się zaangażowała.

Wraca kelner, składają zamówienie.

— Pozdrowienia od Nicka — mówi Elaine.

Glyn zaczyna się bawić serwetką. Smaruje masłem kawałek bułeczki.

— Jak interesy, Elaine? Dużo pracy?

— Tyle, ile trzeba. Zawsze może być gorzej.

— To dobrze, to dobrze. Szczęśliwy człowiek z ciebie. Upiększasz ziemię, sadzisz w niej nowe krzewy i kwiaty, i jeszcze ci za to płacą. W przeciwieństwie do takich jak ja, co to rozkopują ziemię i zadręczają się pytaniami, co w niej kiedyś rosło.

— Też ci za to płacą — mówi Elaine.

— Prawda. — Sięga nad stołem i na chwilę kładzie dłoń na jej dłoni. — Cieszę się, że ci się powodzi. Zaslugujesz na to. Ciężko pracujesz, zawsze ciężko pracowałaś.

Glyn to człowiek bliskiego kontaktu, jest ciepły i czuły. Ręka na ramieniu, mimowolne ujęcie pod łokieć, objęcie ramieniem — to Glyn. Ten gest przypomina jej o tym.

— Nie narzekam. Chyba że trafiam na kompletnie zwariowanych klientów.

— Ach, ryzyko zawodowe. Lancelot Brown miałby coś o tym do powiedzenia. Repton\* też. Musieli radzić sobie z osiemnastowiecznymi arystokratami, co zapewne nie było ani łatwe, ani przyjemne. Zważ jednak, że to arystokraci znikną z kart historii. Twoje dzieła przetrwają i bankierów, i kupców, i wszystkich innych możliwych tego świata, którzy teraz są twoim utrapieniem.

\* Lancelot „Capability” Brown (1715—1783) — brytyjski architekt i wybitny projektant ogrodów; Humphrey Repton (1752—1818) — brytyjski projektant ogrodów, autor pięciu książek na ten temat.

Podczas gdy kelner podaje pierwsze danie, Glyn mówi o jakimś magnacie, który kazał wykopać jezioro na swoich włościach, ale ponieważ efekt nie bardzo mu się spodobał, kazał je zasypać. Ciągnie dalej, wylicza przykłady gigantycznych wydatków, jakie w historii poniesiono przy zakładaniu wspinających ogrodów. Elaine zapomniała już o jego łatwości opowiadania, lotności, pojętności, wiedzy, zdolności zaklinania faktów, liczb i anegdot w barwny obraz. Niezwykła to umiejętność, jednak w tej chwili naznaczona źle skrywanym piętnem rutyny.

Glyn zawisł na chwilę w próżni. Chciałby już przejść do sedna sprawy, jego myśli krążą wyłącznie wokół tego jednego tematu, ale wydaje mu się, że po tak długim niewidzeniu Elaine powinien zachować jakieś konwenanse i pokazać dobre maniery. Czas rozmowy o wszystkim i niczym. Uprzejme słowa i uśmiechy.

— Fascynujące. — Elaine kręci głową. — Jesteś kopalnią wiedzy, Glyn. Zapomniałam już. Trochę mi schlebiasz, wspominając Reptona i Browna, jeszcze nigdzie nie wykopałam jeziora, ale kto wie, kto wie... Może mój czas nadejdzie.

Glyn brnie dalej. To konwersacja z trudem zasługująca na to miano; krótkie komentarze, szybka wymiana opinii, przytakiwanie, czasem wspomnienie, innym razem aluzja do wspólnych wydarzeń z przeszłości. Kelner zabiera talerze, po chwili przynosi następne danie. Teraz, myśli Glyn, za chwilę, za dwie minutki, kiedy skończy jeść.

Elaine opowiada o Polly. Glyn patrzy na nią pytającym wzrokiem, myśli. Córka. Racja, córka — „...projektuje witryny internetowe”, kończy Elaine. Glyn kiwa głową, wyrażając pełne zainteresowanie.

— Czy ty w ogóle wiesz, co to jest witryna internetowa? Glyn rozkłada bezradnie ręce.

Elaine odkłada nóż i widelec na pusty talerz. Delikatnie ociera usta serwetką.

— Mam dziwne wrażenie, że nie dotarło do ciebie ani jedno moje słowo — patrzy na niego długo, przenikliwie. — Glyn, wyrzuć to z siebie. Chyba nie spotkaliśmy się po to, żeby pogawędzić o starych czasach, prawda?

— Ach...

Glyn odsuwa talerz. Racja, teraz. Nagle czuje, jak wracają siły, już jest opanowany, myśli wróciły na właściwy tor. Wreszcie pozna odpowiedzi na parę pytań. Sięga do kieszeni.

— Masz rację, Elaine.

Elaine już się domyśla, że chodzi o coś zupełnie innego, niż przypuszczała. Nie o drugie małżeństwo, nie o godność para ani też, niestety, o zagubione ogrody. Nagle poczuła, że przejmuje ją dreszcz niepokoju.

Glyn wyciąga coś do niej. Bierze od niego fotografię i złożoną kartkę papieru. Najpierw patrzy na zdjęcie. Przygląda mu się dość długo. Potem czyta zapisaną kartkę.

Nic nie mówi. W jednej dłoni trzyma przed oczami kartkę, w drugiej zdjęcie. Patrzy, ale milczy. W końcu wolno przenosi wzrok na Glyną.

— Znalazłem w szafie na półpiętrze — wyjaśnia. — Nikt tam nigdy nie zaglądał. Musiały tam być przez cały czas, to jest... od czasu, kiedy ona... Od wtedy. Znajdowały się w tym. — Podaje jej kopertę.

**NIE OTWIERAĆ - ZNISZCZYĆ.**

Elaine czyta.

— No więc... — zaczyna Glyn. — To jest moje nowe wykopalisko, które wymaga wyjaśnienia.

Patrzy na nią uważnie.

Elaine znowu spogląda na fotografię. Dzieje się coś dziwnego, z nią i postaciami, na które patrzy. Widzi osoby dobrze jej znane, ale nagle zupełnie jej obce. Jakby Kath i Nick przeszli tajemną

metamorfozę. W niemy, nieporuszony, gładki jak lustro staw przeszłości wpadł nagle z siłą rzucony kamień. Zmącił wodę, wzbudził fale, a w miarę jak rozchodziły się ich kręgi, wszystko stawało się mniej wyraźne. Obrazy w wodzie są inne, rozkołysały się i rozhuśtały. Złamały się kształty i linie; nic już się nie da rozpoznać. Wszystko, co było, jest już zupełnie inne.

— Może wiedziałas? — pyta niepewnie Glyn.

— Nie. Nie wiedziałam. Zakładając, że rzeczywiście było o czym wiedzieć.

— Cóż, a na co to wygląda twoim zdaniem?

Elaine spostrzegła wystarczająco dużo, splecione dłonie, charakter pisma, ton zawartych w liściku słów. Bierze zdjęcie i kartkę i ostrożnie wkłada je z powrotem do koperty.

— Wydaje mi się, że wygląda na to... na co wygląda. Nic nie wiedziałam.

— Zatem przepraszam cię. To dla ciebie zapewne taki sam wstrząs jak dla mnie. Już się bałem, że byłem jedynym, który nic nie wie i porusza się w ciemności ślepcą.

Elaine nie komentuje. Kręgi fal rozchodzą się coraz dalej i spokojniej. Nikną, pozostawiając trochę bardziej przejrzyste obrazy. Ale z drugiej strony nie są jeszcze dość klarowne; są brzydkie, zniekształcone i mylące.

— Kiedy to zdjęcie zostało zrobione? Gdzie to było? — zapytał Glyn.

— To musiało być pod koniec lat osiemdziesiątych, osiemdziesiąty siódmy, może ósmy. Wybraliśmy się na wycieczkę do rzymskiej willi w Chedworth. Nie pamiętam, dlaczego akurat tam. Była też Mary Packard ze swoim aktualnym facetem. Pamiętasz ją? — Elaine mówi słabym głosem, wolałaby w ogóle się nie odzywać.

Glyn kręci przecząco głową. Nie interesuje go Mary Packard.

— Kto tam jeszcze był? Kto robił zdjęcie? I przekazał je Nickowi?

Elaine milczy. W końcu mówi.

— Oliver.

Oliver. Jeszcze gdy wymawia jego imię, Oliver rozpada się na kawałki i łączy w nową postać, w jednej nanosekundzie, w burzącym wszystko rozbłysku. Także on staje się kimś innym. Ten sam Oliver, który tkwił w jej głowie niewzruszony przez ostatnich dziesięć, piętnaście lat, znika raptem, a w jego miejsce wstępuje inny Oliver, ten, którego nie zna. Nie znała.

— Rozumiem. On. Stary, dobry, spolegliwy Oliver. Widać także był w zмовie.

Kelner krąży wokół ich stołu, zbiera talerze, podsuwa karty, zachęca do deseru. Elaine czuje się, jakby spadła z dużej wysokości, a ktoś z boku szczypał ją w łydkę, sprawdzając, czy się jeszcze pode-rwie.

— Dziękuję — mówi. — Proszę tylko kawę.

Nie będę teraz zaprzętał sobie głowy Oliverem, myśli Glyn. Jeszcze do niego wrócę. Chodzi o to, że teraz jest nas dwoje. Zerka w kierunku Elaine; jest rozkojarzona, trochę przybita, widzi to w jej

oczach, ale nie załamana. Nic dziwnego, Elaine nie należy do kobiet, które wybiegają z pokoju z płaczem, kryjąc twarz w chusteczce.

— Naprawdę mi przykro — mówi. — Wiem, że to bolesny cios. Sam musiałem trawić to kilka dni... Choć wcale nie czuję się przez to lepiej.

— Lepiej niż jak?

To nie pytanie, raczej zachęta do rozmowy, wręcz pod powiedź. Mów, myśli Elaine. Mów i daj mi czas do namysłu. Pozwól nabrać oddechu, dokonać szybko bilansu. Wydaje się, że to mnie wcale nie dziwi, mniej w każdym razie, niż mogłabym oczekiwać.

— Chodzi o to, że nic już nie wydaje mi się takie jak wcześniej — mówi Glyn. — Człowiek coś tam sobie myśli i nagle to okazuje się złudą, jakimś omamem. Nic nie wiedziałem... my nie wiedzieliśmy, nie mieliśmy pojęcia o czymś tak ważnym, o tym mianowicie, że twoja siostra, a moja żona, powiedzmy to otwarcie, miała romans z twoim mężem. Na wszystko trzeba teraz spojrzeć w innym świetle i z innej strony.

— Być może niektórzy w ogóle nie chcą patrzeć.

— Niestety, dla mnie to niemożliwe. A dla ciebie? Pauza.

— Prawdopodobnie też nie.

— Nie umiem tolerować zafałszowanego obrazu rzeczywistości, to moja choroba zawodowa. Najgorzej, gdy nagle wszystko owiewają wątpliwości. W każdym razie ja tak to widzę. — Milknie raptem.

Czuje, że nie ma ochoty dalej mówić. W przyjętym wcześniej porządku rozmowy nie mieszczą się żadne sprawy osobiste; są zbyt bolesne. Chciał się spotkać tylko z powodów praktycznych, chciał uzyskać wiedzę, a ta część spotkania jest już za nimi. Wie, co powinien wiedzieć. Lub raczej zaczyna się domyślać, co powinien wiedzieć. W głowie pojawia się potok nowych myśli.

— Nawyk zawodowy, jak sędzę. W naszej branży nie lubimy, gdy status quo zostaje naruszone. To najgorsze, co może się przytrafić; pojawia się jedna nowa informacja, drobny detal, a wali się misterny gmach skrzętnie składanej wiedzy. Weźmy choćby kwestię datowania metodą węgla C14, wszystko już było ładnie rozpisane, wszystko wiadome, wyryte jak przykazania na kamiennych tablicach, już dobrze wiadomo, co jest czemu współczesne, i nagle trach! Pojawia się dendrochronologia i szlag trafia całą pieczołowicie składaną konstrukcję. Stonehenge okazuje się wcześniejsze niż piramidy, neolit wcale nie trwał wtedy, kiedy się wydawało, że trwał... i tak dalej, i tak dalej. Wszystko do kosza — nagle jakby opamiętuje się, przerywa i patrzy z troską na Elaine. — Przepraszam, wiesz coś w ogóle o radioaktywnym węglu *Cu*?

— Tyle, ile mi w tej chwili trzeba.

— Nowożytna historia jest bardziej odporna na takie niespodzianki. To raczej kwestia grzebania w ziemi, kolejnych interpretacji i konstruowania argumentów. Tu nagły zwrot jest mało prawdopo-

dobny. Prawdziwe ruchome piaski drzemią w starych dziejach. Nie mówiąc już o paleontologii. To jest dopiero pole minowe. Tu nie ma żadnych świętości. Zawsze istnieje możliwość, że eksploduje nowy niezbity dowód, który przesunie słupy orientacyjne o kilka metrów. Susza latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku umożliwiła wykonanie dokładnych zdjęć lotniczych, które ukazały ślady osadnictwa na płycie południowej, co nikomu nigdy przez głowę nawet nie przeszło! Należało od początku przeliczać liczbę ludności w czasach prehistorycznych. Rozumiesz?

— Wiem, o co ci chodzi. Twoje osobiste słupy orientacyjne zostały mocno przesunięte.

Glyn patrzy na nią nad stołem.

— A twoje nie?

Kelner postawił przed nimi kawę. Wraz z jej aromatem oboje poczuli obecność Kath. Nie jednej, lecz wielu Kath. Glyn widzi ją, jak siedzi na daszku niedużego jachtu, nie ma pojęcia, dlaczego akurat na daszku, na kanale Grand Union w Northamptonshire. Rękoma obejmuje kolana, na nogach ma espadryle, na głowie wystrzępiony kapelusz słomkowy z jasnoniebieską wstążką wokół ronda. Co on robi? Najpewniej siedzi przy sterze. Kath nigdy nie nauczyła się sterować jachtem. Jeśli jest na pokładzie ta druga para, która (pamięta to jak przez mgłę) wybrała się z nimi na weekendowy rejs, to nie mieści się w kadrze jego wzroku. Kath siedzi sama, patrzy na dwójkę małych dzieci, bawiących się na ścieżce biegnącej wzdłuż nabrzeża. Dzieci bardzo małe — dziwne, że je zapamiętał i wciąż je widzi. Kath patrzy nieruchomym wzrokiem, a on, Glyn, energicznie obraca sterem i wypatruje kolejnej śluzy. Kath jest daleko myślami.

Elaine widzi kilka postaci Kath; przetaczają się przez jej głowę w różnych kierunkach. Nie może nad nimi zapanować, nie uda się Kath wyrzucić z myśli. Jest taka jak zawsze, jaka była w dzieciństwie, błyszcząca, migocząca w każdej stronie świata, raz tu, raz tam. Nie sposób jej zlekceważyć, nie sposób nie zauważyć. „Hej, tu jestem!”, zdaje się wołać. „Hej, teraz jestem tu, popatrz!”

Elaine patrzy. Widzi postać nowej Kath, zmaconą tym, o czym Elaine już wie. Jest zła na siostrę — zła, rozżalona i urażona. Ale jest także zbита z tropu, nie dowierza i nie rozumie. Dlaczego? Dlaczego Nick? Kath zdawała się w ogóle nie zauważać Nicka. Był dla niej po prostu mężem siostry, kimś, kto siłą rzeczy raz po raz pojawia się na horyzoncie. Jego widok był tyleż swojski, ile nieuchronny — mój mąż. Tymczasem przez cały czas... albo przez jakiś czas.

Elaine podsumowuje tamten dzień, dzień fotografii. Stara się złapać czas. Gdy miesza kawę, odkłada łyżeczkę, podnosi filiżankę do ust, a potem odstawia ją z powrotem na spodek, przywołuje tamte godziny. Choć niewiele ma do przywołania — wydaje się, że całe połączenie tamtych chwil porwały wody puszczane korytem rzymskiego akweduktu. Widzi pięknie odrestaurowane ruiny, mozaikową posadzkę, ślad psiej łapy zastygły w rzymskim cemencie. Widzi trawiasty brzeg i otaczający ich las. Widzi Kath idącą w ich kierunku na parking, widzi Mary Packard i jej towarzysza; najwyraźniej parking był punktem zbornym. Samo umawianie się i powód wycieczki zaginęły w niepamięci. Ale moż-

na się domyślać: „Słuchaj, mam z Mary znakomity plan... tak, tak, jutro, jak zawsze... ależ oczywiście, że możesz na trochę zostawić firmę, przyjedźcie oboje, weźcie Olivera...” Wynurzają się z pamięci inne obrazy z pikniku. Nick szpera w torbie: „Kochanie, wzięliśmy jakieś owoce?” Mary Packard i Kath wychylają się poza barierkę, która odgradza mozaikową posadzkę. Śmieją się do siebie. Towarzysz Mary Packard jest cichy i tak pochłonięty widokiem akweduktu przy willi, że Elaine nie potrafi obdarzyć go rysami twarzy ani nawet imieniem; jest tylko obecny gdzieś w tle. Wyrazista jest za to Mary Packard; długoletnia przyjaciółka Kath, serdeczna i bardzo jej bliska, wytrzymująca próbę czasu — niezwykajnie stały element w nieustannych ludzkich przyływach i odpływach, jakich doświadczała Kath. Krótkie, kręcone włosy, dobitny głos, zdecydowane gesty, z zawodu ceramiczka.

Glyn usiłuje ułożyć lata w jakimś porządku, ale bez efektu. Mógłby skorzystać z papieru i długopisu, ale nie wydaje mu się to teraz stosowne. Co robił w osiemdziesiątym siódmym czy osiemdziesiątym ósmym roku? W którym roku wyjechał na północ wyspy, niemal na całe lato? Czy to było wtedy? Trzeba tu dokładniejszego datowania. Elaine mu nie pomogła, ale ma to swoją dobrą stronę. Nie wiedziała — a to odsuwa bolesną świadomość, że był tym biednym i naiwnym, że wszyscy wiedzieli, a on nie, że byli przez to mądrzejsi i obśmiewali go za plecami lub się nad nim żalili. Czy na pewno jednak odsuwa? Ona nie wiedziała, ale inni mogli wiedzieć. Na pewno wiedział Oliver. Będzie musiał się z nim spotkać, jeszcze nie teraz; wszystko w swoim czasie.

— Mówisz, że to osiemdziesiąty siódmy czy osiemdziesiąty ósmy?

Elaine odstawia filiżankę z kawą. Milczy. Patrzy w stół. Wydaje się, że liczy lata. Ale nie.

— Czy to ważne? — pyta.

— Dla mnie tak.

Elaine wzrusza ramionami.

— Jakoś w tych latach.

— Nie możesz przypomnieć sobie dokładnie?

— Nie.

— Och, Elaine, na miłość boską...

— Nie złość się na mnie.

Glyn opanowuje się, wyraża skruchę.

— Przepraszam, przepraszam. Wiesz, nie złość się na ciebie, lecz na... na to, co się wtedy stało.

— Retrospektywna zawiść zwiedzie cię na manowce — rzuciła Elaine.

Ponadto, myśli dalej, jedną rzecz powiedzmy sobie jasno, nie mamy tu wspólnego interesu, ty i ja. Owszem, oboje nas wystawiono do wiatru, oboje jesteśmy na to wściekli, ale tu się nasza wspólna dola zaczyna i kończy. Wszystko, co następuje potem, to już tylko i wyłącznie nasze prywatne, osobiste sprawy.

— Dlaczego Nick, można zapytać? — Już mu przeszła skrucha; to pytanie nie daje mu spokoju.

— Właśnie.

— Jeśli był Nick, to może był ktoś jeszcze?

— Czy to rozsądne?

— Czy co jest rozsądne?

— Tak pytać.

— Prawdopodobnie nie. Ale co mi pozostaje?

Ich spojrzenia się spotykają.

— Nic?

— Nie należę do ludzi, którzy lubią siedzieć z założonymi rękami i nic nie robić. Stawianie pytań mam we krwi. Ty nic z tym nie zrobisz?

Elaine odwraca głowę. Nie odpowiada.

— Przykro mi, że musiałaś się dowiedzieć — mówi w końcu Glyn.

— W gruncie rzeczy wcale nie musiałam.

To robi wrażenie. Zaczyna czuć skrupuły, ale także lekki bunt.

— W porządku, masz rację. Ale na moim miejscu zrobiłabyś to samo.

— Gdybym wiedziała, też byś wiedział.

Uwalnia go od zarzutu? Trudno powiedzieć. Glyn stara się umknąć przed tym tematem.

— Tak... w każdym razie już wiesz. Tak to wygląda.

— Tak to wyglądało — mówi Elaine.

— Niewielka to dla mnie różnica. Jeśli w ogóle jakaś... Elaine namyśla się, przyznaje mu rację w tym względzie.

— Zapewne. Jednak stawianie pytań niewiele zmieni. Może nawet jeszcze bardziej zagmatwać obraz.

— Nie szkodzi.

Determinacja czy tylko przewrotność? Dłuższa pauza. Oboje w myślach ważą sprawę. Milczenie przerywa Elaine.

— Jedna rzecz nie daje mi spokoju — mówi wolno.

Glyn mruży oczy, staje się ostrożny. Ton Elaine budzi w nim czujność, coś mu mówi, by miał się na baczności.

— Czy Kath wiedziała?

— Wiedziała... o czym?

Glyn udaje, że nie wie, o co chodzi. Oboje to widzą. Elaine jakby od niechcienia wzrusza ramionami, patrzy w niego ciężkim wzrokiem.

— Za bardzo nie miała o czym wiedzieć, prawda? Glyn podnosi wysoko brwi; wyraża zaskoczenie, dezaprobatę albo błaganie o litość — można sobie wybrać.

— Może nie — ciągnie Elaine. — Ale wiedziała?

— Nie. Nie miała pojęcia.

Elaine myśli przez chwilę i uznaje, że to z pewnością prawda. Znowu zapada cisza. Coś między nimi pękło. Elaine złamała tabu.

— To było tak dawno temu...

Glyn unika jej wzroku. Boże, czy to konieczne? W końcu to zupełnie nic, stara sprawa, wyjaśniona i zamknięta.

Tak, to prawda — dawne czasy, o których mało kto pamięta, a jednak niezupełnie zapomniane, i w tym cały sęk. Byliśmy tam oboje, myśli Elaine; tego nic nie zmieni. Jesteśmy wciąż tymi samymi ludźmi, do pewnego stopnia. Patrzy na Glyna. Zdumiewa ją, że ten mężczyzna zawrócił jej kiedyś w głowie.

Glyn przeżywa coś podobnego. Jak scenografia teatralna zawisa przed jego oczami pejzaż tamtej intensywnej pracy nad projektem ogrodów w Bellbrook. Oboje zgubili gdzieś osiemnaście lat i znowu widzą siebie w tamtym miejscu.

Elaine widzi burą ziemię, błoto, kałuże i rozkopy zorane gąsienicami buldożerów, pryzmy żwiru, piasku, kamieni, sterty cegieł i tarcicy, wszystko opasane luźno robotniczymi kabinami i metalowymi magazynami. Widzi też zdjęcie lotnicze tego miejsca, zrobione jeszcze przed buldożerową inwazją, z charakterystycznymi wzorami linii i zagłębień, wręczone jej wraz z zaproszeniem do udziału w programie. Widzi ekipę telewizyjną, która ma zarejestrować odkrywanie śladów starego ogrodu, położonego przy jakiejś posiadłości z czasów Jakuba I, odkopanej przypadkowo podczas budowy nowego kompleksu mieszkalnego. Widzi też, szczególnie wyraźnie, rozgadane go prezentera, który z energią godną lepszej sprawy prowadzi rozmowę przed obiektywami kamer. „Naukowiec, historyk pejzażu”, ktoś ją informuje — po raz pierwszy usłyszała o takim zawodzie.

Glyn dostrzega medialne możliwości niezwykłego miejsca. Mierzy wzrokiem wysoki dźwig. Mógłby stamtąd wygłosić wprowadzenie inaugurujące program. Ujęcie z lotu ptaka objęłoby cały teren i pokazało zarysy ogrodu niknące w geometrii współczesnych ulic i uliczek. Myśli nad kadrowaniem, bada wzrokiem teren i zwraca uwagę na kobietę zatrudnioną przy realizacji tego odcinka; to ekspert w dziedzinie historii ogrodów, ma wyjaśnić i opisać widoczne ślady ogrodowych dawności. „To z całą pewnością klomb”, mówi z przekonaniem w głosie. „To natomiast, wzdłuż tej osi, wygląda na aleję spacerową”. Glyn wyciąga do niej rękę: „Glyn Peters, bardzo mi miło. Dobrze, że panią tu mamy, wszystko będzie jasne jak słońce. Może powie mi pani...”

Ona mówi. Wyciąga dużą kartkę papieru, ołówek i robi szkic tego, jak mógł kiedyś wyglądać ten kawałek ziemi zaginiony w czasie. „Zakładając, że taki rys uzupełniony jest identycznym układem



z drugiej strony centralnie biegnącej ścieżki, a z pewnością tak jest, cała ta przestrzeń stopniowo się rozszerza, powiedzmy o jakieś dwieście metrów, może trochę więcej. Patrząc na to, można by wnioskować, jestem o tym prawie przekonana, że w środku mógł się znajdować jakiś zbiornik wodny, może kamienny basen, może duża fontanna..." Glyn patrzy na nią. Bardziej podoba mu się to, co widzi, niż to, co słyszy. Pani ekspert ma coś ponętneho w oczach i delikatnym zaokrągleniu warg. Czuje raptem, że coś go w niej pociąga. Jest wylewny, pełen entuzjazmu. Kładzie jej rękę na ramieniu: „Cudnie! Dzięki Bogu, że ktoś panią do nas sprowadził. Chodźmy na kawę, ekipa musi ustawić sprzęt, mamy trochę czasu, by wszystko omówić”.

Mówił. To niestrudzony kompan, ożywczy i krzepiący. Ktoś widzi ich w restauracji sieci hotelowej „Crown&Cushion”, w centrum miasteczka, przy głównej ulicy, której nazwa nie jest warta zapamiętania. Elaine wspomina, jak Glyn opowiada jej zabawne anegdotki z telewizji, jak rozwodzi się nad systemem upraw średniowiecznej Anglii, jeśli dobrze pamięta, i nad układem dróg spędu bydła. Przypomina też sobie, z jakim uznaniem spostrzegła, że ów entuzjazm i gadatliwość poparte są rzetelną wiedzą. Kompetentny człowiek, który wie, czym się zajmuje. Polubiła też jego walijski akcent.

Nim wrócili do pracy, zdążyli znaleźć wspólny język i złapali bardzo dobry kontakt. Udało im się zawrzeć bliską znajomość, o wiele głębszą, niż wymagałyby tego służbowe okoliczności. Glyn zastanawia się, czy nie skorzystać z okazji i nie przedłużyć znajomości. Chciałby się poradzić, jak wyglądała roślinność dawnych parków. Elaine się uśmiecha, mówi, że chętnie, że nie ma nic przeciwko temu. Wymieniają adresy. „Już po ślubie?” — dopytuje się Glyn. „Oczywiście”, pada szybka odpowiedź. „Kto dziś nie jest po ślubie?” Glyn śmieje się serdecznie. „Ja akurat nie jestem”.

Rozpoczyna się kręcenie filmu. Glyn rozprawia żywo na dźwigu, czaruje kamerę, czuje się jak ryba w wodzie. Potem, już na dole, przemierza pola zdewastowane przez spychacze, wyławiając z budowlanego chaosu piękne kształty i barwy minionych wieków. Opisuje sztukę ozdobnego strzyżenia krzewów, opisuje kamienną fontannę i geometryczną sieć alejek. W przerwie między ujęciami podchodzi do Elaine: „Jesteś chyba cudotwórcą! Dzięki tobie na nowo odkrywam własny tekst, to niebywałe, dzięki!” Elaine patrzy na niego z rozbawieniem i zafascynowaniem.

Tydzień później Elaine znowu widzi się z Glynem. Bardzo chciałby pokazać jej pewną opuszczoną i zrujnowaną posiadłość w Northamptonshire, na którą trafił przez zupełny przypadek. Elaine przemierza wiele kilometrów, by dotrzeć na spotkanie. Swój wyjazd tłumaczy wykrętnie Nickowi bardzo pilnymi konsultacjami z nowym dostawcą torfu; właściwie nie wie dlaczego, być może nie chce słyszeć zadręczających pytań. Glyn i Elaine samowolnie wchodzą na posesję, ze śmiechem i pokrzykiwaniami, pokonując nieprzenikniony gąszcz jeżyn i pnąc się na wysoki mur. Gdy Glyn chwytają ją za biodra, by pomóc skoczyć na drugą stronę, Elaine nagle zdaje sobie sprawę, że jeśli przyjdzie ten moment, to będzie gotowa dopuścić się zdrady małżeńskiej, po raz pierwszy w życiu.

Wszystko na to wskazywało. Bez wątpliwości. Kwestia czasu. Pytanie nie brzmiało „czy”, ale „kiedy” — kiedy ich tajone, gorące, wzmagające się, wzajemne zainteresowanie przekroczy miarę i stanie się w pełni jawne? Nie miała Glyna za człowieka, który długo się ociąga. Wiedziała też, że gdy nadejdzie ta chwila, również ona nie będzie się wahać. Jest tym zaskoczona. Czuje, jakby to jakaś inna kobieta wpadła w sidła namiętności. Było to tym bardziej tajemnicze, że nigdy więcej nie postrzegала Glyna w taki sposób, w ciągu wielu lat ich znajomości — jakby stracił cały swój powab po poznaniu Kath.

Były jeszcze następne spotkania. Dwa? Trzy? Nie więcej. Każde wiązało się z jakimś urzekającym miejscem zamierzchłej dawności. Maiden Castle w Dorset, epoka żelaza: wspinają się po trawiastych wałach ufortyfikowanego wzgórza, chwytają ją za rękę i wciągają na stromiznę, spotykają się wzrokiem, nie zbywają tego spojrzenia uśmiechem, rośnie między nimi ciche napięcie. Stoją na kamiennym moście z czasów rzymskich, rozpiętym łukiem nad małą rzeczką. Przechylają się przez obmurowanie, patrzą w dół, w wodę, Glyn nie przestaje mówić, ona nie słyszy już ani jednego słowa, widzi tylko jego twarz, kiedy zwraca się ku niej powoli, on przestaje wypowiadać słowa, kładzie jej ręce na ramionach i całuje, w usta. Elaine czuje muśnięcia jego języka.

Przyjechał do jej domu. Gdyby nie... Hm, gdyby nie przyjechał do jej domu, nie siedzieliby teraz w tej restauracji i nie prowadzili tej strasznej rozmowy, skonkludowała w myślach.

Glyn odwiedza Elaine. Mówi, że chciałby zobaczyć album ze starymi fotografiami Blenheim Palace, posiadłości, o której mu wspominała. Ona wie, że mogłby wypożyczyć tę książkę w pierwszej lepszej bibliotece. Zgadza się i zaprasza go do siebie. Kiedy Glyn przyjeżdża do Elaine,

Nicka nie ma w domu, wyjechał na cały dzień, zbieg okoliczności. Polly jest w szkole. Glyn i Elaine spędzają wspólnie wiele godzin — jedzą lunch, odpoczywają w ogrodzie, rozmawiają, długo przeglądają interesujące zdjęcia. Znowu czują, jak narasta między nimi napięcie — wzmożone, silne, wywołujące dreszcz emocji. W powietrzu wisi wszystko, co mogłoby się stać, co może się stać lada moment.

Glyn nie odjeżdża, zostaje do wieczora. Po południu wraca ze szkoły Polly. Wraca także Nick, który bez cienia podejrzenia przyjmuje obecność w domu nieoczekiwanego gościa. Wieczorem siedzą przy stole, Elaine częstuje, nakłada na talerze posiłek. Wtedy drzwi się otwierają z impetem, staje w nich Kath. Jedną z jej niezapowiedzianych wizyt. Niespodzianka!

Wieczór się przeciąga, kolacja zamienia w wesołą biesiadę. Nick tryska humorem. Glyn iskrzy. Wychodzi z siebie. Coraz częściej zwraca się do Kath. Kiedy w końcu zbiera się do wyjścia, Kath wychodzi z nim. Glyn proponuje, że podwiezie ją do stacji kolejowej.

Elaine stoi przy oknie i patrzy na oddalające się czerwone światła samochodu. To by było na tyle, pomyślała. Wystarczyło, że zatrzymał na niej wzrok. Oczywiście, jakżeby inaczej?

Głos Glyna wyrywa ją nagle z zamyślenia i przywołuje z powrotem do restauracyjnego stołu — i gorącej kwestii.

— To nie ma z tym nic wspólnego — unosi się Glyn. Elaine patrzy na niego.

— Jeśli uważasz, że Kath zawarła... bliższą znajomość z twoim mężem dlatego, że wcześniej, kiedyś, ty i ja... wpadliśmy sobie w oko... to absurd, poza tym mówię ci, że nic o tym nie wiedziała. Nie miała pojęcia. W każdym razie ja nic jej nie mówiłem.

— Ja też nie — mówi spokojnie Elaine. — Dobrze więc, nie wiedziała. Tak tylko mi się skojarzyło. Dziwna symetria.

Boże jedyny! W Glynie wrze. Po jaką cholere ona to wyciąga? To przecież nie ma nic do rzeczy. To w ogóle nie jest istotne. Kojarzy jakieś symetrie. O ile pamiętam, nie dotknąłem jej nawet palcem. Wszystko zostało zamknięte i zapomniane z chwilą, gdy poślubiłem Kath. Nikt nigdy do tego nie wracał. Po co wracać teraz? Przecież, do licha... Chyba nie...? Rzuca Elaine podejrzliwe spojrzenie, ale wydaje mu się, że na jej twarzy błądzi raczej wyraz świadomej niechęci niż wciąż żywego zainteresowania.

Właściwie jeszcze inaczej; Elaine wie, że to dziwne, sztywne spojrzenie, jakie mu posłała, było bardziej wynikiem wewnętrznego rozbicia niż niechęci. Elaine chce poznać swoje nowe położenie. Jej uporządkowany obraz przeszłości w ciągu godziny uległ radykalnej zmianie, jej widzenie trojga bliskich ludzi okazało się z gruntu fałszywe. Mimo to zauważa ze zdziwieniem, że wcale nie czuje się słabsza, przeciwnie, zaczyna wypełniać ją jakiś ponury upór, poczucie nieprzejednania. Glyn staje się coraz mniej potrzebny.

— Moja droga Elaine — mówi Glyn. — Co było, to było — posyła jej pojednawczy uśmiech. — Oboje to wiemy. Nie żebym nigdy nie miał do ciebie słabości, żebym cię nie lubił. Ale... to nie przekłada się na nic więcej. — Zmienia front. — Hm... nasz fotograficzny dowód rzeczowy mówi, że to raczej coś poważnego. Ale tylko jedna osoba może nam powiedzieć, jak było naprawdę.

— Chcesz się spotkać z Nickiem? — Głos Elaine jest lodowaty.

— Skąd! Nick to twoja działka.

Jak najbardziej, myśli Elaine. Ale i ty nie odpuścisz, prawda?

— Niech Nick pozostanie już na twojej głowie — powtarza wymijająco Glyn.

— Niewątpliwie. A co na twojej?

Glyn rzuca jej szybkie spojrzenie. Patrzy na nią tym samym, intensywnym, skupionym wzrokiem, który pamięta z tamtych czasów, gdy objaśniał jakąś teorię, rozprawiał na temat swoich kolejnych badań.

Nie odpowiada na jej pytanie.

Nick mało znaczy, odkrywa raptem Glyn. Jest tym zaskoczony. Pierwszy odruch, by dopaść go i wpakować mu w twarz siarczysty policzek, dawno już poszedł w zapomnienie. Nick stał się jakoś zupełnie obojętny. Jego sprawa to Kath, nie Nick.

Restauracja opustoszała. Kelnerzy mitrzą czas przy jednym ze stolików w odległym kącie.

— Cóż — mówi Elaine. — Dziękuję za lunch.

Na twarzy Glyna pojawia się grymas zakłopotania.

— Szkoda, że w takich okolicznościach.

— Wydaje się, że okoliczności, jakie nas tu przywiodły, powstały już dawno temu i nie mieliśmy na nie wpływu.

Z tym że, oczywiście, teraz wcale nie musiały nas tu przywieść. Fotografia mogła leżeć nieodkryta, mogła wciąż spoczywać na dnie szafy w domu Glyna. Mogło być też tak, że Glyn znajduje zdjęcie, ale postanawia milczeć. Przez ich głowy przelatują różne scenariusze wydarzeń — ciekawe, ale już nieistotne. Wiem, myśli Elaine, nic już tego nie zmieni. Trzeba się przygotować na to, co ma teraz nadejść.

— Jeszcze jedno — prosi Glyn. — Możesz dać mi obecny adres Olivera?

Glyn?

Oliver nie widział go od lat. Rzadko też o nim myślał. Najwyżej podświadomie; stara znajomość pojawia się czasem w myśli ni stąd, ni zowąd i równie szybko się ulatnia.

Teraz Glyn nagle tutaj, w jego biurze, przywołany lakoniczną informacją Sandry.

— Telefonował jakiś Glyn Peters. Zostawił numer. Prosił, żebyś oddzwonił.

— Dziękuję, oczywiście — odpowiada Oliver.

Glyn staje przed jego oczami; koścista twarz, zmierzwiona gęstwa brązowych włosów. Słyszy jego głos, walijski akcent. Mężczyzna pewny siebie i stanowczy, ale też pełen nieodpartego uroku. Do każdego zwraca się tak, jak do swojego seminarzysty, a mimo to człowiek zamienia się w słuch.

Nuta zaskoczenia w głosie Olivera zaniepokoiła Sandrę.

— Kto to jest Glyn Peters?

— Glyn? — rzuca mimochodem Oliver. — Aa... Glyn. Był szwagrem Elaine. Kojarzysz Elaine? To żona Nicka, mojego partnera w interesach z dawnych czasów. W głowę zachodzę, czego Glyn mógłby ode mnie chcieć. Nie mam pojęcia.

Rzeczywiście nie ma pojęcia.

— Był szwagrem?

Sandra wychwytuje niejasność; to zawodowy nawyk prostowania najdrobniejszych nieścisłości.

— Siostra Elaine, Kath... nie żyje — wyjaśnia Oliver i wraca do ekranu monitora. — Będziemy musieli jeszcze omówić układ strony dla „Feniksa”.

— Dobrze — mówi krótko Sandra. — Możemy teraz, jeśli chcesz.

Oliver skierował jej myślenie na nowe tory i natychmiast jest gotowa do pracy. Już nie pamięta o Glynie, koncentruje się na pisemku wydawanym przez absolwentów jednego z college'ów w Oksfordzie.

Prawdziwe imię naszej gry to precyzja, myśli Oliver. Myśli z dumą. Dokładność. Każda kropka i przecinek we właściwym miejscu, każde wcięcie akapitu idealnie równe. Przypisy, indeksy, spisy treści. Każda literka na swoim miejscu, żadna nie wychyla się przed szereg. Odkrycie błędu drukarskiego na stronach, które składał i przygotowywał do druku, najczęściej kończy się nieprzespaną nocą. Nigdy w życiu praca nie przynosiła mu takiej satysfakcji. Komputerowy skład książek to zajęcie jakby stworzone dla niego. Wydawca się nie miesza do tego, co robi, a on nie zawraca sobie głowy marketingiem i dystrybucją. Wystarczy zlecenie klienta, wtedy siada i tworzy nieskazitelny produkt. Uwielbia ekran komputera, na którym potrafi wyczarować tę doskonałość precyzji: zaawansowana technologia w służbie człowieka, krzemowy cud, moc przesuwania liter, linii i akapitów w jedną czy drugą stronę. Oliver niechętnie zdaje się na innych. Po kilka razy sprawdza ukradkiem pracę swoich nawet

najbardziej sumiennych współpracowników. Sprawdza nawet Sandrę, która jest ulepiona z tej samej gliny co on. Kiedy zostają w biurze sami, tkwią przed monitorami równie pochłonięci pracą i równie nieobecni dla świata. Oliver wie, że ta robota cieszy Sandrę nie mniej niż jego samego — moc tworzenia książki, budowanie strony, akapitów tekstu i ilustracji, wstawianie nagłówków i odsyłaczy. Oboje wpadają w podobny trans, zapominają się. To prawie jak seks, myśli czasem.

Co zresztą nie mija się z prawdą. Być może to jeden z powodów tego, że ich czysto służbowe relacje przeniosły się po pewnym czasie na wyższy poziom. Teraz spędzają ze sobą nie tylko dni, ale także noce, w przyjacielskiej lojalności, w istic małżeńskiej zgodności. Oliver myśli o Sandrze bardziej jako o przyjaciółce niż kochance. To najbliższa mu osoba. Najlepszy przyjaciel. Taki, z którym po przyjacielsku się kocha, w dwuosobowym szerokim łóżku, we własnym domu, swoim pierwszym własnym domu. Koniec z wynajmowaniem nędznych mieszkań. Koniec z zabrudzonymi lodówkami, w których leży tylko kawałek jęlczejącego sera, resztki dania na wynos z poprzedniego dnia i otwarty karton kwaśniejącego mleka. Koszule wyprane i wyprasowane, w łazience zapas żarówek i papieru toaletowego.

Oliverowi czasem trudno uwierzyć, że w tak późnym wieku udaje mu się żyć w zgodnej parze z drugim człowiekiem — po długich latach kawalerskich, po poważniejszych niekiedy podbojach sercowych, po ucieczkach w samotność, której nawet specjalnie nie unikał. Seks na życzenie to wyborny luksus, choć, trzeba powiedzieć, oboje są już mniej skłonni do igraszek. Radosne hulanie wczesnego okresu ich związku przeszło już do historii. Ale z drugiej strony, nie pożądanie było największą siłą, która skierowała jego zainteresowanie i uczucia ku Sandrze. Bardziej przywiązanie i szacunek — a przy tym również świadomość, że owszem, cudownie byłoby pójść z nią do łóżka.

I stało się tak, że któregoś dnia w biurze położył palec na kolanie Sandry — kolanie okrytym cieniutkim nylonem rajstop, nad którym biegła krótka spódniczka, opinająca zgrabne udo; ona siedziała sztywno, jakby połknęła kij. „Myślałem, że może...”, wyszeptał.

Sandra nie wymierzyła mu policzka, nie smagnęła ręką po jego dłoni, nie wybiegła z pokoju. Wpatrując się w ekran monitora, spokojnie dokończyła korektę. Dopiero potem odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. Długo i przenikliwie. „Tak się składa”, powiedziała, „że też myślałam...”

Sandra nie należy do typu dziewczyn, za którymi zwykł się uganiać. Nie ma długich blond włosów i nóg po pachy. Ma za to duży biust i grube łydki. Jej twarz jest urokliwie płaska — zdawałoby się, że wszystko spoczywa na jednej płaszczyźnie; duże szare oczy i wąskie, bardzo drobne usta. W jej zgrabnie upiętych brązowych włosach tu i ówdzie srebrzą się siwe pasemka. Jest energiczna, spokojna i umie zachować zimną krew. Oliver nie przypomina sobie, by kiedykolwiek wytrąciło ją coś z równowagi. To pierwszej jakości partner w interesach, ale także, teraz dobrze już wie, ktoś o ciepłym sercu, znający wartość domowego zacisza. Lodówka jest pełna, rachunki zapłacone, a polisy ubezpieczeniowe utrzymane w jak najlepszym porządku.

Właściwie Sandra jest zupełnie inna niż ludzie, wśród których wcześniej się obracał. Na pewno inna niż Nick. Och, jako partnerzy w interesach Sandra i Nick to dwie różne planety z dwóch różnych galaktyk. Jest też zupełnie inna niż Elaine.

I jest inna niż Kath. Przede wszystkim niż Kath.

Jak gdyby...

Zanim poznał Sandrę, Oliver znał mnóstwo osób; także kilka kobiet pozostających w kręgu jego bliższych zainteresowań, ale nie tak bliskich, by w kontaktach tych widzieć poważne związki. Zapraszał je do kina czy restauracji, ale z czasem one odsuwały się od niego i wiązały z kimś bardziej obiecującym. Pozostali to znajomi, z którymi wychodził na obiad lub na drinka. Niektórzy jeszcze z czasów, gdy pracował z Nickiem. Nickiem i Elaine. Wokół tamtej firmy skupiało się bogate życie towarzyskie; przez ich dom nieustannie przewijali się ludzie. Nick niemal w każdym widział potencjalnego i cennego współpracownika. W porywach entuzjazmu zapraszał do domu fotografów, ilustratorów, projektantów książek. Jak grzyby po deszczu mnożyli się tymczasowi pracownicy i asystenci, których Nick wspaniałomyślnie zatrudniał, a Oliver dyskretnie zwalniał, gdy okazywało się, że firmy nie stać na nowego pracownika. Oliver miał swoje biuro w stodole, specjalnie przystosowanej do tego celu, przylegającej do domu Nicka i Elaine. Sam mieszkał w dość obskurnym mieszkanku w pobliskim miasteczku targowym. W stodołowym biurze Oliver zajmował się sprawami, które Nick nazywał najnudniejszą częścią pracy w wydawnictwie: negocjacjami z drukarnią, z dystrybutorami i księgowymi. Tymczasem dom tętnił życiem. Nick rzadko zachodził do stodoły. Za to Oliver często bywał w domu, przywoływany przez rozweselonego Nicka, by poznał kolejnego znakomitego fotografa lub wspaniałego pisarza. Oliver wiele godzin przesiedział przy kuchennym stole, gdzie nad kieliszkiem czerwonego wina do późnego wieczora roztrząsali nowe, kapitalne pomysły. Była tam także Elaine. Polly siedziała w swoim wysokim krzeselku, potem dreptała wokół nich z zabawkami, a w końcu przywdziała szkolny mundurek.

Czasem pojawiała się Kath.

Oliver nie włączał się do żywych dyskusji przy stole. Kiedy było trzeba, podsuwał konkretne liczby lub dane. Od czasu do czasu, gdy poziom nieprawdopodobieństwa zaczynał przekraczać wszelkie normy, spokojnie podsuwał myśl, by najpierw obliczyć koszty i przeprowadzić symulacje. Po chwili już nalegał, ale niezbyt nachalnie. Szybko się nauczył, że lepiej porozmawiać z Nickiem później, kiedy wyparuje z niego entuzjazm, a cały pomysł pójdzie w zapomnienie. Poza tym Oliver lubił kuchenne spotkania. Bawiły go szalone pomysły, wzloty wyobraźni Nicka, pociągało go spektrum interesujących gości, często wygłaszających prowokacyjne tyrady. Lubił też dziewczęta, które przynosiły swoje portfolia z rysunkami i zdjęciami — także z nimi próbował szczęścia, choć nie za często. Największe wrażenie wywierali na nim znawcy tematów, ludzie wielkiej erudycji, którzy mogliby się stać autorami ich książek, ludzie, jakich ciągle poszukiwali. Doskonale zdawał sobie sprawę ze swojej

roli: ciepły głos rozsądku człowieka twardo stojącego na ziemi, który wykona każdą czarną robotę i ruszy z posad najtrudniejszy projekt. Czasem jednak mogło się zdawać, że Oliver tylko się kryje za maską rozsądnego anioła stróża; on także dawał się wciągać w żarliwy proces aktu twórczego. Stanowił skromne, ale niezbędne dopełnienie dyskusji. Każda jego obecność miała znaczenie i szybko stał się nieodłączną częścią tej gwarnej i zmiennej społeczności przy kuchennym stole Elaine. Przez jakiś czas chodził z dziewczyną, którą Nick ściągnął do projektowania książek. Zawarł bliską przyjaźń z człowiekiem, który wiedział wszystko na temat wiatraków. Bywał chętnie zapraszany na niedzielne popołudnia i okazał się idealnym kierowcą do spontanicznych wyjazdów za miasto. To był bardzo ożywczy czas. Ciągłe się coś działo, ciągle się coś mówiło; czas wirujących pomysłów, kolejnych projektów i nieprzebranej rzeszy ludzi, których Nick wyczarowywał jak za dotknięciem różdżki. Może właśnie dlatego Olivera zawiódł instynkt. Może dlatego był głuchy na płynące zewsząd sygnały ostrzegawcze. Gdzieś zagubił się jego zdrowy rozsądek, a kiedy się zorientował, było za późno. Potem nastąpiły dwa czy trzy straszne tygodnie, kiedy siedział nad słupkami liczb i szukał jakiegoś koła ratunkowego. Nie znalazł.

„Powiniennem być to przewidzieć, zapanować nad tym. Mam poczucie, że cię zawiodłem”. Te słowa powiedział Elaine, nie Nickowi. Do dziś pamięta własne zaskoczenie na widok beznamiętnego spokoju na jej twarzy. Mąż traci firmę, źródło dochodów, pracę, lecz ona wydaje się niewzruszona i pogodna. „Damy sobie radę”, mówi. „Mam poważne plany. A co ty będziesz robił?”

On także miał poważne plany. Poznał już swoje możliwości, wiedział, na co go stać i co może jeszcze zrobić, choć wydawnictwo „Hammond&Watson” zbankrutowało i przeszło do historii. Entuzjastycznie zainteresował się komputerami. To nowa droga, którą zamierzał pójść; edytory tekstów, skład i druk od ręki. Dyplomatycznie uniknął deklaracji wobec Nicka sypiącego nowymi pomysłami na dalszą współpracę. Nie dając mu nadziei, niepostrzeżenie zniknął. Niekiedy wspomina tamte lata z nutą nostalgii, dużo częściej jednak rozkoszuje się obecnym poczuciem pewności i bezpieczeństwa. Źródłem jego satysfakcji jest nieskazitelny skład wydrukowanych stron i idealnie prowadzona księgowość.

Sandra niewiele wie o Nicku czy Elaine. Jeszcze mniej wie o Kath. Oliver mówił jej oczywiście, że jego poprzednia firma zajmowała się wydawaniem popularnych książek, że jego partner był bardzo pomysłowym i kreatywnym człowiekiem, trochę jednak za bardzo, i prawdopodobnie dlatego firma splajtowała.

Sandra i Oliver nie mówią sobie wiele o przeszłości. Sandra jest rozwódką. Ale Oliver nie wie ani kiedy się rozwiodła, ani z kim i dlaczego. „Nie ma o czym mówić”, oświadczyła, „to sprawa zamknięta”. Sama też nie naciskała na Olivera, by się spowiadał z tego, co minęło. Istnieje między nimi niepisane porozumienie, że każde z nich miało wcześniej własne życie i trzeba to uszanować oraz że w tak późnym związku jak ich oczekuje się wzajemnego poszanowania prywatności. Oliver zauważa, że



przeszłość Sandry dziwnie mało go interesuje. O czasu do czasu zastanawia się dlaczego: może świadczy to o jego obojętności, co przecież nie jest dobre. Przypomina sobie o zaletach Sandry i powodach, dla których życie z nią jest tak uładzone — jej niezmacony spokój, efektywność, gospodarność. Jej pełne i dojrzałe ciało, jakże seksowne, jeśli chceć się doszukać w nim seksu, a zarazem nie tak wyzywające, by wystawiać go na nieustanne pokuszenie. Jej ostentacyjność za kierownicą; właściwie przestał lubić prowadzenie auta. Jej wspaniała *boeuf en daube*\*.

\* *Boeuf en daube* (fr.) — duszona wołowina.

Biorąc to wszystko pod uwagę, jakieś obsesyjne zainteresowanie przeszłością Sandry wydaje się zbyt zbyteczne, a w gruncie rzeczy dziecinne. Niech młodzi kochankowie rozwiązują takie kwestie między sobą.

Sandra również stroni od zbędnych pytań. Czasem tylko wkradnie się w jej ton jakaś uszczypliwość, świadcząca o zbyt napiętej uwadze. W jednej z książek Olivera natrafia na dedykację: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Kochająca Neli”.

— Uhm, na pewno któraś z twoich pań.

Cierpka uwaga, ale nie pytanie, po prostu stwierdzenie, którego nie podjęli w rozmowie.

Jeśli chodzi o Nicka i Elaine, najwyraźniej w ogóle nie jest tym zainteresowana. Firma dokonała żywota, a Oliver otworzył nowy interes. To Sandrze w zupełności wystarczy.

Dzisiaj Oliver nie ma już tak szerokiego kręgu znajomych i nie zna tak wielu ludzi. Z większością osób, które poznał w dobrych czasach firmy „Hammond&Watson”, stracił już kontakt. Obecni klienci nie przekraczają sfery jego prywatności. Większości nie widział na oczy — pozostają głosem w słuchawce, wydrukiem faksu lub wiadomością w poczcie internetowej. Zdarzy się, że zaproszą do siebie na kolację jakąś znajomą parę. W pewnej chwili Oliver uświadomił sobie, że niepostrzeżenie przeniknął w zakłęty świat par, poza którym przebywał przez tak wiele lat. Człowiek żyjący w parze zawsze ma z kim wyjść do kina albo na spacer. Samotni dryfują jak rozbitkowie, wirują wokół zbitej masy ludzi połączonych w pary. Od czasu do czasu pomyśli jeszcze o życiu rozbitków, z zadumą i tęsknotą; miało swoje dobre strony.

— Kath? — pyta Sandra.

Odezwała się tak niespodziewanie, że Oliver natychmiast zamienia się w słuch. Przebywał gdzieś daleko myślami, mechanicznie stukając w klawiaturę palcami. Teraz przestaje stukać, wraca do biura.

— Siostra Elaine. Jak ona wyglądała?

Spostrzega u Sandry tak dobrze znany mu wzrok, uważny i skupiony, niczym u ogara wietrzącego zwierzynę; takim wzrokiem można patrzeć na kawałek mięsa, w który trzeba wgryźć zębiska, a można na układ akapitów, które trzeba odpowiednio rozmieścić na stronie.

Jak wyglądała Kath? Oliver ma twardy orzech do zgryzienia. Jak opisać Kath? Od czego zacząć?

— Była... — zaczyna. — Hm... no... miała ciemne włosy. Nie była wysoka.

— W twoim domu, w szufladzie w biurku, jest zdjęcie dziewczyny nad stawem, zauważyłam je, kiedy szukałeś dla mnie własnej fotografii, to ona?

Sandra ma zmysł obserwatora. Oliver wie, o którym zdjęciu mówi. Kath siedzi po turecku na trawie nad brzegiem stawu w ogrodzie Nicka i Elaine. Mruży oczy przed słońcem, posyła w obiektyw promienny uśmiech, widać jej nagie ramiona i uda: jest zachwycająca. Nic dziwnego, że zdjęcie wpadło Sandrze w oko.

— Tak, to Kath — mówi Oliver.

— Rozumiem — Sandra spogląda nań zagadkowo. — Była atrakcyjną kobietą, prawda?

— Tak, była atrakcyjną kobietą — przyznaje Oliver. — Można tak powiedzieć.

— Myślałam, że to zdjęcie jednej z twoich dziewczyn. Oliver niemal otworzył buzię ze zdumienia.

— O Boże, ależ skąd. Nie, nie.

Sandra uśmiecha się delikatnie. Znowu przenosi wzrok na ekran monitora. Dla niej temat Kath jest zamknięty.

Ale Oliver dalej o niej myśli. Wciąż trudno uwierzyć, że Kath już nie wpadnie nagle do pokoju. Nigdy więcej. Jak często to wtedy robiła — nikt się jej nie spodziewa, Elaine nie ma pojęcia, gdzie jest Kath, z kim, co robi, i nagle jest! Spada jak grom z jasnego nieba, stoi w drzwiach, uśmiechnięta od ucha do ucha: „Bardzo jesteście zajęci? Chyba mogę zostać na lunch?”

Widzi ją, jak wchodzi do domu, taszcząc skrzynię soczystych brzoskwiń. Wykupiła chyba cały zapas w sklepiku. „Pychota, jedzcie”, zapraszała. „Nie mogłam się powstrzymać, urządzimy sobie brzoskwiniową ucztę”. Elaine ściąga wargi. Oliver zgaduje jej myśli: ekstrawagancja i wygłup, owoce się zepsują, zanim zdążą je zjeść.

Elaine zachowywała się dziwnie wobec Kath. Widać było, że obecność siostry budzi w niej niepokój. Przy nich wyczuwało się napięcie. Elaine ciągle obserwowała Kath, ale z drugiej strony, każdy przecież na nią patrzył. Ale Elaine patrzyła na nią złym okiem. Krytykowała przy byle okazji. Syndrom starszej siostry — ale było w tym jakieś wyjątkowo zjadliwe ostrze. Kath zdawała się tym nie przejmować. Uśmiechała się, robiła uniki: „Dobrze, dobrze, już nie będę, obiecuję poprawę... Ach, słuchaj, muszę ci powiedzieć, co ostatnio odkryłam, jest takie miasteczko...”

Kath. To niemożliwe... myśli Oliver. Wierzyć się nie chce. Za każdym razem, gdy Kath pojawia się w jego myśli, czuje, jak przeszywa go snop jasnego światła. Kath opowiada, gdzie była, mówi o ludziach, których poznała, jest pełna werwy i zapału, tylko ona potrafi tchnąć życie w całą grupę. Nie ma nikogo, myśli Oliver, nikogo, w czyją śmierć... byłoby trudniej uwierzyć.

Kiedys się zastanawiał, dlaczego nie zakochał się w Kath. Przecież tak wielu mężczyzn się w niej kochało. On nie. Kath wydawała mu się owocem zakazanym. W jakimś niepojętym sensie, otoczona świętą czcią. Z pewnością nie jemu była przeznaczona. Owszem, była dla niego bardzo serdeczna, przyjazna i otwarta. Ale taka była dla wszystkich. Prawie wszystkich. Jeśli Kath ktoś nie obchodził, odsuwała się od niego. Nigdy nie widziało się z jej strony wyrazów dezaprobaty czy niechęci wobec takiej osoby, raczej usuwała się w cień, tworząc wokół niej pustą przestrzeń. Do tego trzeba mieć więcej niż talent, myśli Oliver. Ale Kath taka była. Jeśli coś jej nie pasowało, jeśli w jakiejś sytuacji czuła się niezręcznie, usuwała się na bok i szła inną ścieżką. A może tak się tylko zdawało? Pamięta dociekliwe pytanie Elaine: „Nie pracujesz już w galerii?” I odpowiedź Kath: „Nie, jakoś się nie układało, poza tym poznałam fantastycznego faceta, który prosi mnie o pomoc w organizowaniu festiwalu”.

Kath często się pojawiała z jakimś mężczyzną. Oliver stwierdza ze zdziwieniem, że nie pamięta twarzy ani jednego z nich, choć takiego człowieka niemal się nie spuszczało z oczu. Zazdrość? Chyba nie. Raczej zaciekawienie, komu Kath dała się zwabić, a także troska: czy ten mężczyzna jest jej wart? Ale nie było powodów do niepokoju. Kath rzadko pojawiała się drugi raz z tym samym mężczyzną, a większość czasu w ogóle spędzała sama. To wydawało się godne zastanowienia, że żadnemu nie udało się przywiązać do siebie Kath. Ale cóż, niewątpliwie posiadała ów talent magicznego usuwania się w cień.

Tym większym zaskoczeniem był dla wszystkich Glyn Peters. Oliver pamięta dni poprzedzające jego pojawienie się na scenie. Najpierw zauważało się dziwne napięcie u Elaine, wyczekiwanie i niepewność. Potem, któregoś dnia, w domu Elaine zjawia się Kath, z tym facetem, który czuje się jak u siebie, rozparty niedbale na krześle, zakłada nogę na nogę, pod stołem Elaine, jakby miał prawo czuć się jak u siebie w domu. Nie spuszcza oczu z Kath i nieustannie mówi. Oliver nie chciał wyciągać daleko idących wniosków, obserwował ostrożnie, trochę nastroszony; ale stopniowo mężczyzna zaczął go intrygować, nawet oczarowywać. Bez wątplenia umiał się znaleźć. Nic dziwnego, że zrobił karierę w telewizji. W towarzystwie potrafił mówić w taki sposób, że zdawał się zwracać do każdego osobście, ot, wprost do ciebie, jakbyś ty jeden był predestynowany do zrozumienia tych wszystkich arcy-ciekawych opowieści. Oliver słyszy go jak dziś; zamyka wszystkim usta barwnym opowiadaniem o średniowiecznym systemie rotacji upraw, a potem o tym, jak w prosty sposób można datować stary żywoplot; patrzy ci przy tym w oczy, a ty czujesz się wyróżniony, uznany za konesera.

Czy również Kath nie oparła się temu urokowi? Któregoś ranka Elaine wsuwa głowę przez uchylone drzwi jego biura i od razu przechodzi do rzeczy: „Możesz zapisać sobie nową datę w kalendarzyku, Oliver. Kath wychodzi za mąż. Będziemy mieli imprezę. Pamiętasz Glyna Petersa? Był u nas parę tygodni temu”. Tylko tyle. Ho, ho, szczęśliwy pan Peters. Jak on to zrobił? Oliver pamięta jedno z gwarnych spotkań w kuchni, stół zastawiony jedzeniem i pićm, Nick coś mówi, ale Glyn mówi najwięcej, a Kath siedzi na fotelu przy oknie, z boku, z podwiniętymi nogami, przy Polly. Dziewczynka zawsze starała się być tam, gdzie ciocia. Kath zaplata jej warkocz — Polly ma długie włosy szkolnej uczennicy. Kath rozczesuje je i zerka raz po raz na Glyna z namysłem, jakby pytała go o coś, jakby pytała samą siebie. Niebawem mają się pobrać. Oliver oczekiwałby w jej oczach uwielbienia, ba, namiętności, ale widzi tylko zaintrygowanie — nie, wręcz zdziwienie.

Na to nie było rady, człowiek wpadał w sidła Kath, dawał się przez nią uwieść, nawet jeśli nie był w niej zakochany. Ten czar tkwił w niej, w tym jak wyglądała i jaka była. Była... Jaka była Kath? Oliver się zastanawia. Była serdeczna. Serdeczna? Co to znaczy? Puste słowo. Nie sposób wyobrazić sobie, jak Kath robi coś podłego, niegodziwego, zasługującego na pogardę. Była dla ludzi bardzo miła, serdeczna, o nie, znowu to słowo, była przyjazna ludziom, oddana i uprzejma. Pojawia się prowokacyjne pytanie: łatwo jej to przychodziło, bo była atrakcyjna? Ponieważ świat uśmiecha się do pięknych, a piękni uśmiechają się do świata? Ale świat jest też przepełniony złośliwościami wobec pięknych, zawsze był, począwszy od macochy Królowy Śnieżki. Kobieta zachwycająca może mieć nikczemny charakter. Nie, w wypadku Kath ta teoria nie wytrzymuje krytyki.

Gdy Oliver wspomina Kath, dominują tylko jej jasne strony. Już sama jej obecność podnosiła człowieka na duchu: dzień wydawał się pogodniejszy i bardziej obiecujący, żywiej krążyła krew. To doprawdy dziwne, myśli Oliver. Nawet przewrotne. Kath miała w sobie wigor i życie, ale nie należała do osób nieprzeciętnie mądrych, błyskotliwych w dyskusji, posiadających duży zasób wiedzy. Właściwie można powiedzieć, że jej wkład w życie społeczne był żaden. Nie robiła nic, co można by uznać za rzecz użyteczną dla innych, nie miała stałego zatrudnienia, w ogóle sporadycznie pracowała, nie udzielała się publicznie, nie wykazywała się inicjatywą, nie była ani pilna, ani pracowita. Była po prostu... jak kwiat. Albo ptak. Od ludzi oczekuje się czegoś więcej, czyż nie?

Och, daj spokój, zżyma się na siebie Oliver. Czasem wystarczy, gdy człowiek jest po prostu sympatyczny i daje innym radość.

Potrafiła zbijać z tropu, zaskakiwać. Któregoś dnia siedział z nią na ławce przed stodołą. Chyba czekali na coś czy na kogoś — nie pamięta już okoliczności tamtej sytuacji. Nagle ona odwróciła się do niego i zapytała poważnie: „Oliver, jesteś szczęśliwym człowiekiem?”

Ścięło go. W pierwszej chwili miał ochotę zaoponować, wytłumaczyć, że nie należy do ludzi, którzy odpowiadają na takie pytania, ani do takich, którym takie pytania się zadaje. Rzucił jej błagalne spojrzenie: czyżby miał odwzajemnić pytanie: „A ty, Kath?”

Patrzyła na niego z wyczekiwaniem i ciekawością. Zdawało się, że oczekuje szczerej odpowiedzi, jakby miała ona rozwiązać jakiś zawiły problem. Wciąż milczał, a na twarzy Kath pojawił się uśmiech, ten jej wielki, ujmujący, anielski uśmiech, który sprawiał, że człowiek również zaczynał się uśmiechać. Chcąc nie chcąc. „Założę się, że tak. Jesteś zbyt rozsądny, by być nieszczęśliwym”.

Kiedy się zorientował, że między nią i Nickiem coś iskrzy, poczuł się nieswojo. Nawet więcej — był mocno zaniepokojony i urażony. Dlaczego?

Pierwszym znakiem były spojrzenia, po prostu. Nick patrzył na Kath jak wszyscy inni ludzie, którzy widzą ją pierwszy raz w życiu, ale którzy nie znali jej przecież od lat, jak Nick. Elaine była wtedy nieobecna, co Oliver przyjmował z ulgą, choć i nieczystym sumieniem.

Potem nastąpiły bardziej niepokojące znaki. Gdy Elaine rozmawia z Kath przez telefon, Nick maskuje nagle zainteresowanie, zatapia się w gazecie, gwałtownie udaje, że zajmują go inne rzeczy. Z kolei Kath zaczyna ich rzadziej odwiedzać. Któregoś wieczoru Elaine zauważyła: „Kath nie pokazała się u nas od wieków, ciekawe, co robi?” Nick rzuca jej ukradkowe spojrzenie, ale ostentacyjnie milczy, okazuje absolutny brak zainteresowania.

Nastał wreszcie dzień, w którym Oliver wybrał się do „Błękitnego Odyńca”, pubu w Welborne, gdzie umówił się na szklankę piwa z kolegą — jednym z towarzyszy niedoli, którzy wciąż tkwili w archaicznej epoce singli. W drugim końcu sali Oliver zobaczył Nicka i Kath. Całkowicie sobą pochłoniętych. Zadrżał. Co robić? Podejść jak gdyby nigdy nic i przywitać się? „Cześć, co za spotkanie, jak leci? Jest ze mną Tom, pamiętacie Toma Willowsa? Możemy się przysiąc?” Natychmiast opadły go wątpliwości, nie wiedział, jak się zachować, ruszył, ale wrócił, wówczas go dostrzegli; nie zobaczył na ich twarzach radości ze spotkania, lecz konsternację. Oliver niepewnie podniósł rękę, pomachał im i rzucił w ich kierunku jakieś ciche pozdrowienie. Potem zaszył się w niszy własnego stolika, jak najdalej od nich. „Czy to nie twój kolega z firmy?” — zapytał zaciekawiony Tom Willows. „Nie, nie... To znaczy tak, ma ważne spotkanie służbowe. Nie ma sensu mu przeszkadzać”.

Wieczorem tego dnia Nick przyszedł do stodoły. „Chciałem tylko pogadać o próbnym wydruku nowej serii i zapytać, co sądzisz o projekcie tej okładki, genialna, co?” Cały Nick, tryskający pomysłami i planami. „Uważam, że w tym wypadku możemy zaryzykować całą forszę, nie sądzisz?” Na koniec rozmowy, kiedy jest już w drzwiach, odwraca się i mówi ostrożnie, pojedynczym tonem: „Aha, Olly, jakby co... to nie widziałeś mnie dziś rano, dobra?”

Nie chcę tego, myśli Oliver. To mnie nie dotyczy. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Ale już miał.

Nikt nie może wiedzieć — to ma teraz fundamentalne znaczenie. Wiedział już, kto nie chciałby wiedzieć, choć niestety wie, ale poza nim już nikt więcej; zwłaszcza Elaine. Zwłaszcza Glyn Peters — człowiek, który w oczach Olivera byłby gotów pojawić się w domu Nicka, wściekle wymachując szpicrutą.

Nigdy więcej nie poruszyli w rozmowie tego tematu.

Z jednym wyjątkiem. Kiedy zrobił zdjęcie. To było z jego strony ostrzeżenie. Bez słów. Tylko milczący znak: uważaj, skończ z tym. I tak się właśnie stało. Skończyło się, jak wszystko się kończy.

Och, dawne czasy, myśli. Wszystko odłożone do lamusa. Na szczęście nikt nie ucierpiał.

— Wychodzę — mówi Sandra. — Muszę coś załatwić w banku. Popilnujesz interesu przez pół godziny, dobrze?

Oliver robi sobie filiżankę kawy. Ziewa. Ciężko idzie mu dzisiaj praca — będzie musiał jeszcze raz dokładnie przejrzeć te strony. Patrzy przez okno. Przypomina sobie o telefonie. Podnosi słuchawkę.

— Glyn? Mówi Oliver Watson. Podobno dzwoniłeś...

TLR

Nick, mimo swoich lat, regularnie chodzi do fitness klubu. Głównie ze względu na rosnący brzusek, który wywołuje w nim poczucie dyskomfortu. Niepokoi go także coraz szerszy krąg łysiny. Choć zdaje sobie sprawę, że od samej gimnastyki włosów na głowie mu nie przybędzie, w skrytości ducha liczy na jakiś niespodziewany efekt wtórny lub dobrodziejstwo całkowitego przypadku. Nick nie może zrozumieć, jakim cudem ma pięćdziesiąt osiem lat. To jakiś absurd, naprawdę. Czas się zawsze za nim skradał, ale Nick wyznawał teorię, że grunt to traktować go z oziębłą pogardą, a najlepiej w ogóle się nim nie przejmować. Aż nagle czas dopadł go i jednym ciosem zbił z nóg. Nick udaje, że nie obchodzi go, co widzi w lustrze; jest obrażony i zasmucony.

W klubie Nick pedałuje, maszeruje i wyciska ciężary. W basenie wymachuje ramionami, rozbijając złocące się fale błękitnej wody. Nudzi się przy tym śmiertelnie. Bieganie i wyciskanie powodują bóle w krzyżu. Ale Nicka cieszy własna hardość. Często wchodzi na wagę; kiedy pewnego razu z satysfakcją odkrywa, że zrzucił kilogram, idzie do sklepu i kupuje sobie w nagrodę parę młodzieżowych dżinsów. Elaine jasno wyraża, co o tym myśli: mężczyzna w jego wieku nie powinien chodzić w dżinsach.

Jego zdaniem to przesada, a nawet niegrzeczność; dlaczego ma rezygnować z czegoś, co robi przez całe życie?

Nudne godziny w klubie urozmaica mu jałowa obserwacja ludzi. Większość z nich to osoby młode — w wieku dwudziestu, najwyżej trzydziestu lat. Wiele dziewcząt nosi tatuaże; motyl na ramieniu, gałązka z liśćmi na udzie, gwiazda na kostce. Dla zabicia czasu Nick dokonuje pamięciowego inwentarza tatuaży, a to znaczy, że musi czasem bardzo uważnie przyjrzeć się dziewczętom. Jest jednak ostrożny i czyni to dyskretnie. Wie, jak łatwo w dzisiejszych czasach wytknąć mężczyźnie przekroczenie granic, zwłaszcza mężczyźnie w jego wieku. Odnotowuje czterolistne koniczynki, bluszcz, stokrotki i jedną różę. Przez ułamek sekundy widzi smoka, gdzieś na wysokości przepony. Ale ta obserwacja, uznał, wymaga jeszcze definitywnego potwierdzenia, naocznego. Dziewczęta są przemile i właściwie na tym sprawa się kończy. Z ręką na sercu mógłby powiedzieć, że choć odczuwa niejasny erotyczny *frisson*\*, to daleko mu do pożądania. Od czasu do czasu, w kafeterii, zdarza mu się zamienić parę słów — Czy przeczytała już pani tę gazetę? Proszę, tu jest wolne krzesło — a dziewczęta posyłały mu uprzejmy uśmiech. W żadnym razie jednak nie taki, który miałby zachęcać do dalszych kroków. Przychodzą nieraz ponure chwile, kiedy Nick się zastanawia, czy nie zniewieściał przez ten brzusek i łysinę.

\* *Frisson* (fr.) — dreszcz.

Ale przecież Nick z natury nie jest osobą ponurą.

Przez całe życie budził się każdego ranka z nowym zapasem energii i pomysłów. Zawsze, gdy patrzy za siebie — co nieczęsto czyni — doznaje tego przyjemnego poczucia nieustannego działania, niezliczonych pomysłów i planów, niewyczerpalnego źródła inspiracji i bodźców. Trudno nie przyznać, że wielu z tych planów i pomysłów nie udało się zrealizować, nawet nie pamięta dobrze, czego większość z nich dotyczyła, ale liczy się, jeśli tak można powiedzieć, wrażenie ogólne. Wtedy się nie nudził, a jeśli zaczynał się nudzić, to szybko zmieniał zajęcie. Tym bardziej jest dumny ze swej wytrwałości w fitness klubie.

Ale przed nim jeszcze tyle do zrobienia. Nawet teraz chodzą mu po głowie dwa, trzy poważne pomysły, wymagające jeszcze kwerendy i objazdów: wykaz osiemnastowiecznych zrujnowanych majątków, opracowanie ostatecznej wersji przewodnika turystyki pieszej po wzgórzach i album fotograficzny skrzynek pocztowych z okresu drugiej wojny światowej. Trzeba oddać Elaine, że dzięki jej prosperującej firmie znikła ta paskudna presja finansowa, pod jaką przychodziło mu wcześniej pracować. Nick ma teraz więcej czasu dla swoich planów, może spokojnie roztrząsać każdy nowy pomysł i roztropnie rozważyć, czy warto się weń angażować. Nie ma też potrzeby specjalnie harować, skoro, powiedzmy to szczerze, byt jest zapewniony, a pieniądze regularnie wpływają na konto. Dobrze byłoby napisać coś od czasu do czasu, żeby utrzymywać się w tych nietypowych kręgach turystycznego dziennikarstwa, ale... nie ma sensu stawać się jego niewolnikiem.

— Musimy porozmawiać — mówi sucho Elaine.

Niski głos i ton budzą w nim uwagę. Czuje, że biją gdzieś dzwony na alarm, ale jeszcze ich nie słyszy. Chodzi o jego samochód? Zapewne. Cóż, może będzie musiał pójść na ustępstwa. Na pewno nie jest to kwestia nie do ułożenia, jeśli tylko uda mu się właściwie do niej podejść.

Patrząc oczywiście z perspektywy czasu, upadek wydawnictwa „Hammond&Watson” był czymś najlepszym, co mogło się przytrafić. Och, tak... Tamte dni przynosiły tyle radości, zawsze coś się działo: ciągłe pomysły na nowe książki, cudowne chwile, gdy drukarnia przysyła pierwsze oprowione egzemplarze, pogoń za wypatrzonymi autorami, spotkania, rozmowy, ciągłe wyjazdy. Ale obok tych przyjemnych chwil ciągnęło się pełne udręki pasmo irytujących rozmów z księgowymi, z dostawcami, z dystrybutorami, zgrają figurantów, którzy nie dopuszczali do realizacji tego czy innego pomysłu. Prawda, że większość tej niewdzięcznej orki brał na swoje barki Oliver, ale Nick musiał oglądać te śmiertelnie poważne gęby, te chmurne oblicza, te durne postacie, które kładły się na wszystkim ciężkim cieniem, niczym nieproszeni goście weselni.

Nie, Nick wcale nie tęskni do tamtych dni. Powoli zdaje sobie sprawę, że od tamtego czasu ma w życiu więcej swobody i wolnego czasu. Ze spokojem może się zagłębić w szczegóły swoich projektów, odłożyć je i wrócić do nich po pewnym czasie lub porzucić, jeśli ostatecznie wydadzą mu się mało ciekawe. Tymczasem poprzednia sytuacja zmuszała ich do parcia naprzód i wydawania niemal każ-



dej książki, bo w końcu wydawnictwo powinno coś wydawać. Parli więc naprzód bez wytchnienia, ale nagle w połowie roboty człowiek poddawał się rutynie, tracił zapał i w niczym nie znajdował już inspiracji. Teraz może pozwolić sobie na komfort czekania — kiedy przychodzi mu do głowy ciekawy pomysł, może spokojnie prowadzić badania, a jeśli concept się wypali, może odłożyć go na bok, by trochę poleżakował. Ale nie ma w tym nic złego, bo w tym czasie zawsze coś nowego przychodzi mu do głowy. Owszem, Nick zdaje sobie sprawę, że Elaine kwaśno patrzy na taką metodą pracy, ale to tylko dowód jej krótkowzroczności. Nieraz usiłował jej wytłumaczyć — choć tak proste rzeczy zdawały się do niej nie docierać — że człowiek jest bardziej produktywny, jeśli kieruje się wewnętrzną inspiracją i dąży do celu własną drogą. W czasach wydawnictwa „Hammond&Watson”, kiedy biegął jak z pieprzem, nie zdawał sobie sprawy z tak banalnej oczywistości. Metody Elaine są oczywiście odmienne, jakżeby inaczej: kierat, kierat, kierat. Kierat ciężkiej pracy. Tyle razy powtarza jej, że powinna zwolnić tempo, wziąć kilka dni urlopu i zapomnieć o interesach. Ale skąd! Jeśli nie wybiera się na spotkanie z klientem, jeśli nie jedzie oglądać ogrodów, to przez cały dzień ślęczy z Sonią nad fakturami albo wyszukuje nowych dostawców. A jeśli nie zajmuje się żadną z tych rzeczy, to znika w ogrodzie, gdzie, jak twierdzi, zawsze jest coś do zrobienia. Nawet w soboty urządza ludziom kierat pracy.

— Hm... dobrze — odpowiada. — Może po kolacji, co? Właśnie wybieram się do klubu.

— Teraz. Wieczorem wychodzę.

Trzeba podkreślić, że Nick pierwszy uczciwie powie, że firma Elaine jest doskonale zorganizowana, nad podziw wydajna, a jej sukces to prawdziwe błogosławieństwo. Wszystko jej zasługą! Nigdy nie uwierzyłby, że zespół, którym kieruje, i sprzęt, w jaki się wyposażyla, z niczego wyczaruje takie efekty. Nick przeżył szok, kiedy któregoś dnia usłyszał rozmowę Elaine z Sonią na temat zeszłorocznych zysków. Doprawdy, przy takich dochodach nie powinna kręcić nosem na propozycję kupna nowego samochodu.

Czasem Nick patrzy na Elaine i czuje dręczący niepokój. Dopada go dziwne poczucie, że to ktoś zupełnie inny, osoba, której w ogóle nie zna. Absurd, oczywisty absurd, to przecież ta sama kobieta, z którą co noc od wielu lat kładzie się do tego samego łóżka — choć trzeba przyznać, że w ostatnim czasie Elaine więcej nocy spędza na wyjazdach niż w domu. Jak długo są już małżeństwem? Ile to już lat? Musiałby policzyć. Wszystko nonsens, Elaine jest taka jak zawsze, po prostu przybyło jej lat. Czasem jednak rzuci mu ponad stołem jakieś nieodgadnione, stalowe spojrzenie.

Jak się zdaje, Elaine zajmuje w swej branży jedno z czołowych miejsc. Słyszał jakieś wieści o zaproszeniu jej na odczyty do kilku uczelni w Stanach Zjednoczonych. Słyszał również, że przygotowuje projekt ogrodu na słynny festiwal kwiatowy w londyńskim Chelsea. Pracy ma co niemiara. Czasu niewiele. Oznacza to tyle, że siłą rzeczy coraz mniej uwagi zwraca na to, co Nick mówi lub robi. Może to jest jeden z powodów jej alienacji. Ale to przecież żaden problem.

Nick zawsze starał się trzymać z dala od problemów. Życie, jego zdaniem, nie powinno polegać na rozwiązywaniu problemów, lecz na ich unikaniu. Jeśli ktoś prowadzi firmę, to powinien zatrudnić kogoś, kto zajmie się uciążliwymi drobiazgami. U nich robił to poczciwy Oliver. Nick powtarza Elaine, że powinna scedować na Sonię więcej obowiązków. Albo niech najmie kogoś jeszcze do brudnej roboty. Przede wszystkim nie można dać się ponieierać trudnej sytuacji tylko dlatego, że nagle sprawy nie idą po twojej myśli. Przetnij cumy i płyn dalej. Zapomnij o tym, co było.

Nick dawno sobie wykalkulował, że to najlepsza strategia także w życiu osobistym. Niektórzy ludzie mają zadziwiającą skłonność do tego, by czasem stawiać innym duże wymagania. Mnożą trudności. Źle rozumieją, źle interpretują. Nick musi z żalem przyznać, że takie skłonności przejawia także Elaine. Często robi z igły widły, widzi trudności tam, gdzie ich nie ma. Jak choćby ta nonsensowna kwestia z samochodem.

— Chodźmy do cieplarni — mówi Elaine. — Tutaj zaraz przyjdzie Sonia.

Idzie za nią. Nie, to już zaczyna być irytujące.

Jak długo są małżeństwem? Musi ją o to zapytać. Oczywiście czuje, że teraz nie jest to odpowiedni moment. Nick potrafi intuicyjnie odgadnąć jej najgłębsze nastroje i jest dla niego jasne, że Elaine od samego rana jest w podłym nastroju, nie wiadomo dlaczego. Ma więc zamiar przyjąć zwykłą w takich okolicznościach taktykę, nie podgrzewać temperatury, zachowywać się pojednawczo, z jak największym zrozumieniem, a w odpowiedniej chwili zmienić temat; przy odrobinie szczęścia Elaine szybko zapomni, co ją dziś ugryzło.

Nick jest dumny z Elaine. Absolutnie. Nie wyobraża sobie, by mógł mieć inną żonę. Owszem, bywało — ma dość odwagi, by to przyznać — że oglądał się za innymi kobietami, zresztą rzadko. Ale cóż, przywilej młodości. Kto taki nie był? Zresztą, od dawna już nic z tych rzeczy, od długich lat. Elaine jest idealna. Prawda, ich życie seksualne najlepsze czasy ma już za sobą, ale należy sądzić, że to naturalny bieg rzeczy u ludzi, którym przybywa lat. Tym bardziej, że Elaine jest od niego starsza, czego zresztą nigdy specjalnie nie odczuł.

Nick nie potrafi sobie przypomnieć, jak się poznali i w jakich okolicznościach postanowili wziąć ślub. Nic dziwnego, że nie pamięta nawet, kiedy to było. Jedno jest pewne: dawno temu. Nick nie lubi odgrzebywać przeszłości. Co było, to było. Nikt już nie zmieni tego, co było, więc po co w ogóle patrzeć wstecz. Nigdy nie żałował, że ożenił się z Elaine; choć czasem, dla lepszego samopoczucia, dobrze było... zerknąć trochę w bok. Kiedy się poznali, żył w tłumie ludzi; pamięta to jak przez mgłę. Mnóstwo dziewcząt. Jednak tak się jakoś złożyło, że ożenił się z Elaine, a nie inną kobietą. Teraz byłby gotów dziękować Bogu za takie zrządzenie losu. Jasne, bywa zjadliwa i nieprzystępna, jak choćby teraz, ale to są sytuacje do wytrzymania, które się udaje załagodzić. Dzięki niej sprawy materialne mają się jak najlepiej — zupełnie szczerze musi oddać, że gdyby nie wydzwignęła swej małej firmy na tak wysoki poziom, byłiby teraz ugotowani. Tak, Elaine należy się szacunek, co do tego nie

ma wątpliwości. Nic dziwnego, że żyje w ciągłym stresie, choć potrafi z nim sobie świetnie radzić; trzeba to zrozumieć, trzeba się z tym pogodzić.

— Przemyslałem to trochę — mówi do niej. — I wiesz, doszedłem do wniosku, że niepotrzebna mi przecież nówka, wystarczy samochód jednoroczny albo dwuletni. — Nie rozmawiamy o samochodzie.

Trzeba też powiedzieć, że Elaine zdarza się przyjmować nieprzyjemny, ździebko belferski ton. Zawsze się jej zdarzało i jest z tym coraz gorzej, myśli z obawą Nick. Niestety, będzie musiał być jeszcze bardziej tolerancyjny. Nie warto się sprzeciwiać Elaine, kiedy jest zła jak osa z powodu błahostki. Najlepiej wycofać się dyskretnie na jakieś upatrzone pozycje; przy odrobinie szczęścia wszystko rozejdzie się po kościach. Kiedyś potrafił ją uspokoić, łagodnie przemówić, znaleźć odpowiednie słowo, okazać zrozumienie, po prostu pomóc. Teraz jednak podobne próby kończą się niczym. Nie wiadomo dlaczego. Najlepiej więc nie przeszkadzać, odwrócić głowę i myśleć swoje — co zresztą i tak zawsze robił. I nie dać się wciągnąć w ostrzejszą kłótnię. Elaine lubi porządek, lubi w swoim księstwie sprawnie rządzić i wiedzieć, co się w nim dzieje. Ale teraz jest przepracowana, firma zajmuje jej tyle czasu, że przecież nie ma potrzeby, by brała sobie jeszcze na głowę sprawy Nicka. Byłoby nawet rozsądniej, gdyby uzgodnili między sobą jakiś elastyczniejszy system przepływu gotówki w ich domowym budżecie. Wówczas w ogóle nie musiałaby się martwić byle potrzebą, jak choćby tym nieszczęsnym nowym samochodem. Raz nawet zasugerował wzięcie pod uwagę takich zmian, jednak gdy mowa o pieniądzach, Elaine bywa naprawdę zabawna. Ciska się, jakby nie wiadomo o co chodziło.

— O... nie o samochodzie? — Nick obdarza ją pytającym spojrzeniem; ufnym i pogodnym, takim w rodzaju „do pani usług”.

Cholera. Oznacza to jedno: sprawa samochodu zostaje odłożona na dłużej, schowana w jakimś dalekim zakątku pamięci Elaine, gdzie przechowuje akta „spraw niezłatwionych”, niestety zwykle długo. Musi teraz trochę poczekać, by znowu podnieść tę kwestię. To gorzej niż źle, psiakość! Golf ma już na liczniku ponad sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, ciągle coś w nim siada, czasem coś poważniejszego. Na pewno nie wybierze się nim w żadną dalszą podróż, a wie już, że musi mieć lepszy samochód na wyprawę do Northumberland i kilkudniową wólczęgę w rejonie Lindisfarne i Alnwick, gdzie spodziewa się znaleźć nowe, inspirujące miejsca.

Elaine milczy. Nick czeka. W głębi domu dzwoni telefon. Krótko. Sonia od razu podnosi słuchawkę. Za oknem Jim strzyże trawę na samobieżnej kosiarce.

— Oho, widzę, że kosiarka już naprawiona... — konstatuje Nick.

Tym lepiej. Byłoby źle, gdyby kosiarka zepsuła się na amen. Cholera wie, ile takie cacko kosztuje. Pewnie nie aż tyle co samochód? Zresztą, wiadomo już, że nie chodzi o samochód. Chodzi o coś innego. O co?

Kiedy Elaine zaczyna śmiertelnie serio traktować jakiś temat, to najlepiej od razu zρέcznie umniejszyć znaczenie rozmowy. Nick nie cierpi sprzeczek. Właściwie w ogóle się nie kłóci, z nikim. Gdy się zanosi na kłótnię, Nick potrafi niepostrzeżenie się rozpląnąć w powietrzu. Ta technika była też do pewnego stopnia skuteczna w wypadku Elaine. Trudno bowiem angażować się w spór, jeśli druga strona go unika i nie zamierza się odgryzać. Nick wierzy w swój mistrzowski talent utrzymywania rozejmu między małżonkami, omijania zdradliwych raf i umiejętnego wykorzystywania sztuki dyplomacji. Czasem nawet zastanawia się, czy nie powinien lepiej spożytkować tych umiejętności i doświadczeń. Gdy na rynku wydawniczym nastął boom na poradniki, wpadł na pomysł wydania książki o dobrych relacjach małżeńskich, pisanej z punktu widzenia męża. Miał już nawet chwytliwy tytuł: „Jak pozostać małżonkiem” lub coś w tym rodzaju. Zmyślne połączenie inteligentnego humoru i porad praktycznych; a także pewien trop literacki — wystarczyłoby przytoczyć przykłady kilku związków małżeńskich sławnych ludzi i przyjrzeć się ich wzlotom i upadkom. Choćby poeta D. H. Lawrence i ta-jak-jej-tam... Tennyson też był całe wieki żonaty, prawda? Dickens... a nie, ten chyba wypadł na zakręcie. Ktoś musiałby to dokładnie sprawdzić, ale w sumie zebrałyby się smaczne kawałki. Zawsze uważał, że to znakomity pomysł na książkę, jednak nigdy nie czuł się na siłach, by przekonać do niego Elaine. Zwykle zdawał jej sprawozdania z postępów w realizacji swoich projektów — choć nie spodziewał się z jej strony jakiegó pomocy czy konstruktywnego wkładu w jego zamierzenia. Czasem nawet zdawało mu się, że Elaine nie traktuje jego pracy z należytą powagą. Tak czy siak, wyczuwał, że Elaine nie dostrzeże plusów wydania owego poradnika małżeńskiego, a przede wszystkim nie zrozumie jego intencji. Toteż nigdy nie wspominał jej o pomysóle i szybko go zarzucił. Zawsze może do niego wrócić, jeśli nie przyjdzie mu nic innego do głowy.

Ale Nick wie, że jest czuły na kod małżeńskiego języka. Potrafi negocjować. Potrafi ustępować. Nie wolno mu dopuścić, by sprawa Elaine, cokolwiek to może być, wymknęła im się spod kontroli. Tylko spokojnie.

— Kath — mówi Elaine.

Nieprawdopodobne, jak szybko imię przywołuje jej obraz. Już tu jest, w jednej chwili, patrzy na niego. A on czuje... hm, jakąś przyjemną lekkość, radość i tchnienie życia. Kath umiała to sprawić. W bezszelestnym przelocie ukazuje mu się cała gromada Kath, płynących ku niemu bez słowa z przeróżnych miejsc i różnych czasów; tańczy z małą Polly, stoi uśmiechnięta z Glynem i trzyma go za rękę, tuż po ślubie, siedzi na trawie w ogrodzie i zaplata wianek ze stokrotek, i jeszcze tu... i jeszcze...

— Kath? — pyta zdziwiony.

Rzadko rozmawiają o Kath. W każdym razie Kath nigdy nie jest zasadniczym tematem rozmowy. Oczywiście, zdarza się wspomnieć jej imię przy różnych okazjach. To naturalne. Niekiedy bez zastanowienia. „Czy wtedy nie było z nami Kath?” „Czy Kath także nie chodziła do...?” Za to Polly mówi o niej dużo. Kath i Polly bardzo się przyjaźniły. Skąd teraz nagle...?

— Ty i Kath — mówi Elaine.

Raptowny ucisk w żołądku. Zdało mu się, że szklane ściany zadrżały na moment. Gromada Kath zniknęła w ułamku sekundy, tak szybko jak się pojawiła. W cieplarni są już sami, tylko oni, on i Elaine. Zza okna dobiega warkot kosiarki, nad rozetką zawciągu z delikatnym bzyczeniem unosi się pszczoła. Wszystko to bardzo realne, niestety. Jest wtorek, wpół do jedenastej rano. Powinien być już w drodze do klubu. Jednak jest tutaj, z dławieniem w żołądku i goryczą w gardle.

O co chodzi? Nie... Przecież ona nie może... Jakim sposobem...?

— Widziałam fotografię — mówi Elaine. — I twój liścik do Kath.

Boże. Nick czuje, jak z każdym słowem Elaine rośnie w nim bolesne napięcie. Fotografia. Oczywiście. Ma ją przed oczami. Pamięta, jak się śmiał, gdy zobaczył ją pierwszy raz. Nie mógł się powstrzymać, by nie przesłać jej Kath. Puściła ją gdzieś w obieg? Co za niemądra dziewczynka. Nie schowała jej u siebie?

— Widzę, że wiesz, o czym mówię — mówi Elaine.

Chryste. Ale... zaraz. Jakim cudem...? Oliver. To on przekazał mu zdjęcie. Dobry stary Oliver. Zapewniał, że zniszczył negatyw. Czyżby więc, cholera, Oliver...? Jeśli nie, to gdzieś jednak zdjęcie musiało wypłynąć. Gdzie?

— Glyn ją znalazł.

Cieplarnia zawirowała mu przed oczami. Podłoga się zatrzęsła pod nogami. Bzyczenie pszczoły przemieniło się nagle w świst dentystycznego wiertła. To nie może być prawdą. Ale jest.

Spokojnie. Weź się w garść. Nie jest dobrze, ale nigdy nie jest tak, że nic już nie można zrobić. Sytuacja nie jest beznadziejna. Elaine się wściekła, jasne. Ma prawo, musiała przeżyć szok, minie trochę czasu, zanim wszystko przetrawi i zrozumie. Przyjdzie mu sięgnąć do najgłębszych zasobów swych negocjacyjnych talentów.

— O... Glyn.

Teraz staje mu przed oczami Glyn. Widzi go wyraźnie. Glyn wygląda jak Zeusowy piorun. Nie słyszy, co Glyn mówi, co wykrzykuje, i chyba dobrze, że nie słyszy. Glyn — paskudna sprawa. Coraz bardziej skomplikowana. Ale wszystko po kolei.

— Kochanie, posłuchaj — mówi Nick. — Proszę, spójrzmy na to jak ludzie dorośli, z perspektywy czasu. Nie mam zamiaru kłamać i wszystkiego się wypierać. Wolalbym, żeby tak się nie stało, ale skoro się stało, skoro wiesz... Cóż, będę absolutnie szczery. To prawda, nie przeczę, kiedyś Kath i ja, na krótko...

— Wcale nie chcę wiedzieć — przerywa Elaine. — Nie chcę wiedzieć ani gdzie, ani kiedy, ani na jak długo. Wystarczy, że coś było.

— Ależ posłuchaj, to było jak błysk. Głupia, idiotyczna przygoda, która minęła bezpowrotnie. Skończyła się bardzo szybko, dawno, długo przed jej...

— Nie wątpię.

— Przecież dla nas dwojga to absolutnie nie ma znaczenia — przekonuje Nick. — Nie miało wtedy i nie ma dzisiaj. To głupi błąd. Kath powiedziała by to samo. Uwierz mi. Na pewno by tak powiedziała.

— Na pewno.

Nic nie idzie po jego myśli. Gdzieś uderzył w złą strunę, ale gdzie? Elaine nie dodaje mu odwagi. Siedzi spokojna, niewzruszona, patrzy na niego, a on ucieka wzrokiem. Jak nigdy dotąd czuje jej obcość. Elaine jest inna, to nie ta sama Elaine.

Pszczoła ucichła. Jim zniknął z trawnika za oknem. Podłoga się uspokoiła, jest nieruchoma, ciepłarnia już nie wiruje mu w głowie. Wszystko zdaje się wracać do normy, jest tak, jak było, a jednak niezupełnie tak samo.

— Co mogę zrobić? — pyta. Bardzo cichym głosem, rozważnym, pełnym smutku.

— Chcę, żebyś odszedł.

Spogląda na nią z nieopisanym zdumieniem.

— Dokąd?

— Gdzie chcesz, to zależy wyłącznie od ciebie. Byle z dala stąd. Z dala od tego domu.

Na końcu języka miał już zdanie: „Przecież to mój dom”, kiedy uświadomił sobie, że przecież to nieprawda. To dom Elaine. Ona wpłaciła do banku przedpłatę. Ona spłaca raty.

— Dopóki tu jesteś — mówi dalej Elaine — ciągle będzie mi się to przypominać. Za każdym razem, gdy na ciebie spojrzę. I za każdym razem będę się czuła tak, jak czuję się teraz. A nie mam zamiaru pozostawać w takim stanie uczuć przez najbliższy czas. Mam inne rzeczy do roboty.

— Ale ja tu mieszkam — powiedział jeszcze Nick.

— Już nie.

Umykające myśli, chmary myśli. Nie, nie myśli — to wybuchy paniki. Przecież nie wolno jej! Tak. Wolno. Co ja teraz...? Dokąd ja...? To takie niesprawiedliwe. Tyle lat! Przecież nie popełniłem zbrodni. Przecież wielu ludzi...

Spokojnie, spokojnie. Trzeba zachować zimną krew. Trzeba myśleć logicznie. Elaine to rozsądna kobieta. Na pewno widzi, że reaguje... z przesadą. Oczywiście, że to nią wstrząsnęło. Oczywiście, że jest na niego zła. Ma do tego pełne prawo.

Spokojny głos, pewny. Łagodny i przekonywający.

— Elaine, wierz mi, doskonale wiem, co teraz czujesz. Rozumiem to tak jak ty. Mną również to wstrząsnęło. Na pewno damy sobie z tym radę. Nie możemy pozwolić, by coś takiego zniszczyło tyle naszych wspólnych lat. Niech minie trochę czasu, wszystko się ułoży, zobaczysz, będziemy umieli z tym żyć.

— Ty najwyraźniej umiałeś z tym żyć mnóstwo lat, i to całkiem komfortowo — odpowiada Elaine. — Jeśli o mnie chodzi, nie jestem taka przekonana.

W głębi domu znowu dzwoni telefon. Po chwili przestaje. Nick widzi kątem oka, jak Elaine zerka na zegarek.

— Kochanie, doprawdy — próbuje. — Niepotrzebnie to wyolbrzymiasz. To nie było nic takiego. Poczekajmy trochę, prześpijmy się z tym, spróbujmy porozmawiać za kilka dni.

Elaine wstaje.

— Za kilka dni ciebie tu już nie będzie — mówi sucho. — Niestety muszę iść. Wracam jutro późnym popołudniem i spodziewam się nie zastać tu ciebie. Pieniądze będą przelewane co miesiąc na twoje konto, jak dotychczas. Na pewno wystarczy na wynajęcie małego mieszkania i skromne życie. Weź swój samochód. I książki. Później uzgodnimy, co jeszcze możesz stąd zabrać.

Wychodzi. Na zewnątrz. Za oknem pojawia się Jim na kosiarce. Do pszczoły dołączyła druga pszczoła. Dzień toczy się dalej.

T  
L  
R

Niech to jasny szlag trafi! Co za burdel. Po tylu latach. Z powodu jednej głupiej fotografii.

Oliver czuje się jak w potrzasku. Siedzi w ulubionym pubie po drugiej stronie ulicy, naprzeciw biura, ale nic tu nie jest takie, jakie być powinno. Zamiast popijać kufel piwa i mieć spokojne pół godziny na czytanie gazety, siedzi naprzeciw Glyną Petersa. Owszem, stoi przed nim kufel piwa, ale trunk wcale mu nie smakuje. Obecność Glyną ciąży mu jak głaz, przytłacza go. Glyn pochyla się nad lśniącym, okrągłym stolikiem, nerwowo przesuwając palcem tekturowe podstawki pod piwo. Nie spuszcza wzroku z Olivera, taksuje go natarczywie swoimi błyszczącymi, ciemnobrązowymi oczami.

— Chciałbym wiedzieć... — zaczyna Glyn.

Będzie dla ciebie lepiej, jeśli nie będziesz chciał nic wiedzieć, myśli Oliver. Daj spokój. Nic już się z tym nie zrobi. To już skończone. Nie, nie wiem, jak długo to się ciągnęło, i nie chcę wiedzieć, i ty też nie powinieneś się dopytywać. To zresztą mnie nie dotyczy. Nigdy nie dotyczyło. Można by pomyśleć, że jestem czymś w rodzaju narzędzia zbrodni.

— Dlaczego zrobiłeś im zdjęcie? — pyta Glyn. Boże jedyny!

— Nic nie zauważyłem, dopóki nie wywołałem zdjęć.

Fotografowałem całą grupę, stali razem, rozmawiali, ja miałem aparat. W ogóle nie widziałem, że Nick i Kath... — wzruszył ramionami.

Ale kiedy zauważyłeś, zdjął cię blady strach, prawda? — myśli Glyn. Kumpel z firmy, wspólnik i siostra jego żony. Ty z nimi w jak najlepszej komitywie, wieczny gość w ich domu...

Upłynęło wiele lat, odkąd ostatni raz widział Olivera Watsona. Niewiele się zmienił — tak samo skromny, te same lekko przeproszające gesty, połączone z jakimś wewnętrznym spokojem ducha. Słyszał, że prowadzi niewielką firmę komputerowego składu tekstu. Biuro małe i ciasne, zastawione monitorami. Miła kobieta, która robi wrażenie kogoś więcej niż tylko asystentki, dyskretnie obserwuje przybycie nieznanego. Oliverowi najwyraźniej zależy, by szybko wyszli z biura. „Sandra Chalcott. Wspólniczka. Wyjdziemy, dobrze? Tu jest cholernie niewygodnie”.

— Jak mnie znalazłeś? — zainteresował się Oliver. — Tak dawno już straciliśmy kontakt.

— Elaine.

— Powiedziałaś Elaine?!

— Musiałem przecież ustalić pewne fakty. Nie miałem wyboru — w głosie Glyną słychać raczej ton zniecierpliwienia niż usprawiedliwienia.

— Nickowi też? — pyta po krótkiej chwili Oliver.

— To już sprawa Elaine. Szczerze mówiąc, Nick niewiele mnie interesuje.

Oliver pociągnął łyk piwa, niemal nie czując jego smaku. Chciałby być z powrotem w biurze. Chciałby, żeby Glyn był teraz gdziekolwiek na świecie, byle nie tu, nie w tym pubie. Jest poirytowany,



a jednocześnie lekko zaniepokojony tym, co się dzieje. Glyn wygląda na człowieka zdesperowanego, opętanego jakąś ponurą obsesją, by nawracać świat. Glyn naciska.

— Często widywałeś Kath, prawda?

— Hm... tak. Kath lubiła towarzystwo...

Do czego zmierza? Cholera, chyba nie... Czy na mnie także rzuci oskarżenie, że romansowałem z jego żoną?

Glyn prostuje się, opiera łokcie na stole i łączy palce pod brodą, przybiera refleksyjny, niemal melancholijny wyraz twarzy.

— Powiem ci szczerze, że to odkrycie zmieniło mój świat. Musisz to zrozumieć. Nagle przyszło mi się zmierzyć z... nielojalnością przeszłości. Mojej wspólnej przeszłości z Kath. Nie leży w moich zamiarach obwinianie nikogo, obrzucanie się zarzutami i pomówieniami. Interesuje mnie przewód sądowy. Wiesz, o czym mówię?

— Nie bardzo — przyznaje Oliver.

— Chcę wiedzieć, czy Kath taka była. Czy często mnie zdradzała. Chcę poznać Kath.

Olivera zamurowało. „Człowieku, na miłość boską, przecież byłeś jej mężem”, ma ochotę powiedzieć. „Nie uważasz, że trochę późno na takie śledztwa?”

Glyn kończy piwo. Wstaje. Daje znak Oliverowi.

— Dopij. Przyniosę jeszcze po kuflu.

— Właściwie nie mam już ochoty — wymawia się Oliver. — Czekam na Ciebie po południu dużo pracy.

Ale Glyn nie zważa na słowa Olivera i odchodzi w kierunku baru.

Wraca z dwoma pełnymi kuflami i zaczyna mówić, zanim jeszcze usiądzie.

— Muszę spojrzeć na tę sprawę jak na każdą inną wymagającą drobiazgowych badań. Trzeba sprawdzić każdy ślad... Nabrać dystansu, zebrać fakty i dokładnie je przeanalizować, nie wolno zlekceważyć nawet marginalnych wskazówek, nawet pozornie nieważnych informacji...

Zdania mkną ku niemu jedno po drugim, przebijają się przez jazgot gwarne baru. Oliver udaje, że słucha uważnie, ale ucieka myślami. Co jest z tym facetem? Zawsze taki był? Hm... zapewne tak. Ten głos — siła, dykcja, perswazja. Czuć tu wpływ pokoleń walijskich kaznodziejów.

— ...metodyczność, systematyczność i cierpliwość. Na początku trzeba być po prostu otwartym i przygotowanym na wszystko, bo w każdej chwili coś się może objawić. Fakty, fakty, fakty. Co jednak nie oznacza, by rezygnować z domysłów i impulsów instynktu, rozumiesz? Oczywiście, cały wysiłek, jaki włożyłem w to, by Ciebie odnaleźć, może się okazać daremny i zaprowadzić mnie donikąd. Ale warto próbować. Kath to teraz mój nowy przedmiot badań...

— Ależ to żaden przedmiot — wtrąca odruchowo Oliver. — To jest kobieta. Była...

Glyn zamilkł raptem. Rozeźlony, można by pomyśleć. Ale nie. Nastrój się zmienia.

— To racja... — mówi. — W tym właśnie cały szkopuł, prawda?

Oliver z rezygnacją zagląda w niechciany kufel drugiego piwa. Nie odpowiada.

— Powiedz więc, Kath była z tego... znana?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Wiem, że zanim wyszła za mnie, miała wielu adoratorów, czemu oczywiście trudno się dziwić.

— Oczywiście — przytakuje Oliver.

— Bardziej zajmuje mnie sposób jej postępowania w późniejszym okresie.

Oliver nie wierzy własnym uszom, że słyszy takie słowa i że w ogóle odbywa się taka rozmowa. Toczy bezradnie wzrokiem po sali. Dostrzega parę mężczyzn. Zapewne rozmawiają o jakimś biznesowym kontrakcie, polityce, ostatniej kolejce ligowej albo o wczorajszym programie w telewizji. Tymczasem na niego wałęsają się maniackalne problemy ogarniętego obsesją faceta, którego nie spodziewał się więcej w życiu oglądać.

— Z pewnością miałeś na jej temat jakieś zdanie, jakoś ją postrzegałeś jako człowieka.

Potwierdzenie wydało się zbyteczne.

— Znałeś jej przyjaciół? Dość, myśli Oliver.

— Posłuchaj — mówi. — Kath... nie żyje. Nie ma jej tutaj. Nikt już jej nie wskrzesi. Nie może się bronić, nie może się przed tobą wytłumaczyć. To jest w porządku?

Glyn rozkłada ręce.

— To właśnie cały problem z umarłymi. Świetnie to ująłeś. Są poza zasięgiem. Nietykalni. Nic już nie wytłumaczą i nie powiedzą. Tymczasem cała biedna reszta ugania się po świecie, próbując dojść prawdy. Niektóre skrajne przypadki, jak ja, zajmują się tym uganiem zawodowo.

— Cóż... — westchnął Oliver. — To twój punkt widzenia. Muszę wyznać, że mój jest zupełnie inny.

Glyn ocenia swoje położenie. Rozmowa jak na razie do niczego nie prowadzi. Trudno się porozumieć. Facet najwyraźniej stosuje obstrukcję. Dlaczego? Co mu chodzi po głowie? Czy coś ukrywa? Jeśli tak, to trzeba przyznać, że jest bystrzak i sprawnie ląduje na cztery łapy. Jeszcze pół godziny temu nie miał pojęcia, o co go będą pytać. Nieważne... Nie ma sensu trwonić dalej czasu.

Uśmiecha się, otwarcie, jowialnie.

— Szanuję twój punkt widzenia. Ale zgodzisz się chyba, że mam prawo być po tym wszystkim trochę zdetonowany.

Owszem, Oliver się zgadza. W każdym razie, w tej chwili tak. To rzeczywiście musiało być bolesne odkrycie. Zdobywa się na nikły, pojednawczy uśmiech.

Glyn wypija duszkiem resztę piwa.

— Cóż, cieszę się ze spotkania po latach. Szkoda, że w takich okolicznościach.

Oliver mamrocze jakąś podobną uprzejmość. Wstają i kierują się w stronę wyjścia. Za drzwiami Glyn zatrzymuje się.

— Ta para ludzi, która pojechała z wami na wycieczkę, Mary Packard, jeśli dobrze pamiętam, i jej towarzysz, to twoi dobrzy znajomi?

Oliver kręci przecząco głową. Ma ochotę czmychnąć i zamknąć się w biurze na cztery spusty.

— Ten facet to podobno jakiś plastik?

— Ceramik — ujawnia Oliver zrezygnowanym głosem. — Mieszkał wtedy w Winchombe.

Och, sypnął, sromotna zdrada... Ale cóż łączy go z Mary Packard? Dałby wszystko, byle to się już skończyło.

— Muszę pędzić — rzucił krótko. — Klientela czeka. Miło cię było zobaczyć.

TLR

Kath! Nie mogę uwierzyć, że to wszystko z powodu Kath.

To znaczy, to była taka fantastyczna, taka miła osoba. Uwielbiałam ją. Dobrze, dobrze, jestem trochę uprzedzona, ale taka dla mnie była i już. Och tak, wiem, dla mamy była jak kula u nogi. Ona i mama... Cóż, stare dzieje. Choć zdaje się, że stare, ale jare. Ale, wiesz, to mama taka była. Zawsze surowo traktowała Kath, miała do niej wyjątkowo pryncypialne podejście, nie wiem czemu, ciągle ją strofowała, ganiła albo jej dogadywała, a Kath była sobą i tyle. Właśnie, tu jest pies pogrzebany, Kath była sobą bez względu na to, jak patrzyli na nią inni i co sobie o niej ludzie pomyśleli, a nie zawsze myśleli życzliwie, choć, między Bogiem a prawdą, to wcale nie był ich interes, niech każdy pilnuje swego nosa. Kath żyła pełnią życia i pytam, co w tym złego?

Och, była bardzo atrakcyjną kobietą. Te usta. Te oczy. Sposób, w jaki się poruszała, siadała, nawet stała — człowiek nie mógł oderwać od niej oczu. Wcale nie była osobą próżną, nigdy nie dbała o superciuchy albo modne uczesanie — cóż, z drugiej strony, nie musiała, ale chodzi o to, że nie здаwała sobie sprawy, że nie musi. Po prostu nie dbała o takie rzeczy. Rzecz jasna, dziewczyna może sobie na to pozwolić tylko wtedy, jeśli tak przyciąga uwagę, więc, moim zdaniem, właściwie w pewnym sensie wiedziała, trochę tak podświadomie — no, zamyka się błędne koło.

Ale też nie była pewna siebie, wcale a wcale. Bardziej raczej... no, po prostu coś w sobie miała. Ciągle w ruchu, gdzieś jechała, gdzieś szła, z kimś musiała się spotkać, coś zobaczyć, jedna chwila, bach! i już jest w samochodzie. Nie umiała usiedzieć długo w jednym miejscu. Zupełnie jakby nie miała odwagi na chwilę stanąć, bo jakby się zatrzymała, to coś by ją dopadło, cha, cha. Tak czy owak, pewność siebie to cecha do niej nie przystająca — absolutnie. Ale musiała wiedzieć, jaki wywołuje efekt, jakie robi wrażenie. W końcu mężczyźni... Hm... właściwie było tak, że wywoływanie wrażenia nie robiło wrażenia na niej samej, ani zresztą nic, co miałyby wzmocnić jej własne ego. Ech... w ogóle, jeśli pomyśleć głębiej, to wydawało się, że ona nie ma własnego ego. Zupełnie nie myślała o sobie, choć, ee... co prawda, generalnie robiła to, co się jej podobało. Hm... to jednak bardziej skomplikowane, niż można by sądzić.

Pamiętam, jak rzucił mnie mój pierwszy chłopak, chodziłam już do college'u... Że co? Och, oczywiście, kreatura jakich mało. Hej, chwila moment, nie podpuszczasz mnie, gadzie! No, to dobrze. Mniejsza o niego, chodzi o to, że wyplakałam się wtedy w rękaw Kath, nie mamy. Kath powiedziała: „Och, tacy oni są”. I jakoś tak wzruszyła ramionami, z tym swoim czarownym, dziwnym uśmiechem. Pamiętam, że powiedziałam wówczas, chlapiąc: „Założę się, że ciebie nigdy nie rzucił żaden chłopak”. Pomyślała dłuższą chwilę i odpowiedziała: „Niby nie, ale to na jedno wychodzi”. Do dziś brzmią mi w uszach te słowa. Nie wiedziałam wtedy, co ma na myśli. Zresztą dzisiaj też nie wiem. Że niby kobieta też może rzucić faceta? No, to oczywiste. Ma prawo. To znaczy, nie przytaczam tu jakiegóś ogólnej teo-

rii, mówię o Kath, jasne? A potem zabrała mnie na zakupy i kupiłyśmy wtedy te durnowatą sukienkę, której sama nie kupiłabym nigdy w życiu, i poszłyśmy na super-lunch do włoskiej knajpy. Taka była Kath — jeśli życie cię kopie, odwróć się do niego plecami, ucieknij, wyjdź, wyjedź, zadzwoń do przyjaciółki...

Och, tak... taka postawa wywoływała u mojej mamy wściekłą mine. Widzisz, bo to absolutnie nie w stylu mamy. Moja mama i Kath, to jak żółw i zając; cha, cha... przy czym żółw zawsze był górą... Chwila, hm, niech to będzie jeszcze materiał do przemyśleń. Nie chodzi o to, że startowały w jakimś wyścigu, choćby zwykłej w wypadku siostr rywalizacji. E tam... nawet nie przypominały siostr. Ale było między nimi jakieś niesamowite napięcie, łączyło je coś tajemniczego, jakaś pępowina, nie, nie, to złe porównanie, ale wiesz, o co mi chodzi. Pewnie tak jest w rodzeństwie, skąd mam to, do licha, wiedzieć, jestem jedynaczką.

Pamiętam, że jak byłam mała, wszędzie, gdzie się zjawiała Kath, było wesoło, zawsze, gdy do nas przychodziła, oczywiście bez zapowiedzi. Przynosiła mi śmieszne upominki, których nie zapomnę do końca życia — papierowe kwiaty, które rozwijały się w wodzie, latawiec w kształcie jakiegoś smoczyska albo ryżego kotka, na widok którego mama podskoczyła pod sufit. Kath umiała wymyślać zabawy, które zajmowały nas przez pół dnia, opowiadała mi bajki, czytała kolorowe książeczki, czesała mnie i robiła mi odlotowe fryzury na głowie, malowała mi buzię długo przed tym, zanim ta zwariowana moda pojawiła się wśród dzieci. Kiedy Kath stawała w drzwiach, czułam się tak, jakby była już Gwiazdka albo czyjeś urodziny.

To niebywałe, że nie miała dzieci. Z Glynem. Tak na marginesie, to trudno mi sobie wyobrazić Glyna otoczonego gromadką latorośli. Nie wiem, czy w ogóle chciałby mieć dzieci. Kath nigdy o tym nie mówiła. Czasem myślą, że... ech, nie mówiła, to nie mówiła.

Możesz sobie wyobrazić, że ktoś nie chce mieć dzieci? Możesz? Och, ty możesz, prawda? Rozumiem.

Wracając do Kath, najbardziej wyróżniało ją spośród innych to, że nie pracowała. To znaczy, nie pracowała tak normalnie. Wiesz, o co chodzi. Większości ludzi, właściwie chyba wszystkim, praca wypełnia życie, w pewnym sensie człowiek i praca to jedno. To, co człowiek codziennie robi, decyduje o całej reszcie. Ile pieniędzy zarobi i jak będzie mu się dzięki temu żyło. I właściwie ani to cię specjalnie ziębi, ani grzeje. Osobiście, jeśli chodzi o pracę, uważam, że mogę mówić o szczęściu. Lubię swoją pracę. Płacą mi za robienie czegoś, co lubię i chętnie robię, płacą wcale nieźle. Jakaś dodatkową siłę daje mi świadomość, że robię rzecz całkiem nową. Mam nowoczesny zawód. Jak to się mówi, na czasie. Wiesz, gdybym powiedziała ci, dajmy na to dwadzieścia lat temu, że projektuję witryny w sieci, zdębiałbyś i spojrział na mnie jak na ostatnią idiotkę. Pomyślałbyś pewnie, że mówię o ustawianiu towarów na wystawach w sieci supermarketów. Dzisiaj pracować w Internecie to tak, jakby obsługiwać pierwszą mechaniczną przędzarkę na początku rewolucji przemysłowej albo sypać węgiel do kotła

pierwszej maszyny parowej. Nikt tego wcześniej nie robił, często tak sobie mówię. Nikt wcześniej nie spędzał całego dnia przed plastikowym pudłem z okienkiem, przestawiając bez końca znaki, obrazki i napisy. W swej pracy jestem dokładnie tam, gdzie znajduje się dzisiaj rasa ludzka.

Śmieję się, śmieję, pozwalam ci się pośmiać. Wiem, to zabrzmiało pretensjonalnie. No dobrze, śmiesznie, niech będzie.

Ty też? Ależ skąd! Co jak co, wybaczyć, proszę, ale pośrednika nieruchomości nie sposób dziś zaliczyć do pionierskich profesji. Pośrednicy nieruchomości są obecni na świecie od czasów wielkiego potopu. Na górze Ararat jakiś cwany pośrednik roztoczył przed Noem wspaniałe perspektywy deweloperskie i Noe już tam został. Bardzo mi przykro, Dan.

Nic się nie martw, za to zarabiasz kupę forsy, o wiele więcej niż ja, widzisz, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dzisiaj, w czasach rewolucji przemysłowej czy w czasach Noego, zawsze było z tego więcej kasy niż z sypania węgla do kotła parowego. Jeśli rzeczywiście mamy teraz do czynienia z rewolucją technologiczną, to nam, ludziom pracy niewolniczej, jest jednak trochę lepiej. Zresztą ci od pracy niewolniczej są teraz gdzie indziej, jeśli się nie mylę, prawda? Sypią żwir pod drogi, wywożą śmieci, podają cegły. Jak świat światem zawsze tak było. Nie ma co; wykształcenie lepsze od matury nie jest zupełnie głupim pomysłem. Trzy lata w college'u i gra. Nigdy nie miałam zamiaru odbijać karty pracy na zegarze w jakimś Tesco.

Kath. Odbiegłam trochę od tematu Kath. Od jej braku pracy. W każdym razie normalnej pracy. Owszem, zdarzało się, że miała jakieś zajęcie; na tydzień, najwyżej miesiąc i szlus, pakowała manatki — a to fucha dla jakiegoś wydawcy, a to obsługa wystawy w jakiejś galerii sztuki, a to jakiś festiwal. Bóg wie, jak sobie dawała radę, wiesz, jeśli chodzi o zarobki. Choć z drugiej strony nigdy nie miała żadnego kredytu do spłacania, nigdy nie wynajmowała mieszkania.

Mieszkała raz tu, raz tam. Mama się zżymała, że nigdy nie wie, jaki jest adres Kath.

Nie, nie, wcale nie! Żaden facet nie płacił jej rachunków. Nie masz racji. Nie mówię, że nie znalazłby się chętny, przeciwnie, niejeden na pewno by chciał, zawsze ktoś się przy niej kręcił. Ale ona nie myślała o stałym związku, hm, przynajmniej do czasu. Szczerze mówiąc, moim zdaniem Kath miała jakiś problem.

O, wybaczyć, Dan, ale znowu się mylisz. To jasne, że człowiek ma jakiś problem, jeśli do trzydziestego piątego roku życia nie umie zdobyć się na trwałe związki.

Trudno też w wypadku Kath mówić o szczególnych motywacjach do kariery zawodowej. Owszem, kiedyś, naprawdę dawno temu, gdy była jeszcze podlotkiem, chciała zostać aktorką. Powiedz mi, dlaczego każda dziewczyna, której uroda odbiega od przeciętnej, musi zostać aktorką? Dzisiaj pewnie modelką, co? Dziś jakiś łowca talentów wypatrzyłby Kath na Oxford Street. Wtedy jednak większość znajomych mówiła jej co innego: „Och, moja słodka, doprawdy, z twoją urodą nie masz wyboru, musisz zostać aktorką...” Mówili, mówili, aż w końcu Kath wzięła to sobie do serca.

Rozumiesz, to zupełnie bez sensu. Całe to podejście, że wyglądem stanowi o tym, co człowiek ma w życiu robić. Równie dobrze można powiedzieć, że rudzi powinni usiąść za kierownicą londyńskich piętrusów. Co ciekawe, takie myślenie przydarza się częściej kobietom niż mężczyznom. Zwłaszcza kobietom szalowym. Superprzystojny chłopak jakoś to wytrzyma. Zresztą może zostać premierem, prezesem Banku Anglii czy kimś w tym rodzaju. Nie mówię, że przystojni faceci zaraz tam mierzą, ale wiesz, o co mi chodzi. Tymczasem jeśli dziewczyna jest ładna, bardzo-bardzo-ładna, to wszystko, co się jej przytrafia, nabiera szczególnego pędu. Jest uprzywilejowana, ale to może się stać jej przekleństwem. Kieruje się tym, jak wygląda. W wypadku Kath ograniczanie się do aktorstwa oznaczało niestety tyle, że nie skończyła żadnego college'u, nie wyuczyła się żadnego zawodu, oczywiście nie została aktorką i w ogóle niewiele się nauczyła; brnęła tylko naprzód bez specjalnego celu, aż w końcu stało się to jej sposobem na życie.

Dobrze, przyznaję, ładna dziewczyna potrafi też znakomicie obrócić się w branży nieruchomości. Tylko że to niczego nie dowodzi, jeśli mi wolno powiedzieć.

W końcu spotkała Glyna. Wiesz, że do dzisiaj nie mam pojęcia, jakim cudem ona za niego wyszła? Facet z wysokich progów, nauczyciel akademicki — absolutnie nie z jej sfery. Jeśli się nie mylę, mama poznała go pierwsza, ale nie wiem jak. To nie był taki typowy profesorek z uniwersytetu, nie, nie, to był człowiek mediów. Glyn pokazywał się w telewizji, miał wtedy autorski program, łąził po jakichś rzymskich fortyfikacjach i takich tam, nawijał przy tym jak katarynka. Prawdę mówiąc, gdy byłam nastolatką, robił na mnie ogromne wrażenie. Tak pięknie mówił... roztaczała się wokół niego aura Richarda Burtona, no, może Burtona w roli Heathcliffa z *Wichrowych Wzgórz*. No i ktoś taki decyduje się na Kath, widząc ją pierwszy raz w życiu! Mój Boże, czy to było dla Kath coś nowego? Takich od pierwszego wejrzenia była już cała gromada. Ale tym razem Kath się poddała. Wreszcie się zaangażowała w związek, stały związek.

I tak zostało. Do czasu, kiedy... do tego straszego dnia. No tak, mówię ci przecież, że się po-brali i do końca byli małżeństwem. Zdawało się, że wszystko ma się jak najlepiej. Zauważ jednak, że było to małżeństwo bardzo wędrowne — Glyn w nieustannych rozjazdach, bo taką miał pracę, a Kath też poza domem, ale, że tak powiem, mniej służbowo; zwykle w wesołym i gwarnym towarzystwie, jak przed ślubem. Nie miała zamiaru zostawać kurą domową, dom dla niej nie istniał. O mężu nie wspominała słowem, no, oczywiście, czasem mimochodem napomknęła: „Glyn wyjechał na konferencję, mam trochę wolnego czasu, hej, może wybrałybyśmy się do miasta...?” Przyjeżdżała po mnie i puszczałyśmy się w tan. Z Kath zawsze było wesoło. Wiesz, nawet teraz, w środku tego wszystkiego, nie wspominam jej inaczej. To znaczy, przez nią jest to straszne zamieszanie, no tak, przez nią i przez tatę, mówiąc uczciwie. Jednak dla mnie to wciąż ta sama osoba. Kath. Jakoś trudno odnieść mi do niej tę dzisiejszą, niespodziewaną sytuację.

Dobrze, pogadamy jutro. Właściwie nie jest tak późno, ale rozumiem. Bardzo, bardzo martwię się o rodziców, to wszystko. I zastanawiam się, czy w tym wszystkim jesteś daleko ode mnie, czy blisko, Dan.

Elaine przenosi telefon do cieplarni, gdzie Sonia jej nie usłyszy. Jej skrepowanie powstałą sytuacją i nadmierna grzeczność stają się irytujące — rozpaczliwe udawanie, że nic się nie zmieniło. Kiedy Elaine idzie, w aparacie cały czas migocze kontrolka, kiedy siada, kiedy patrzy na pergolę i kiedy zauważa, że wisteria zaczyna nabierać koloru. Podnosi słuchawkę i natychmiast wpada jej do ucha rozgorączkowany głos Polly, płynie potokiem słów, zagęszcza się w jej skroni, tworzy zamęt.

— ...przecież minęło tyle czasu! — zawodzi z żalem Polly i raptem milknie, jakby wymęczona.

— To bardzo trafna uwaga — mówi cicho Elaine.

Prawdę mówiąc, wcale nie minęło tyle czasu. Jakieś piętnaście lat, błahostka w kontekście całego życia. W miarę jak człowiekowi ubywa lat, z czasem dzieje się coś osobliwego. Czas się kurczy. Tam, gdzie kiedyś wydawał się elastyczny i rozciągliwy, gdzie byle dziesięć lat zdawało się wiecznością, teraz stał się drobniutki, jak łupina orzecha, pokurczony i pomarszczony — nic już nie jest „dawno temu”. Ale dla Polly piętnaście lat to stulecie.

Polly mówi dalej.

— ...wiem, że to wstrząs, że trudno się z tym pogodzić, ale czy to rzeczywiście ma aż takie znaczenie? Przecież ty i tato wciąż jesteście tymi samymi ludźmi.

— Obawiam się, że nie — odpowiada Elaine.

— Mamo, powiedz, że to nieprawda, nie mogę w to uwierzyć.

Elaine dostrzega, że pod dziką jabłonią przerzedza się trawa — trzeba jej tam dosiać. Przygląda się pergoli i zastanawia ją prześwitujący przez nią, mało rozpoznawalny kształt, który mimowolnie przyciąga wzrok: ach, ten klon zupełnie w tym miejscu się nie sprawdził.

— Nie rozumiem. — Polly płacze w słuchawkę. — To znaczy rozumiem, oczywiście, rozumiem całkowicie, co czujesz, mamo. Oczywiście, że tak. Ale czy tak musi być? Nie możesz...

— Nie — przerywa Elaine. — Już ci to wyjaśniłam. Twojemu ojcu też wyjaśniłam.

— Ale trudno sobie wyobrazić, jak on... jak on da sobie radę?

Elaine odrywa uwagę od pergoli i klonu. Nie chodzi jej o to, aby uciec od ciężkiego tematu, nie chce też być wobec córki nieczuła, raczej zależy jej na pokazaniu sobie, że w obliczu burzy życie może się toczyć dalej. To zdrowy znak. Dzisiaj Kath się nie pojawia. Nie wypływa nagle przed jej oczy z siennej dali; milczy. Skruszona? Czy to raczej jej postawa obronna?

— Wydałam już nowe zalecenia w banku, wszystko jest załatwione.

— Och, wiem, wiem. Tato mi powiedział. Nie mam na myśli pieniędzy. Chodzi mi o to, jak da sobie radę w takiej sytuacji... Wiesz, gdzie teraz mieszka?

Cisza.



— Tutaj — mówi Polly. — Tutaj, w moim mieszkaniu. Dopóki czegoś sobie nie znajdzie. W każdym razie tak mówi. Śpi na sofie w salonie. Tej nowej, wiesz, w stylu „Habitat”.

— Ach tak... — spokoj Elaine został raptem zmacony. — Ach tak... — powtarza. — Na twojej sofie.

— Wszedł kupić skarpetki. O dziewiątej wieczorem. Zapomniał wziąć z domu zapasowe pary. Nie wiem, jemu się chyba wydaje, że kupi skarpetki na pierwszej lepszej całodobowej stacji benzynowej.

Elaine nic nie mówi. Nie wie, co powiedzieć. Skarpetki to cios poniżej pasa.

— Muszę kończyć — mówi szybko Polly. — Właśnie wraca.

Dla Polly to trochę tak, jakby niezawodny system operacyjny zaczął być zżerany przez jakiegoś cholernego wirusa. Naruszony został porządek i nie wiadomo, czego się spodziewać. Nic nie jest takie, jakie powinno być. Po ekranie zaczęły chaotycznie hasać jakieś nieznane ikonki i znaki — nieproszone i niechciane — i nie sposób się ich pozbyć. Ludzie zachowują się inaczej; co gorsza, okazuje się, że wcześniej też zachowywali się inaczej, niż się wydawało.

Polly zawsze wierzyła w zasadność planowania, ale to wymaga odpowiedniej infrastruktury. Teraz jednak wszędzie biegają błędne drogi. Mama straciła cierpliwość, tata urządził sobie w jej salonie noclegownię, brakuje mu zapasowych skarpetek, a jego maszynka do golenia wala się w jej łazience. Nie wie, czy nie powinna w weekend pojechać do domu i jeszcze raz porozmawiać z mamą, przemówić jej do rozsądku. W każdym razie będzie musiała odwołać sobotnią kolację dla przyjaciół, przynajmniej dopóki ojciec okupuje jej krainę. Nie widzi świata poza nimi obojgiem, to jasne jak słońce, ale naprawdę, nie powinni się tak zachowywać. Złamali zasady, przestali być jej niezmienną i niezbędną scenografią, symbolem stałości, oazą spokoju; stali się kolejnym psującym się trybem w mechanizmie, defektem utrudniającym płynny ruch naprzód.

Ludzie się rozstają. Naturalnie, że ludzie się rozstają. Gdzie nie spojrzeć, związki są w stanie rozszczepiania — wystarczy trochę poczekać i zaraz się rozsypią. Ale nie tych dwoje ludzi, nie ten związek. W każdym razie nie z powodu jakiegoś występku sprzed wieków, fatalnego zbiegu okoliczności, czegoś, co zatopiło się już w przeszłości, raz na zawsze. Co w nich wstąpiło? Czy nie potrafią zachować się jak dorośli?

Łaja w myślach Kath. „Co chciałaś osiągnąć?”, mówi do niej z wyrzutem. „Jak mogłaś? Zobacz tylko, co narobiłaś!”

Ale Kath jest na jej wyrzuty głucha. W głowie Polly Kath w ogóle się nie zmieniła, robi to samo co zwykle: puszcza smoczy latawiec, zrywa z wieszaka sukienkę w sklepie, krzycząc „Weź koniecznie tę!”, zanosi się śmiechem nad stołem w restauracji. Jest poza zasięgiem tej dzikiej wrzawy, bezwiednie wpada tylko w krąg obwinionych. Ale Polly nie umie być na nią zła. Łajanie w myślach to tylko nic nie znaczący rytuał. „Dlaczego, dlaczego?”, mówi do Kath jeszcze raz. Kath jest wciąż nieosiągalna.

Polly jednak dostrzega w jej oczach coś, czego być może wcześniej nie widziała. Ktoś inny patrzył tymi oczami, ktoś smutny. Ale przecież Kath nigdy nie była smutna, nigdy — nie Kath.

Polly wścieka się, kipi. Powtarza sobie prośby i apele do matki. Rozkłada dla ojca sofę; teraz ledwie się można precyzyjnie przycisnąć między meblami. Wie, że tej nocy będzie źle spała, że następnego dnia w pracy będzie nie do życia.

I jeszcze jedno. Dan nie umie się znaleźć w nowej sytuacji, niespodziewanej dla Polly, ale także dla niego. To nie ma przyszłości; przestanie się spotykać z Danem, prawdopodobnie wcześniej niż później.

TLR

Glyna interesuje czas, ale go też martwi; jest kwadrans przed pierwszą, siedzi na zboczu jednego ze wzgórz Dorset, a o drugiej ma seminarium na uniwersytecie odległym o dobrą godzinę jazdy. Powinien się ruszyć, ale siedzi i rozmyśla nad tym, jak czas szybko płynie.

Czas to najbardziej podstawowe i niezastąpione narzędzie pracy, zauważa Glyn. Gdyby nie czas, miałyby do czynienia z chaotyczną i niemożliwą do pojęcia mieszaniną śladów, które nie mówiłyby nic i wprowadzałyby w błąd, jak nie powiązane ze sobą fragmenty pejzażu. Czas to nieodzowny element łączący wydarzenia. Czas to genialne urządzenie, zapobiegające temu, by wszystko działo się jednocześnie. Pionierska archeologia uczyniła wszystko, by najpierw ustalić zasady chronologii, i nic w tym dziwnego.

Na wietrze, w oddaleniu, na wysokości jego oczu, unosi się pustułka. W dole, jeszcze dalej, zieloną zawilść prostokątów pól przerywa długi budynek z wysokimi kominami, który był pochodzącym z XIX wieku młynem, a teraz jest domem mieszkalnym z luksusowymi apartamentami. Tuż pod jego nogami stok zaczyna się piętrzyć coraz szerszymi występami, w których Glyn rozpoznaje obwałowania fortyfikacji z epoki żelaza; to dlatego tu się znalazł. Pracuje nad nowym artykułem — historia wzgórze, na którym nie był już od bardzo dawna, może do niego sporo wnieść.

Pustułka przywodzi na myśl Kath. Kiedyś tu z nią przyjechał, w to samo miejsce. Wtedy również pojawiła się pustułka, zachowując się bardzo podobnie. Kath zauważyła ją i powiedziała: „Wisi w bezruchu. Wiatr owiewa ją i mija, a ona wisi w jednym miejscu. Jak to robi?” Glyn widzi tamtego ptaka i widzi włosy Kath, które wiatr nawiewa jej na twarz, i czuje jej dłoń na ramieniu. „Popatrz tylko!”, woła. „Popatrz”.

Glyn przestaje rozmyślać nad funkcją czasu; zauważa, że strumień czynionych przez niego obserwacji — niezamierzony, niecelowy, nieopatrny — to doskonały przykład spontanicznej pracy umysłu. Na tyle dobrze zna teorię pamięci długotrwałej, by rozpoznanie starego młyna i jeszcze starszych obwałowań umieć zaklasyfikować jako ćwiczenia pamięci semantycznej — magazynującej fakty, język i wiedzę niezależnie od kontekstu, w jakich występują. Po prostu zna te rzeczy i pamięta je wspólnie z każdym innym człowiekiem, z którym żyje w tym samym środowisku, co czyni z niego w pełni funkcjonalną istotę. Tam, gdzie za sprawą pustułki stanęła mu przed oczami Kath, ma do czynienia z pamięcią epizodyczną, która magazynuje informacje i selekcjonuje je w odniesieniu do innych informacji; jest autobiograficzna i niezbędna każdemu do zachowania integralnej tożsamości. Bez niej jesteśmy rozbici na drobne atomy, bez niej tkwimy w nieustannym czyścicu. Te przeblyskujące epizody spajają nas; potwierdzają drogę, jaką przebyliśmy przez życie. Mówią nam, kim jesteśmy.

Glyn wstaje nagle, poderwany spojrzeniem na okrągłą tarczę swego dobowego zegarka, dyskretnie przypominającego o seminarium. Pustułka raptem chyli się na bok i nabierając prędkości, szy-

buje skosem w dół. Glyn rusza w kierunku samochodu, który rozpozna dzięki kolejnemu błyskowi pamięci semantycznej i który będzie potrafił bezpiecznie prowadzić po szosie dzięki ukrytej pamięci proceduralnej, odpowiedzialnej za umiejętności manualne i odruchy warunkowe. Bez tej pamięci człowiek przewracałby się albo stałby z rozdziawioną ze zdziwienia gębą, siedział w samochodzie i patrzył na kierownicę jak cieleń na malowane wrota.

To ryzykowne, myśli, schodząc ostrożnie ze stromej zbrocza i szeroko stawiając nogi. Ryzykowna i niepewna jest ta fuzja zachodzących automatycznie procesów, niezbędnych do codziennego funkcjonowania, odbywających się równolegle, absolutnie w tym samym czasie. Nawet teraz, myśląc o tym wszystkim, konotuje w pamięci charakterystyczne szczegóły miejsca, w którym przebywa, realizując w ten sposób cel wizyty. Szacuje odległości między obwałowaniami, ich równoległy układ, szuka punktu, gdzie mogłaby się znajdować brama wejściowa do fortyfikacji. Przyrównuje to miejsce do innych znanych mu śladów kultury celtyckiej. Te myśli są jednak przesiąknięte czymś innym — nie tyle procesem myślowym, ile raczej stanem umysłu, klimatem: przez cały ten czas nie przestaje pracować pamięć epizodyczna, która przypomina mu, że tu się zatrzymali z Kath, by zjeść kanapki, że nieco dalej zauważyła orchideę i krzyknęła: „Chodź! To niesamowite!”, i że po chwili zaczął nagle siąpić deszcz, i pobiegli schronić się do samochodu.

Kiedy to było? Tu już nie pomoże ani pamięć semantyczna, ani epizodyczna, ani proceduralna. Umysł odrzuca koncept z chronologią. To nienaturalna idea, obca naturze umysłu, przez stulecia sztucznie podsycana przez przewrotnych kronikarzy i dziejopisów, od Starego Testamentu począwszy.

Co jeszcze się działo wówczas z Kath? Glyn siada za kierownicą, przekręca kluczyk i uruchamia silnik. Teraz, kiedy wie to, co wie, Kath w jego oczach przesłonięta jest jakimś ciemnym woalem, niepożądanym i trzymającym go na dystans. Czy już wtedy go zdradzała? Czy myślała o Nicku, patrząc na pustkę? Podziwiając orchideę?

Minęło już kilka tygodni od dnia, kiedy znalazł w szafie fotografię, od dnia, który wydaje mu się teraz kluczowym momentem, cezurą w jego życiu. Jest czas przed odkryciem fotografii, czas spokoju i niewinności, o ile w ogóle taki stan istnieje w naturze, i jest czas po odkryciu fotografii, czas obecny, w którym na wszystko musi patrzeć chłodnym okiem kogoś, kto został sprowadzony na ziemię.

Może nie na wszystko. Po prostu na swoje małżeństwo. Ale to już ogromnie dużo. Czuje większy spokój. Trawiący go początkowo ogień przygasł, przemienił się w trwałą, tłącą się żar. Musi zrekonstruować lata spędzone z Kath, dokładnie im się przyjrzeć, przeanalizować, poszukać może nowego, nagłego oświecenia umysłu. Przede wszystkim musi się dowiedzieć, czy był to odosobniony przypadek. Jeśli tak, to już jest źle. Jeśli nie, jeśli taki miała styl życia, czego się nawet nie domyślał, to jest jeszcze gorzej, może się czuć zdyskredytowany. To dowód, że nie posiada zmysłu percepcji, umiejęt-

ności obserwacji innych ludzi. Gorzej nawet; wszystko, co pamięta i wie o tamtych czasach, może się okazać fałszywą wiedzą i opacznym myśleniem.

Trwa w nim zapisywanie retrospektywnego dziennika tamtego okresu. Gdzie przebywał, kiedy i jak długo. W konsekwencji uda mu się odtworzyć informacje, gdzie była Kath, kiedy i co robiła — przynajmniej na tyle, na ile to możliwe, czyli niewiele. Jego własne akta pamięci są doskonałym źródłem do odtworzenia jego własnych zajęć, ale poskładanie tych elementów w całość obejmującą Kath jest już zajęciem niebywale pracochłonnym i zajmującym wiele czasu. Cześć dotycząca Kath wymyka się jego pamięci. Wymaga interwencji innych.

Oliver Watson okazał się niewypałem. Może nie do końca, bo przecież w odpowiednim czasie będzie musiał jeszcze odszukać tę kobietę, Mary Packard, być może ona powie mu coś ciekawego. Ogólnie jednak spotkanie z Watsonem nie należało do owocnych. Przypominało mu bieg na orientację, w którym człowiek biegnie z wywalonym językiem do kolejnego punktu, w nadziei, że znajdzie tam wskazówki, jak biec dalej, ale zastaje tylko pusty schowek.

Celem podjętego zadania jest zidentyfikowanie i przesłuchanie najważniejszych postaci z otoczenia Kath; przyjaciół, którzy mogą się okazać świadkami, mężczyzn, którzy mogą się okazać kochankami. Oczywiście nie ma zamiaru mówić o wszystkim prosto z mostu. Nie podejdzie przecież do nieznajomej osoby i nie zapyta: „Nie wie pani przypadkiem, czy moja żona mnie zdradzała?” Albo: „Czy moja żona sypiała z panem?” Będzie musiał delikatnie sondować. Będzie musiał kluczyć. Będzie musiał zachować roztropność i przezorność. Będzie szukał pretekstów, wysuwał długie czujki, niczym owad. Jeśli na coś trafi, musi to od razu wiedzieć. Pozna po intonacji głosu rozmówcy, chwili zawahania, wymijających odpowiedziach. W końcu ma w tym doświadczenie zawodowe, potrafi odsłonić braki wiedzy, poznać, gdy ktoś coś ukrywa, wyłapać sygnały świadczące o lukach w przekazywanej informacji.

Tak. Teraz trzeba sporządzić listę świadków. Będzie potrzebował sporo materiałów roboczych — notatniki, numery telefonów, wycinki prasowe, uprzejmi i usłudni informatorzy. Potrzebne będzie mu nazwisko szefowej tamtej galerii w Camden i informacje dotyczące centrów rękodzielniczych i festiwali artystycznych — wszystkich miejsc, w których Kath chętnie przebywała. Będzie mu też potrzebna cierpliwość i umiejętności zawodowe. Na razie jest bardziej ożywiony i zmobilizowany niż zniechęcony. W końcu to jego *métier*\*; najlepiej potrafi zdobywać informacje.

\* *Métier* (fr.) — zawód, fach.

Przede wszystkim jednak musi dokładnie przepyttać samego siebie. Pierwszym źródłem informacji jest przeciekająca barka jego pamięci. Czasami rzeczywiście tak ją sobie wyobraża; jako starą, butwiejącą łajbę z przerdzewiałymi nitami i rozszczelnionymi spoinami. Innym razem wyobraża ją

sobie jako potężny manuskrypt, z którego uchowało się jedynie kilka zwęglonych karteluszek; trochę przypomina to próby zestawienia w całość zwojów z Qumran nad Morzem Martwym\*.

\* Aluzja do odnalezionych w jaskiniach rękopisów hebrajskich i aramejskich z II w. p.n.e. — I w. n.e.

Sporządza listy. Przetrzęsa szuflady, czyta stare notatki, powoli rekonstruuje, gdzie i kiedy był w ciągu tych dziesięciu lat małżeństwa. Tu daje o sobie znać syndrom zwęglonych karteluszków i przeciekającej barki. Glyn przypomina sobie, że latem 1986 roku zajmował się tematyką gęstości zaludnienia pierwszych społeczności ludzi i całe dni spędzał w Bibliotece Brytyjskiej. Kath zaangażowała się wtedy w organizowanie jakiegoś muzycznego festiwalu, w każdym razie tak mówiła. Ciągle gdzieś wychodziła.

Często wtedy telefonował do domu jakiś mężczyzna, organizator festiwalu. Do Glyna dociera echo jego słów: „Czy zastałem Kath?... Mówi Peter, z festiwalu w Wessex, gdyby mógł pan przekazać, że dzwoniłem...”

Festiwal trafia na tablicę Glyna; 1986. Na tablicę trafia także Peter, podkreślony.

Nowe przedsięwzięcie zaprzęta Glyna w każdej wolnej chwili, a także w chwilach, których w żadnym razie nie może uznać za wolne. Nieprzerwanie szuka w pamięci — nawet kiedy czyta prace naukowe, nawet w czasie wykładu. Jego myśli odpływają tam także podczas spotkań i rozmów. Również teraz, w samochodzie wiozącym go na uniwersyteckie seminarium, Glyn daje się pochłonać myślom. Tak, to obsesja, jest tego świadom. Ale to normalne u niego. Glyn ulega obsesji, zawsze tak było. Dzięki przyzwoleniu na obsesję stał się skrupulatnym naukowcem. To obsesja stworzyła jego najważniejsze książki i artykuły.

Dojeżdża do uniwersytetu, zostawia samochód na parkingu, półbiegiem dociera do swojego gabinetu, przed którym widzi posłuszną gromadkę studentów. Natychmiast zmienia nastrój, uśmiecha się, przeprosza za spóźnienie, przeprosza za zabłocone buty (och, widzicie, ciągle tylko praca i praca...), wpuszcza ich do pokoju. Musi się teraz skupić i przestawić na rewolucję agrarną w XVI wieku; potem może wrócić do swoich spraw.

Jest jeszcze drugie zadanie, podrzędne wobec rekonstrukcji faktów i identyfikacji świadków, ale bardzo pomocne. Można określić je mianem szukania motywów, myśli Glyn. Kilku motywów. Dlaczego zdecydował się ożenić z Kath? Dlaczego (bądźmy uczciwi) Kath zdecydowała się wyjść za niego? Przede wszystkim, dlaczego Kath oszukała w kwestii Nicka? Być może także w kwestii innych mężczyzn?

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Motyw to podstawa. Motyw rozświetla sprawę. Motyw wyjaśnia. Motyw potrafi ukoić, być może.

Glyn jest dobry w odsłanianiu motywów. Każdy pejzaż aż nabrzmiewa od ukrytych, zakodowanych motywów. Wygląda właśnie tak, ponieważ ludzie karczowali tu drzewa do budowy statków albo spędzali tu stada owiec, gdy rosło zapotrzebowanie na wełnę. Ziemię przecinają blizny ludzkiej chciwości; buduje się w ziemi szyb, bo ktoś chce się wzbogacić, równa się z ziemią wioskę, bo ktoś chce mieć lepszy widok. Motyw to specjalność Glyna.

— Przepraszam? — mówi Glyn. — Czy ten pan to Peter Claverdon?

Stoi w dusznym wnętrzu biblioteki publicznej w jakimś małym miasteczku. Trafił tu po przejrzaniu kilku starych gazet, wielu stron internetowych oraz po wykonaniu pięciu telefonów do nie znanych mu ludzi. Ale jest, dojechał w piątek późną porą, pokonując blisko sto kilometrów. Jest na wieczorku poetyckim.

Osoba, u której zasięgał ostatnio informacji, zapewniała, że nie będzie miał problemów z kupnem biletu. Rzeczywiście nie miał. Biblioteka jest bogato wyposażona w komputery, zajmują tu więcej miejsca niż regały z książkami. Pośrodku sali ustawione są w półkołu plastikowe, niewygodne krzesła — idealnie naprzeciwko trzech innych krzesel, stojących równo jedno przy drugim. W owym półkołu siedzi jedenaście osób. Z bocznego pokoju wychodzi jakiś mężczyzna i rozgląda się po sali, najwyraźniej sprawdzając stan rzeczy. Glyn domyśla się, że to jego przyszły rozmówca, potencjalne źródło nowych informacji, ale dla pewności pyta bibliotekarza, który sprzedał mu bilet. Tak, to pan Peter Claverdon.

Glyn lustruje go uważnym wzrokiem. Coś niecoś już o nim wie; wieloletni animator kultury, człowiek, który potrafi wszystko, kulturalna złota rączka, perypatetyczny, wszechstronny, uniwersalny, zatrudniony do organizowania i koordynowania wszelkich imprez artystycznych, od finezyjnych koncertów muzycznych po amatorskie wieczorki poetyckie, jak choćby ten dzisiejszy. Mężczyzna nieco przy kości, nie dbający o wygląd, skromnie i zwyczajnie ubrany, w wieku niespełna pięćdziesięciu lat. To człowiek, który wówczas telefonował i pytał o Kath. Glyn czuje raptowny przyływ niechęci i wrogości, którą będzie musiał mocno trzymać w cuglach.

Siada na jednym z bardziej oddalonych krzesel. W ostatniej chwili pośpiesznie wchodzi jeszcze trzy osoby. Zebrało się już czternastu słuchaczy, ale mimo wszystko jest ich mniej niż wolnych krzesel. Peter Claverdon uroczyście anonsuje i wprowadza poetów. Poeci robią, co do nich należy; siadają, wyciągają tomiki i czytają na zmianę wiersze. Glyn nie słucha ich uważnie. Przygląda się swemu przyszłemu rozmówcy i obmyśla taktykę.

Poeci kończą czytanie. Dwie osoby spośród publiczności nieśmiało do nich podchodzą i kupują tomiki. Poeci rozmawiają między sobą.

Glyn czeka na stosowny moment i podchodzi do Claverdona. Przedstawia się.

— Moje nazwisko nie powinno być panu obce. Znał pan moją żonę.

Mężczyzna marszczy brwi w namyśle i raptem twarz mu się rozjaśnia, absolutne olśnienie.

— Och, Kath! Mój ty Boże, oczywiście, Kath. — Zaraz reflektuje się, poważnieje, okazuje żal. — Taka tragedia, słyszałem o tym, tak mi przykro...

Oblicze Glyna nic nie zdradza, zachowuje stoicki spokój. Skinieniem głowy dziękuje za wyrazy współczucia. Dopuszcza tych kilka sekund kondolencyjnej konwencji. Potem przystępuje do działania. Wyjaśnia. Opisuje. Mówi, że wpadł na pomysł, by spisać krótki prywatny dziennik Kath, z tamtego czasu, i puścić go w obieg wśród krewnych i jej licznych znajomych. Istnieją obszary jej życia, o których musi się dowiedzieć czegoś więcej. Okresy, kiedy duchem była nieobecna w domu, gdzieś się udzielała, ciągle znikiała. Chce dotrzeć do ludzi, którzy utrzymywali z nią kontakt. Przepraszam, jeśli mogę, chciałbym zająć panu trochę czasu. Być może uda się wypełnić niektóre białe plamy przeszłości...

Mężczyzna mówi, a Glyn obserwuje go z napiętą uwagą. Co widzi? Claverdon w lot chwyta, o co chodzi. Odpowiada. Ale co? O czym mówi? Czasem widać błysk w jego oku. Wspomnienie namiętności? Poczucie winy? Zakłopotanie? Glyn jest uważny; instynktownie czuje, że czegoś się dowie.

Claverdon mówi wiele i jest bardzo życzliwy — wydaje się, że do pomysłu z pamiętnikiem jest nastawiony wręcz entuzjastycznie. O tak, często widywał Kath. Co za urocza osóbką! Woziła naszych gości, bo to właśnie ona zwykle zajmowała się zaproszonymi artystami. Odwoziła ich do hotelu, przywoziła na miejsce spotkań, zawsze punktualnie. Raz zakochał się w niej cały węgierski kwartet smyczkowy!

Oho, sprytna zmiana tematu? Glyn słucha z łaskawym uśmiechem.

Skromna publiczność powoli opuszcza bibliotekę. Poeci pakują z powrotem do toreb niesprzedane tomiki wierszy.

— Niech pomyślę... Mam chyba jakieś zdjęcia — mówi naraz Claverdon. — Może wpadnie pan do mnie? Mieszkam pięć minut stąd. Poeci, jak to poeci, zapewne będą chcieli teraz pójść na jednego głębszego, ale myślę, że świetnie sobie poradzą beze mnie. Wskażę im tylko drogę do „Białego Jelenia” i będziemy mogli się zbierać.

Tak daleko idąca chęć pomocy zbija Glyna z tropu. Nie jest pewien, czy na początek nie zrobił fałszywego kroku. O co tu chodzi? Jest oczywiste, że mężczyzna znał Kath. Ton i błyski w oczach zdawały się zdradzać, że znał ją nawet bardzo dobrze. Jak bardzo? Czy te gorące zaprosiny nie są sprytną zasłoną dymną?

Claverdon pozbywa się poetów z wdziękiem i znanstwem rzeczy. Potem prowadzi Glyna przez ryneczek miasta. Skręcają w boczną, wąską ulicę, rozmawiają o zdjęciach; z całą pewnością na jednej fotografii, jeśli tylko uda się ją znaleźć, Kath jest razem ze sławnym dyrygentem.

— Raz w ostatniej chwili zastąpiła kogoś w biurze, zdaje się rok później, pamięta pan? — rzuca Glynowi szybkie spojrzenie, a Glyn niezauważalnie kiwa głową, że tak, choć nie pamięta. — Chętnie dzwonił się do niej, kiedy brakowało rąk do pracy, bardzo ją lubiliśmy.



Dochodzą do małego domu szeregowego z tarasem. Claverdon otwiera kluczem drzwi. Zaprasza do środka.

— Halo! — woła od progu. Cisza.

— Och — podnosi brwi z rozczarowaniem. — Moja druga połowa powinna w każdej chwili wrócić. Kawy? Może drinka?

Druga połowa. Była już wtedy? Znała Kath? Czy to znowu element zasłony dymnej? Glyn prosi o kieliszek wina. Czuje się już zmęczony ciągłym utrzymywaniem wyostrożonej uwagi. Coś dziwnego jest w tym facecie, czego nie potrafi ugryźć. Kiedy mówi o Kath, w jego słowach i mimice widać jakąś tęskną poufalość, jakby ciągle żywą zażyłość.

Claverdon zagląda do szuflad i po chwili triumfalnie wyciąga fotografie. Och, proszę, jest Kath. Stoi obok sławnego dyrygenta, który wyraźnie „nabrał do niej czulej sympatii”, mówi ze śmiechem Claverdon. Na kolejnym zdjęciu Kath w wesołej grupie organizatorów festiwalu, przy Claverdonie. Glyn zauważa, że patrzy na nich szczególnie uważnie. Nie widać ich rąk. Kath promienieje. Wygląda na odprężoną i szczęśliwą. Śmieje się od ucha do ucha. Glyn doznaje dziwnego uczucia obcości, jakby był wtedy wykluczony z jej życia. Nic nie wie o ludziach na zdjęciu ani o tamtym dniu.

Glyna uderza myśl, że stosowniej byłoby jaśniej się określić. Dla Claverdona wciąż jest zagadką. Sprowadza rozmowę na inne tory i opowiada o sobie. Ale Claverdon zdaje się wiedzieć. Przytakuje ze zrozumieniem. Może trochę obojętnie.

— O, tak — mówi. — Kath mówiła, że pan jest ciągle zajęty, że historia pejzażu wypełnia panu całe życie.

O, tak? Całe życie? Tak mówiła? Mocna prowokacja. Bardzo czytelna. Oto posmak dwuznacznej wymiany zdań, bardzo osobistej. W Glynie się zagotowało. Ale musi powstrzymać wybuch, musi być spokojny. Jak gdyby nigdy nic pyta o Kath, o festiwal, o tamto lato. Niby mimochodem rzuca, że nie pamięta, gdzie się zatrzymała. Czy w hotelu? Trochę poznał już Claverdona i czeka, aż mężczyzna mimowolnie się zdradzi.

Słysząc zgrzyt klucza w zamku.

— O, jest moja druga połowa. — Claverdon się uśmiecha. Glyn patrzy na drzwi.

Do mieszkania wchodzi mężczyzna.

Zadyszany, obwieszony hipermarketowymi torbami. Rzuca zakupy na stół w kuchni i posyła Glynowi uprzejmy uśmiech na powitanie.

— Pomyślałem, że zakupy w Sainsbury lepiej zrobić przed weekendem — mówi do Claverdona.

Peter Claverdon krótko wyjaśnia obecność Glyna.

— Pamiętasz Kath Peters? Tę, która organizowała z nami festiwal w Wessex? Bardzo się lubiliście, biedna Kath...

Mężczyzna okazuje wielkie zainteresowanie. Oczywiście, że pamięta Kath. Kto by jej nie pamiętał? Na jego twarzy maluje się żal i szczerą sympatią. Zaczyna opowiadać jakąś anegdotkę z udziałem Kath.

Ale Glyn nie słucha. Czuje się jak ostatni imbecyl. Jakby dostał obuchem w łeb. Druga połowa. Skąd miał wiedzieć, że Claverdon jest gejem? Znowu stracony czas. Nie ma sensu przeciągać tej wizyty. Dopija wino. Czekają na stosowny moment, by się pożegnać.

Mężczyźni wspominają dzień, w którym Kath, „dałbym sobie rękę uciąć, Peter”, uratowała przedstawienie; niespodziewanie zaniemógł zaproszony na występy muzyk i Kath, dosłownie w ostatniej minucie, przywiozła z Heathrow artystę, który zgodził się zagrać w zastępstwie. Glyn wymownie podnosi rękę i patrzy na zegarek.

— Jezu! — przesadnie podnosi głos. — Jak późno. Zasiedziałem się... Muszę pędzić.

Druga połowa Claverdona zdążyła już nalać sobie drinka, rozsiadła się wygodnie na sofie i mówiła dalej.

— Ależ to była wesoła osoba, wszędzie weszła dobrą zabawę. Była wtedy w siódmym niebie, co za szkoda, że... tak to się potem potoczyło. Coś ją gryzło, to było widać.

Ostatnie słowa już do Glyna nie docierają. Dotrą później, dużo później. Już wstał. Mówi, że goni go czas, że przed nim jeszcze daleka droga, że jest zmęczony.

— Bardzo dziękuję. — Żegna się. — Cieszę się, że mogłem zobaczyć te zdjęcia.

Gospodarze także wstają. Claverdon patrzy niepewnie, robi wrażenie osoby odtrąconej. Być może ma prawo tak się czuć. Jego druga połowa patrzy z wahaniem, jakby nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. Kiedy Glyn jest za drzwiami, ten obraz wraca, wciąż widzi, jak stoją obok siebie i patrzą na niego pytającym wzrokiem. Cóż, nie wszystko da się łatwo i szybko wyjaśnić, prawda?

No, dobrze. Dlaczego więc postanowił się ożenić z Kath? Ożenił się z nią, ponieważ nie spotkał wcześniej tak ponętnej kobiety: musiał ją zdobyć, a potem nie wolno było jej stracić. Musiał zadbać o to, by nikt inny jej nie miał, nigdy.

Kochałeś ją?

Oczywiście.

Powiedziałeś to głośno?

Prawdopodobnie tak. To przecież nieistotne. Nie lubię wdawać się w regulaminową wymianę oświadczeń. Ożenił się z Kath, bo taki był nakaz chwili.

— Clara Mayhew?

— Przy telefonie.

— Zapewne pani mnie nie zna. Glyn Peters. Wiem, że prowadziła pani kiedyś galerię „Hannay”. Być może pamięta pani moją żonę. Kath Peters.

Chwila milczenia.

— Tak. Pracowała u nas od czasu do czasu. — Kolejna chwila milczenia. — O ile wiem, ona...

— Tak. Tak. Niestety. Proszę wybaczyć, że panią niepokoję, ale pomyślałem, czy... może... — Glyn raz jeszcze wspomaga się pomysłem spisania dziennika Kath; już oswoił się z tą myślą, widzi nawet jego kształt i zapisuje jego strony.

— Zadał pan sobie wiele trudu, żeby mnie znaleźć — mówi po zastanowieniu Clara Mayhew.

Nie takich słów od niej oczekiwał, ale to bez znaczenia. Glyn przyznaje jej rację; owszem, to kosztowało go trochę zachodu. Przemilczał jednak szczegóły metodycznego planu poszukiwań potencjalnych rozmówców. Bąka coś, że miał ogromne szczęście, że to właściwie przypadek.

— Pani dobrze ją znała?

— Znałam?

Na takie pytanie, wyraz dobrych intencji, ale i wątpliwości, nie sposób odpowiedzieć. Glyn instynktownie wycofuje się z pomysłu, by zobaczyć się z Claram Mayhew. To na pewno byłby kolejny ślepy tor. Z drugiej strony... Kath spędziła w jej galerii wiele tygodni, nawet miesiące. Postanawia strzelać w ciemno.

— O ile mi wiadomo, moja żona zaprzyjaźniła się z jakimś malarzem, który wystawiał u pani swoje obrazy. Niestety, wyleciało mi z głowy jego nazwisko. Myślałem, że może pani będzie mogła mi pomóc.

— Pomóc?

— Pomóc odnaleźć te... osobę. Tego artystę. Westchnienie.

— Pamiętam, że Kath miała rzesze rozmaitych znajomych. Nieustannie się z kimś spotykała, wychodziła, wracała, znowu wychodziła...

— Tak, tak. Wydaje mi się tylko, że...

— Ach tak, prawda, była sprawa portretu. Czy udało się go dokończyć?

— Portretu? — Glyn w ułamku sekundy zamienia się w słuch.

— Ben Hapgood bardzo chciał ją sportretować. Miał bzika na tym punkcie. Wiem z całą pewnością, że zaczął ją malować.

Glyn odnosi wrażenie, że Clara Mayhew jest raczej znużona rozmową niż jej niechętna. Nieszczególna znajoma Kath. Za to bardzo cenna. O, bardzo. Glyn szybko odzyskuje zapał.

— Hapgood? Właśnie. O niego mi chodziło. To nazwisko obilo mi się o uszy. Ma może pani jego adres?

Cierpliwość Clary Mayhew już się jednak wyczerpała. Nie, nie ma adresu. Wie tylko, że mieszkał w Suffolk, wtedy. Niestety, jest bardzo zajęta, nie ma już więcej czasu, więc gdyby wybaczył i...

Glyn wybacza. Z wdzięcznością. Ben Hapgood. Wszystko jasne.

Dlaczego Kath zdecydowała się wyjść za niego?

Wyszła za niego, ponieważ dostrzegła w nim charyzmę i czarującego mężczyznę, ponieważ jasno dał do zrozumienia, że zależy mu na niej ponad wszystko. Wyszła za niego, bo mógł zapewnić jej inne życie, bo nie był taki jak inni, bo kipiał energią. Seks?

Oczywiście.

Byłeś przystojnym facetem.

Byłem. Kath była kobietą nieprzeciętnie atrakcyjną. Za mną też kobiety wodziły oczami. Ktoś kiedyś powiedział, że w tych sprawach jest zawsze zachowana pewna symetria.

Wszystko jedno. Co wszystko jedno?

Nie byłeś pierwszy, daleko ci do tego. Dlaczego więc ty? Właśnie, dlaczego?

Wyszła za niego, bo upierał się, że powinna za niego wyjść.

Clara Mayhew podrzuciła mu nowe nazwisko. Ben Hapgood. Leżakuje tam, fermentuje. A Glyn rozpracowuje je zawzięcie. Sprawdza książki telefoniczne i spisy mieszkańców, przegląda strony internetowe, śledzi miejscowe wykazy artystów. Nie mija wiele czasu i odnajduje człowieka o takim imieniu i nazwisku. Mieszka w Suffolk. Niestety, Glyna czeka długa podróż, ale cóż to znaczy dla człowieka wypełniającego ważną misję?

Leżakowanie przynosi efekty. Coś więcej wykluło się z ciemnych zakamarków jego pamięci — zapomniana chwila, kiedy Kath siedzi na czerwonym leżaku na werandzie. Ubrana w jakieś skąpe, letnie fatalaszki, na nosie ma okulary słoneczne, odchyła głowę i wystawia twarz ku słońcu. Mówi. „Ben Hapgood. Taki znakomity malarz. Niedawno przyznali mu jakąś bardzo ważną nagrodę, wiesz? Tak się cieszę... Czy ty mnie słuchasz?” Cała reszta tonie w ostatnim pytaniu. „Czy ty mnie słuchasz?” Widzi skierowane na niego ciemne okulary i wymuszony uśmiech. Co robił? Czytał? Siedział nad czymś zamyślony? Mówił coś? Na pewno nie słuchał. Nie. Ale teraz słucha. Teraz wyteża słuch. Bardzo.

Słucha każdego dnia, ale nic więcej nie słyszy. Kath umilkła. Glyn nadal się wsłuchuje, w czasie jazdy do Suffolk, gdy pokonuje trasę wedle drogowej hierarchii, począwszy od autostrady, poprzez dwupasmówki, po boczne szosy i wiejskie drogi, które wytrwale wynajdywał na mapie. Ben Hapgood się go nie spodziewa. Oczekuje kogoś, kto jest zainteresowany malarstwem i jego pracami, kto przypadkiem przejeżdża przez Suffolk i pomyślał sobie, że może mógłby... Kogoś, kto się nawet nie przedstawił, bo kiedy Hapgood zapytał o godność, coś przerwało połączenie, co za pech. Doprawdy.

Ben Hapgood nie będzie mógł się przygotować na to spotkanie. Niczego nie będzie podejrzewał. Glyn usiłuje go sobie wyobrazić: jak może wyglądać człowiek, który tak bardzo chciał sportretować Kath, że aż „miał bzika na tym punkcie”.

Widzi mężczyznę, który zachwyca się mrocznym obliczem Kath, zupełnie jak on sam — widzi takiego drugiego Glyn, swoje drugie odbicie, może bardziej *louche*\*, tknięte artystycznym blaskiem. Widzi go razem z Kath, w pracowni, przy sztaludze. Malowanie portretu zabiera dużo czasu, prawda? Wymaga niejednego spotkania. Artysta i model pozostają zamknięci w jednym pokoju na długie godziny.

\* *Louche* (fr.) — mętne, niewyraźne.

Czy do tych długich intymnych godzin dochodziło tam, gdzie jedzie? Czy Kath jechała tymi samymi krętymi drogami? Na to wygląda. Glyn ma przed oczami Kath w jej małym renault, odjeżdżającą sprzed domu nie wiadomo dokąd, niejednym razem. Wyciąga do niego rękę przez opuszczoną szybę, macha: „Do zobaczenia!...” Glyn czuje rwący ból. Znowu doznaje tego nie znanego mu dotąd uczucia. Takie obrazy Kath niczemu nie służą, nic mu nie dają, tylko przynoszą ból. Żyje z nimi. Są fragmentami jego wewnętrznego krajobrazu, po prostu są. To go dekoncentruje i zasiewa w nim niepokój. „Do zobaczenia!...”, ale już go nie zobaczy. Nigdy.

Gwałtownie naciska pedał hamulca. Koniec jazdy. To tu. Tu mieszka Ben Hapgood. Biały domek otoczony płotkiem z prostych palików, po lewej stronie drogi, zaraz po skręcie na rozstajach w prawo.

Ścisłej rzecz ujmując, dwa małe domki połączone w jeden, a do tego jeszcze kilka bezładnie ustawionych dobudówek. W jednej z nich, jak mniema, znajduje się pracownia. Rusza jeszcze raz i wolno podjeżdża na skraj trawnika (czy Kath wykonywała ten sam manewr?). Wysiada z samochodu. Przez chwilę prostuje nogi, zbiera siły po podróży — siły do rozmowy. Gdy robi krok naprzód, sięga do furki i podnosi zasuwę, drzwi domu otwierają się szeroko i staje w nich, jak należy sądzić, Ben Hapgood. Niski, rudy, wesoło uśmiechnięty jegomość. Za jego plecami drepcze kobieta. Oboje wyglądają na osoby mocno po pięćdziesiątce.

Powitania.

— Glenda, żona. Mam przyjemność z...? Niestety podczas naszej rozmowy telefonicznej nie dosłyszałem pana nazwiska.

Oczywiście, że pan nie dosłyszał, myśli Glyn.

— Peters. Glyn Peters.

Obserwuje jego twarz i czeka na reakcję, ale nic nie następuje. Jasne, w końcu to popularne nazwisko.

Przechodzą do kuchni, urządzonej w wiejskim stylu. Parzy się herbata. Dalszy ciąg luźnej rozmowy. Z daleka pan jedzie? Błądził pan? Mam nadzieję, że moje wskazówki pomogły panu bezbłędnie tu trafić. I tak dalej. Uroczy ludzie, miła para, bardzo zwyczajna, wcale nie tknięta artystycznym bla-

skiem. „Kath hołubiła artystów”, myśli Glyn. Miała do nich słabość. W niej samej było coś z artystki, w tym, jaka była, jak się nosiła. Patrzy z uwagą na Bena Hapgooda, który popija herbatę i rozwodzi się nad warzywnikiem za oknem. Obserwuje też żonę. Zastanawia się, jak długo jest żoną Hapgooda.

Malarz zgaduje głośno, że Glyn chętnie zajrzałby do pracowni. Zaprasza. Glyn przytakuje, tak, jest bardzo zainteresowany. Cała trójka przechodzi do jednej z dobudówek. Typowa pracownia; zapach farb olejnych i siemienia lnianego, pędzle, płótna na blejtramach, niektóre wiszą na ścianach, rozgardiasz na stole i półkach. Sporych rozmiarów sztaluga z nie ukończonym obrazem. Para starych, drewnianych krzeseł i jedno szerokie, wiklinowe z zabrudzoną poduszką. Nie ma szezlongu. Nie ma kanapy. Nie ma łóżka. W każdym razie nie dzisiaj.

To dobry moment. Glyn będzie musiał wyśpiewać całą prawdę, będzie musiał zdjąć swoje maski.

Czyni to w całej rozciągłości. Jest czarujący, pojednawczy i smutnawy, trochę może nawet skruszony. Kiedy dociera do sedna rzeczy, kiedy zaczyna mówić o portrecie, wprost wczepia się wzrokiem w Bena Hapgooda, jednocześnie strzelając oczami w kierunku jego żony. Czeka na reakcję. Jest jej pewien. Dostrzegł już pierwszy odzew przy wypowiedzeniu imienia Kath — odzew, który staje się coraz bardziej swojski; sympatia, uwielbienie, żal... Glyn zaczyna mieć wątpliwości. Co z tym portretem? Co z tym, ech...

— Ach, tak... — wtrąca Glenda. — Była wdzięcznym tematem. Ben godnie się nią zajął. To jego najlepszy portret, ale takie jest moje zdanie, on nie jest pewny — śmieje się, kładzie dłoń na ramieniu męża, on uśmiecha się niepewnie, przymilny i posłuszny żonie.

Glyn ich obserwuje; albo odstawiają niezłe przedstawienie, albo ona nie ma zielonego pojęcia o jego dawnych wyskokach, albo on, Glyn, znowu chybił.

— Przyjechała tutaj? — pyta.

Och, naturalnie, przyjechała. Nie raz. Była kilka razy. Taka sympatyczna osoba, tak miło mieć obok siebie kogoś takiego, świetnie się bawili, dzieciaki były jeszcze nastoletnie, Kath znajdowała z nimi wspólny język, była fantastyczna, bezustannie wymyślała jakieś szalone zabawy, które...

Kiedy?

Zastanawiają się chwilę, konsultują. Koniec lat osiemdziesiątych, tak im się wydaje — niewykluczone, że lato 1988. Tak, tak, z całą pewnością, ponieważ wystawa, na której sprzedał portret, odbyła się w 1989. Sprzedał na pniu.

Na pniu?

Jak najbardziej. Pojawił się taki typ, na otwarciu wernisażu, nawet jeszcze przed jego otwarciem, już w progu go zauważył, a mówił potem o nim dobrych dziesięć minut.

Naprawdę? Naprawdę?

Glyn szybko przechodzi do natarcia. W ułamku sekundy zmienia front. Już wie, w jakim kierunku uderzyć. Wyjaśnia, że oczywiście przybył tu z nadzieją, nie będzie tego ukrywał, nabycia portretu. Oczywiście wiedział o jego istnieniu („Czy ty mnie słuchasz?”), ale Kath nie umiała dokładnie powiedzieć, co się z nim stało; dopiero niedawno zaczął się nim interesować i zastanawiać, czy być może, jakimś cudem, byłby jeszcze do odzyskania...

Kim był tamten mężczyzna? Ten, który z miejsca kupił portret, jakby czekał na ten obraz, jakby wiedział, że powstaje, jakby znał Kath, jakby znał Kath wystarczająco dobrze, by chcieć zdobyć jej portret, nim ktokolwiek zdoła go zobaczyć.

— ...oczywiście naiwnością byłoby sądzić, mieć nadzieję, że jest pan w posiadaniu obrazu. Ale przecież ktoś go posiada. Nie zna pan przez przypadek nazwiska bądź adresu nabywcy?

Ależ tak, Ben Hapgood, jak wielu malarzy, prowadzi prywatny wykaz nabywców swoich dzieł. Otwiera szufladę, wyluskuje stamtąd jedną z wielu teczek i zaczyna wertować jej zawartość. Glenda mówi o Kath. Mówi o tamtym lecie, w którym Glyn, o ile dobrze pamięta, był dla Kath nieobecny, bo pochłonięty jakąś pilną pracą.

— Przepraszam, nie pamiętam, czym się pan zajmuje. Kath wspominała coś... no, w każdym razie była wtedy sama. Myślę, że wizyta u nas bardzo ją cieszyła. Pewnego razu zabrała nasze dziewczyny na kilka dni nad morze, na biwak. Co za szkoda, że ona nigdy... nie żeby miała się żalić, ale to się wyczuwało...

Glyn śledzi z napięciem Hapgooda, który jakoś nie może trafić na materiały z tamtej galerii...

— Cholera, wcięło czy co...? Nie. Jest! Pan Saul Clements. Mam nawet adres i numer telefonu. Londyn. Ha! Wygląda mi na bardzo... nie byle jaki adres.

Śmiech.

Ma go. Ma gościa. To jest cel jego poszukiwań. Ben Hapgood to tylko mały przystanek, ale kto mógł wiedzieć? Ben Hapgood to mimowolny dobrodziej, który przypadkiem ułatwia mu zadanie. Namalował portret Kath, rzeczywiście miał na tym punkcie bzika, jednak ze względów artystycznych. Jasne, mało który malarz nie chciałby jej sportretować. Ale z chwilą gdy portret trafia do galerii, gdy zostaje wystawiony na sprzedaż, ktoś go błyskawicznie porywa w swoje szpony. Kto? Ktoś, kto już czekał na obraz? Ktoś, komu Kath mówiła o portrecie? Ktoś, z kim Kath się spotykała tamtego lata?

Pozostaje mu zrećnić wykręcić się z dalszej części wizyty u Hapgoodów. Gospodarze okazują się niezwykle gościnni i serdeczni, tym bardziej że uwaga Glyna koncentruje się już na pracach malarza. Usiłując poprawić swój wizerunek, Glyn objawia nagle, nieco spóźnione, zainteresowanie obrazami; zadaje pytania, słucha, czasem zdobywa się na ostrożny komentarz. Hapgood to malarz figuralny, którego prace można by umiejscowić poza popularnym nurtem sztuki współczesnej, jeśli taką opinią można wydać na podstawie recenzji z niedzielnej prasy, jak czyni to Glyn. Jednak w oczach gospodarzy ów krótki wywód zdaje się stawiać Glyna w jednym szeregu z aniołami, zwłaszcza gdy ten

dorzuca parę kąśliwych uwag na temat szumnych instalacji nieposłanych łóżek i patroszonych zwierzaków\*.

\* Aluzja do młodej sztuki brytyjskiej.

Nagle Hapgooda coś rozprasza i przerywa dyskusję na temat sztuki. Przypomina mu się, że powinien przecież mieć przezrocze z portretem Kath. Chętnie pokaże, o ile uda mu się je znaleźć. Zobaczymy, gdzie... Znowu otwiera szuflady i przerzuca teczki. Glyn zamilkł, czeka oniemiały z wrażenia. Nie liczył się z tak bliskim spotkaniem z Kath, nawet w takiej formie. Kath tutaj. Ben Hapgood z zapalem przegląda zawartość różnych teczek, Glenda opowiada coś o Kath — mówi, że taki wygląd przysparzał jej trochę kłopotów. Kłopotów? Glyn spogląda na Glendę — kobieta tęga, o krągłej, czerstwej twarzy i zdrowym wyglądzie, przywodzi mu na myśl bochenek świeżego chleba; całkowite przeciwieństwo Kath. Jakich kłopotów? Ale mąż już wydaje radosny pomruk: „Uhm... to jest to”. Otwiera kopertę, wyciąga przezrocza i podnosi do światła jedno po drugim.

— Powinna tu być, to zbiór prac z tamtej wystawy. — A po chwili: — Jest!

Podaje Glynowi przezrocze.

Drobniutka Kath w białej ramce, niczym klejnocik jaśniejący w okiennym świetle. Ujęcie jest zbyt małe, by rozpoznać szczegóły, ale już sama pozycja jest typowa dla Kath: siedzi z podwiniętymi nogami, głową zwróconą w bok, podbródkiem wspartym na dłoni i łokciem na poręczy krzesła. Glyn wpatruje się w tę skryzalizowaną chwilę jak zauroczony. To czas, gdy Hapgood widuje Kath. Ona siedzi przed jego sztalugą przez wiele godzin, na krześle, które tu stoi w kącie, być może patrzy przez to samo okno, co on teraz. Glyn znowu czuje się obco, czuje się wykluczony z jej świata. Ona była tu wtedy. Jego nie było. Teraz on tu jest, ale jej nie ma — ta myśl przejmuje go dreszczem.

Hapgood mówi, jak powstawał obraz. Właściwie nie chodziło o jej piękno, przecież nie maluje się kogoś tylko dlatego, że ma ładne oczy lub jest przystojny. Bardziej o to, jak wspaniale jej osoba tworzyła harmonijną pełnię, jak potrafiła siedzieć, stać i się poruszać. Porywająco, a jednocześnie absolutnie naturalnie. Jak piękne zwierzę pełne gracji. Trudno było od niej oderwać wzrok. Początkowo przeżywał udręki, bo nie miał pojęcia, jak ją ująć — raz chciał, żeby siedziała, innym razem, żeby stała, raz w tej pozycji, to znowu w innej — aż któregoś dnia przez przypadek zauważył ją, jak siedzi w ten sposób na krześle, i pomyślał sobie, że to jest to.

Glyn go nie słucha. Jest pochłonięty niewielkim, przezroczystym wizerunkiem, który ostrożnie trzyma między palcami. Kath. Zatrzymana w perłowej poświacie. Glyn zapatrzony. Za nic w świecie nie chciałby jej oddać malarzowi. Szuka linii twarzy, ale ich nie dostrzega, zdjęcie jest malutkie. Wreszcie oddaje przezrocze.

— Dziękuję — mówi tylko.



Wraca do domu w jakimś dziwnym uniesieniu. Mało co zwraca jego uwagę; krajobraz przemyska za oknem niezauważony. Glyn nie stara się, jak zwykle to czyni, zapamiętać nazw, budynków, rodzajów pól, układu dróg, by później sprawdzić je na mapie. Teraz potrafi myśleć wyłącznie o przezroczu, o utraconej i nieznannej Kath, którą trzymał w dłoni przez kilka chwil. Znowu Kath przeszkadza mu w pracy, ale tym razem tego nie zauważa.

Jechała tą drogą. Niejeden raz. Wchodziła do tego domu, rozmawiała z jego gospodarzami, śmiała się, bawiła się z ich dziećmi, była tam mile widziana i chętnie zapraszana. Na wiele godzin siedziała na wiklinowym krześle w pracowni Bena Hapgooda, wpatrując się w okno. O czym myślała?

Nigdy nie był zazdrosny o krąg jej przyjaciół. Nigdy nie czynił jej wyrzutów z powodu tłumy znajomych, którzy jeśli nie byli przy niej, to nieustannie do niej telefonowali. Prawdę powiedziawszy, niewiele go interesowali. Kochankowie to jedna rzecz, a znajomi druga; rzecz zupełnie niegodna uwagi. Teraz tropi kochanków niczym wytrawny myśliwy, ale, dość niespodziewanie, to ci inni, zwykli ludzie wytrącają go z równowagi, mącą jego życie, wznecają w nim to dziwne, nie znane mu uczucie, uczucie... czego?

Uczucie wykluczenia, nieobecności, odepchnięcia, odebrania własności. Zerka na Kath, której, jak teraz myśli, nie znał dobrze, a którą doskonale znali ci inni. Ci, którzy sami pozostają nieznani i tajemniczy, przynajmniej dla niego. Obcy, ale bardzo bliscy osobie, z którą łączyło go przecież życie intymne.

Wiedziałeś. Wiedziałeś, że ma krąg bliskich przyjaciół.

Oczywiście.

Dlaczego więc ten niepokój? Dlaczego problem?

Skąd mam wiedzieć? Skąd, do diabła, miałbym wiedzieć? Glyn mknie szosą M25. Mija kolejne hrabstwa, zza wzniesień już wylania się Londyn. Nie dostrzega nic. Przed oczami przelatują mu twarze obcych ludzi, twarze Hapgoodów, Petera Claverdona, twarze opatrzone słowami powtarzającymi się jak nieustający refren, słowami dzisiejszymi i dawniejszymi: „Co za szkoda, że... tak to się potoczyło”. „Taki wygląd przysparzał trochę kłopotów...” „Czy ty mnie słuchasz?”

Wychodzi z windy apartamentowca z luksusowymi mieszkaniami. Jego wnętrza są wygłuszone, na podłogach leżą miękkie dywany, wokół widać bogactwo. Głos Saula

Clementsa, który wydobył się z głośnika domofonu, zaprosił go na górę i wskazał piętro. Glyn przygotowuje się do spotkania. Czuje się pewniej niż poprzednim razem. Czuje, że to, co teraz wie, to coś więcej niż pochopne domysły. Nie widzi jeszcze rywala, ale jest zwarty i gotowy, czai się w narożniku, czeka na gong. Nigdzie bardziej nie będzie potrzebował swego zmysłu obserwacji i zdolności szybkiej dedukcji niż w starciu z człowiekiem, który kupił portret Kath.

Drzwi w końcu korytarza były już otwarte. Stał w nich mężczyzna — najbrzydszy, jakiego Glyn w życiu widział. Ropucha w ludzkiej skórze, gnom, troglodyta. Niski i gruby jak beczka, z kartoflanym

nosem i ustami przypominającymi szparę w skrzynce na listy. Ma co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. Ten mężczyzna był kochankiem Kath?

Troglodyta prowadzi Glyna do pokoju, w którym stoją masywne, błyszczące ciemnym fornirem meble. Świat za oknem ma pełnić funkcję naturalnej dekoracji wnętrza — perspektywa na Londyn, ściany budynków na tle nieba, zamknięte w ramie brokatowych zasłon; do środka wpada ledwie słyszalny szum miejskiego hałasu. Obite welwetem sofy i krzesła, stół i biurka jakby wypożyczone z muzeów. Pod stopami cuda orientalnej wełny. Tu się czuje pieniądze. Na ścianach gęsto rozwieszono obrazy, podświetlone delikatnym światłem punktowych reflektorków. To William Nicholson, ten to chyba Ivon Hitchens, nieco dalej prawdopodobnie Lucian Freud. Widać, że gospodarz lubi sztukę. Bardzo ją lubi. Nie żałuje na nią grosza.

Nie sposób wyobrazić sobie Kath w tym apartamencie. Tyle tylko, że tu jest. W narożniku, zawieszona nad niedużym, osiemnastowiecznym sekretarzykiem. Kath oświetlona pojedynczym snopem światła, w srebrnej ramie, jakieś sześćdziesiąt centymetrów na dziewięćdziesiąt, w jednolicie zielonej sukni, siedzi na wiklinowym krześle, które Glyn widział w pracowni Hapgooda, twarz w półprofilu, zwrócona ku światłu za oknem pracowni, światłu innego czasu, o którym Glyn nie wie nic.

Mężczyzna, który żadną miarą nie mógł być kochankiem Kath, prowadzi go bliżej portretu. Mówi. Mocnym, głębokim głosem — równie eleganckim, jak barbarzyński wydaje się wygląd jego właściciela. Glyn uświadomił sobie, że od dłuższego czasu milczy. Nagle poczuł się tak, jakby został skarcony, jakby popełnił fatalną gafę, niczym przedszkolak przyłapany na gorącym uczynku. Ma ochotę wyjść, ale zostaje, sam się w to wpakował. Może mieć pretensje tylko do siebie.

Glyn zerka na Kath. Widzi jej twarz, zamyśloną, abstrakcyjną. Och, zna to spojrzenie w bok, to oderwanie się od rzeczywistości, ucieczkę do świątyni dumania. Patrzy na Kath, na Kath utraconą, której nie ma, która żyje już tylko tutaj, w złotej klatce tego dziwaka, która żyje tu od lat, zamknięta w innym czasie, w innych dniach, zapieczętowana w ramie przez Bena Hapgooda. Zastanawia się nad tamtymi godzinami w pracowni. O czym rozmawiali? Ona i Ben Hapgood? I być może Glenda, która zapewne wchodziła od czasu do czasu z filiżankami kawy lub zaproszeniem na obiad. Wyteżę słuch, by usłyszeć głos Kath. Nie rozumie dlaczego, ale chce tego głosu teraz, potrzebuje go — tutaj, w tym nieznanym mu miejscu, wśród wielkich kanap i dobrze utrzymanych antyków.

Mężczyzna wciąż mówi. Tłumaczy, że kiedy kupował portret, nie znał prac Bena Hapgooda. Był dla niego zupełnie nieznanym malarzem. Kiedy jednak wszedł do galerii i zobaczył obraz, w jednej sekundzie coś go uderzyło. Niemy zachwyt.

— To była szybka i łatwa decyzja, jakiej każdy może sobie tylko życzyć, absolutna pewność, że ten obraz musi wisieć w moim domu, nic więcej.

Uśmiecha się do Glyna. Uśmiech porozumiewawczy, jakby kierowany do kolekcjonera sztuki, który dobrze wie, o co chodzi, któremu nie trzeba więcej tłumaczyć. Zwraca uwagę Glyna na ujęcie

twarzy, podkreśla użycie światłocienia, wodzi palcem po smudze światła padającego na ramię, na róg żółtawej poduszki.

Mężczyzna jest nadzwyczaj uprzejmy. Dobrych manier dowodził już list, w którym odpowiedział na pytania Glyna — sformułowane w najbardziej powściągliwych zdaniach, w których Glyn wyjaśnia, że od śmierci żony czyni wysiłki, by zlokalizować jej portret, że udało mu się odnaleźć galerię, malarza i że sugerowano mu, iż nabywcą może być właśnie pan Clements, w 1989 roku, i że jego wielkim pragnieniem jest zobaczyć i sfotografować portret. W kieszeni Glyna spoczywa aparat fotograficzny.

Nagle mężczyzna zadaje zaskakujące pytanie. Pyta, jak Kath miała na imię. Nie znał jej imienia. Pamięta, że sprzedano mu portret znajomej malarza. Kiedy słyszy jej imię, spogląda jeszcze raz na obraz; długim, przenikliwym, poważnym spojrzeniem.

— Kath — mówi. — Więc tak. Kath. Zawsze myślałem o niej po prostu Ona. Z respektem, rozumie pan, ale nigdy nie przestała być anonimowa. Teraz jednak będzie zupełnie inaczej. Kath. Do tego świadomość, że już nie żyje.

Glyn skreśla z listy Saula Clementsa, który nie był kochankiem Kath, nie znał jej, lecz teraz mieszka z nią pod jednym dachem w dziwnej, intymnej zażyłości. Skreśla Petera Claverdona i Bena Hapgooda, którzy także nie byli kochankami Kath, ale kto mógł wiedzieć? Zabrnął w kilka ślepych zaułków, ale tak bywa w pracach badawczych. Glynowi znane jest uczucie frustracji związane z naukowym niepowodzeniem, znana jest potrzeba cierpliwości i wytrwałości. Ale w wypadku tego konkretnego zadania wiele uczuć pozostaje mu nie znanych. Jest wytracony z równowagi, onieśmielony, nie panuje nad wszystkimi swoimi reakcjami. Zamiast zimnej krwi i konsekwentnego dążenia do celu — jakim jest ustalenie prostych faktów mających dowieść, czy niewierność leżała w charakterze Kath, czy jednak nie — spostrzega u siebie rozbicie, niemoc i poczucie ugrzęźnięcia w nieprzewidzianych zasadzkach. Przecież teraz, gdy okazało się, że spenetrowane przez niego obszary poszukiwań prowadzą donikąd, powinien zapomnieć o nich natychmiast i porzucić je, tak jak detektyw porzuca fałszywe tropy. Ale on nie umie przestać o nich myśleć. Wciąż ma przed oczami pracownię malarską, w której Kath siedziała na wiklinowym krześle, w której śmiała się i rozmawiała o czymś z przejęciem. Widzi oświetlony portret w srebrnej ramie. Rozmyśla nad tamtym latem, festiwalem, zdjęciem, na którym Kath promieniała uśmiechem w grupie przyjaciół. Ma ochotę cofnąć czas. Wrócić i zapytać Kath... Zadać jej pytania, które wówczas nie przychodziły mu w ogóle do głowy. Dokąd jedziesz? Dlaczego? Jak tam jest?

Nick jest w szoku. Czuje się źle. Traci poczucie czasu, mylą mu się dni tygodnia. Włóczy się po Londynie, bo to lepsze, niż siedzieć Polly na głowie, ale tak naprawdę nie wie, co chciałby teraz robić. Dawniej wypady do Londynu były czystą przyjemnością; teraz wydaje mu się, że to zesłanie na Syberie. Kiedy jest głodny, sam musi znaleźć sobie coś do jedzenia, bo Polly nie ma przez większość dnia, często także wieczorami, a jej lodówka w niczym nie przypomina pełnej lodówki w domu. Domu? Przecież podobno nie ma już domu. Przymuszany przez Polly, Nick odwiedza kilka biur nieruchomości i pyta o mieszkania do wynajęcia. Ale prawie nie słucha, co agenci do niego mówią. Bierze listy ofert, które mu wręczają, wraca do domu, kładzie je na stole i nawet ich nie przegląda.

To niemożliwe. To jakaś absurdalna pomyłka. Telefonuje do Elaine, ale nie udaje mu się z nią porozmawiać. Albo odzywa się Sonia, udzielając bardzo dyplomatycznych, zawoalowanych odpowiedzi, albo automatyczna sekretarka. Nick zostawia wiadomości dla Elaine; apeluje do rozsądku i uczuć, początkowo krótko, w paru słowach pełnych godności. Ale wkrótce słowa tracą swą dostojność i przemieniają się w wołanie na puszczy, w nikczemne błaganie, próżne biadolenie. Elaine nie oddzwoniła ani razu.

Polly odwiedza matkę. Rozmawia z nią. Wraca rozzłoszczona i wzburzona.

— Musisz być cierpliwy, tato — mówi, nie wdając się w szczegóły. — Aha, słuchaj, byłeś już zobaczyć to mieszkanko przy Clerkenwell? Pomyślałam, że to idealnie coś dla ciebie.

Ale Nick nie ma najmniejszej ochoty na fantastyczny, zaadaptowany strych w dzielnicy EC1. Ma ochotę wrócić do domu, nie kiedyś, ale teraz, zaraz. Chce, żeby ten koszmar się skończył, żeby się zapadł w przeszłość, najlepsze miejsce na życiowe błędy, by znikł mu z oczu raz na zawsze. Tam też przecież od dawna znajduje się cała sprawa Kath i tam było tak cicho i bezpiecznie, do czasu... groteskowego incydentu z fotografią, do czasu gdy zjawił się ten cholerny Glyn.

Przecież sprawa była zamknięta, raz na zawsze. Dobrze, prawda, to nie powinno się zdarzyć, ale nikomu nie stała się krzywda, nikt tak naprawdę nie ucierpiał, dopiero teraz dzieje się krzywda, zupełnie niepotrzebnie. Nick nie potrafi zrozumieć, jak coś usunięte w niebyt, zatopione w głębinie, może się nagle wynurzyć na powierzchnię i zniszczyć życie. Czuje się znieważony, wypruty z sił, zniechęcony do świata. Nic dziwnego, że ma bóle głowy i skręca go w żołądku. Powinni o tym porozmawiać z Elaine, wyjaśnić sobie wszystko, spokojnie i rozsądnie, jest pewien, że potrafiliby rozwiązać ten problem, gdyby tylko Elaine dała mu szansę.

Ale nie. Zamiast tego Nick chodzi bez celu ulicami okropnego Londynu, spotykając się czasem na piwie z jakimś starym znajomym. Takie spotkania utraciły jednak dawny smak. Co gorsza, nie ma już ochoty jechać do Northumberland. Przestały go interesować także inne projekty, które od jakiegoś czasu chodziły mu po głowie. Czy Elaine naprawdę się wydaje, że w takich warunkach można normal-

nie pracować? Trudno mu się nawet zmobilizować do kupna byle gazety. Siedzi na ławce w parku, z puszką piwa w dłoni, nieruchomo, z opuszczoną głową, jak ostatni opój.

I myśli o tym, co się wtedy stało, co nie powinno się stać, co nie powinno urosnąć do takich rozmiarów, by wpędzać go teraz w tak żałosny stan.

Spojrzał któregoś dnia na Kath i zauważył, jaka jest piękna. Nie widział tego wcześniej? Owszem, ale dotychczas traktował to normalnie, nawet z pewną obojętnością. Teraz jej uroda nabrała innego wyrazu: zaczęła zwracać jego uwagę, odwoływała się do niego, rozbudziła w nim potrzebę zareagowania.

Tak, miał ochotę iść z nią do łóżka. Gdy zdał sobie z tego sprawę, przeżył szok. Przecież to siostra Elaine. Siostra Elaine, na miłość boską, którą zna od lat.

Ale nie miało to znaczenia. Najmniejszego. „Co z tego?“, pytał jakiś cichy głos. Jest siostrą Elaine? I co? Nie takie rzeczy się zdarzają, prawda? Nic z tym nie można zrobić. To ani twoja, ani jej wina.

Dobrze pamięta tamten... zew natury, tamtą siłę pożądania. Pamięta, jak patrzył i patrzył na Kath, zaskoczony, że patrzy na nią inaczej niż powinien, że tak swojska mu bliskość Kath nagle jest czymś całkowicie innym. Zaskoczony, ale też podekscytowany. Pamięta, jak dni nabrały raptem koloru, jak odkrył w sobie nowe pokłady energii.

Pamięta to dobrze. Gorzej pamięta okres, który nastąpił potem. Jak długo to trwało? Sześć miesięcy? Rok? Ile razy się kochali? Niewiele. W pamięci Nicka cała ta historia zamknęła się w kilku gorących obrazach: twarz Kath, jej ciało, jej głos.

Odwraca się na drugi bok. „Dlaczego to robimy?“, pyta. Patrzy na niego — wciąż widzi jej spojrzenie, baczne, kryjące jakąś kapitulację. Spojrzenie, które właśnie teraz nie daje mu spokoju. „Ty robisz to z tych samych względów, co wszyscy mężczyźni“, poprawia się: „...wszyscy ludzie. Ale dlaczego ja to robię?“

Nick stara się ją uspokoić. Sądzi, że to mu się udaje. Kiedy teraz znowu słucha tamtych pytań, dochodzi do wniosku, że powinien jej coś odpowiedzieć, że umiałby znaleźć słowa, ale cóż, najwyraźniej nie odpowiedział. „Jesteś mężem Elaine. Czy dlatego to robię? Ponieważ jesteś mężem Elaine?“

Pamięta dzień, w którym zrobiono to zdjęcie. Przekłęte zdjęcie. Gdyby nie ono, nie siedziałby teraz na ławce w parku, z wirującymi u nóg opakowaniami po chrupkach, obok jakiegoś starego dziada zatopionego w brukowej lekturze „Sun“. Tak nie można żyć, myśli. Nie mogę tak żyć.

Dlaczego tam pojechali? Kolejny pomysł Kath? Kath nigdy się nie interesowała rzymskimi zabytkami. Dziś Nickowi się wydaje, że to on zaproponował wycieczkę. Subtelnie łącząc wyjazd z jednym ze swoich pomysłów wydawniczych? W rzeczywistości był to pretekst, by widzieć się z Kath, bo wówczas spotkanie z nią było najważniejsze, nawet jeśli w towarzystwie innych osób. Więc pojechali

— Elaine i on, Kath, cała ta Mary Packard z jakimś swoim kompanem i Oliver. Nieszczęsny Oliver, który zabrał ze sobą nieszczęsny aparat fotograficzny.

Pamięta piknik. Wszyscy rozsiedli się na trawie, a on myślał o Kath. Uważał, by nie patrzeć na nią za często i za intensywnie. Usilnie demonstrował swoje zwyczajne zachowanie, traktując Kath normalnie, jak przez wszystkie minione lata. Pamięta, jak Kath odchodzi z Mary Packard, jak stoją obie nad rzymską mozaiką, śmieją się do siebie. Zastanawiał się wtedy, czy Mary Packard wie. To była najbliższa przyjaciółka Kath. Czy Kath się jej zwierzała? Z czego? Właściwie Nick trochę by chciał, żeby Mary wiedziała.

Pamięta, że stali w kręgu, a on się znalazł obok Kath. Znalazł się? Prawdopodobnie specjalnie tam stanął. I nie potrafił się oprzeć, sięgnął do jej dłoni, oplótł palcami jej palce, odciągnął ich splecione ręce, ukrył za plecami, w fałdach sukni Kath, by nikt nie dostrzegł. Ta chwila intymności wywołała dreszcze, być może wzmożone świadomością, że obok stoi Elaine i coś do nich mówi: jednocześnie czuł euforię i własną podłość. Trzymali się za ręce tylko przez parę sekund. Potem ręka Kath wyslizgnęła się z jego dłoni. Ale właśnie w tych paru sekundach, w tym malutkim ułamku wiecznego czasu, Oliver postanowił podnieść aparat do oka i uwiecznić wesołą chwilę. Nieświadomie — Nick jest w stanie to uwierzyć — ale z nieobliczalnymi konsekwencjami.

To niesprawiedliwe. Elaine zachowuje się nieracjonalnie. Nie dała mu możliwości, by wszystko wyjaśnić. Wy tłumaczyć, że trzeba na to spojrzeć z perspektywy czasu. Został ukarany niewspółmiernie do przewinienia.

Powinieneś się z tym liczyć, mówi kolejny szorstki głos — już wtedy. Liczył się z tym? Liczyli się z tym? Hm... może trochę, w pewnym sensie, jeśli założyć, że krótkie chwile poczucia winy i napięte nerwy to właśnie liczenie się z tym.

Człowiek tak bardzo dał się w to wciągnąć, że niczego już nie mógł przewidzieć i niczego już nie mógł zatrzymać. Oczywiście martwił się, miał wyrzuty sumienia, oczywiście wściekał się na siebie czasem. Ale ani na moment nie opuściła go dziwna pewność, że to się nigdy nie wyda, że to się uda... A Kath?

Nick stwierdza, że Kath jest nieodgadniona. Widzi ją wciąż i słyszy, ale nie ma pojęcia, co czuje i co sobie myśli — poprawka: co czuła i co sobie myślała. Jest rozgoryczony, gniewa się na nią; hej, oboje byliśmy w to zamieszani, ty też tam byłaś, to ty zachowałeś to głupie zdjęcie i zdradliwy liścik.

Dlaczego? To pytanie niespodziewanie znowu budzi w nim niepokój. Nie wyrzuciła ich, bo była osobą nierozważną i nieroztropną? Czy może dlatego, że coś dla niej znaczyły? To przypuszczenie mocno go przygnębiło; nie chce nawet myśleć o tym, by ich znajomość miała kryć jakiś głębszy wymiar, którego nawet się nie domyślał. Nie. To był poryw chwili, żądza, szaleństwo, coś, czemu trudno się było oprzeć, ale co się w końcu nasyciło — tak, jak syci się namiętność.

Wspomnienie namiętności także wywołuje w nim uczucie dyskomfortu. Nie wiąże się ani z ciszą, ani z tęsknym westchnieniem, raczej z niezrozumieniem. Czy rzeczywiście czuł tę namiętność? Hm, najwyraźniej tak. Ale własny głos, który teraz słyszy, wydaje mu się zupełnie obcy. Słyszy siebie z niedowierzaniem. Słyszy, jak szepcze do Kath: „Pragnę cię, Boże, jak cię pragnę”.

Ona patrzy na niego — waży słowa. Te cudowne oczy.

„Pragnę”, mówi tylko, „pragnę...” Ona patrzy na niego, ale nie takiego spojrzenia oczekiwał, chce żarliwości w jej źrenicach, nie pytania i niepewności. Wydaje mu się, że czegoś w jego słowach zabrakło. Co więcej powinien jej powiedzieć?

Nie pamięta, o czym rozmawiali. Nie ma jednak wątpliwości, że to on głównie mówił. Nick pierwszy przyzna, że trudno mu usiedzieć w milczeniu. To był czas wielkiego entuzjazmu, wydawniczych pomysłów, nieustannie się coś działo, było tyle do powiedzenia, a on był przekonany, że Kath chętnie go wysłucha. Przypomina sobie nawet zasłuchaną Kath — siedzą w jakimś pubie, ma ją na wyciągnięcie ręki, po drugiej stronie stołu, ona się do niego uśmiecha, słucha z uwagą. Tak... raptem pojawia się Oliver, niestety mały problem, Nick będzie musiał z nim porozmawiać, ale wystarczy szepnąć słówko.

„Ponieważ jesteś mężem Elaine?” Nickowi to obojętne. Wolałby, żeby to pytanie nie chodziło mu po głowie — Kath bawi się w psychologa, co przecież nikomu nie może wyjść na dobre. Zresztą stawianie mu takiego pytania wcale mu nie schlebia, prawda? Nick znowu słyszy Kath: „Kiedy byłam mała, chciałam być taka jak Elaine. Bardzo pragnęłam być taka jak ona, zorganizowana, rozważna, śmiała i pewna siebie”. Śmieje się cicho, trochę smętnie. „Elaine nigdy się tego nawet nie domyśli”.

„Może robię to, bo chcę być Elaine?”, zastanawia się dalej. „Jak sądzisz?” Patrzy na niego, siedzi po drugiej stronie stołu w pubie, ze strapioną miną. Ale on nic nie sądzi, ani wtedy, ani teraz.

Ma pretensje do Kath. Powinna z nim teraz być, powinna przechodzić przez to samo co on. Ale jest obecna tylko w głowie, nieczuła i niewrażliwa. Ożywia obumarłe chwile. Powtarza te same zdania. Wydaje mu się, że nawet wówczas Kath była dla niego nieprzenikniona, nawet wtedy, gdy leżała obok niego w łóżku, ciepła i cielesna, pod jego dłońmi. Tak naprawdę nigdy nie było wiadomo, kiedy się jest z Kath, a kiedy nie. Słuchała, patrzyła i mówiła — och, czasem mówiła bardzo dużo, ale nigdy wiele nie powiedziała. Najwyżej błahostki, gdzie była, co robiła, nic ważnego. I wymykała się nagle, znikwała jak kamfora; była pustym krzesłem, na którym przed chwilą siedziała, głuchym telefonem, ciszą po drugiej stronie słuchawki, samochodem, który niknie za rogiem.

Aż w końcu, co oczywiste, znikła na dobre. Ale Nick w ogóle o tym nie myśli, nawet teraz.

Kath już mu nie pomoże, a Elaine przeistoczyła się w kogoś zupełnie innego. Stała kimś nieubłaganym, nieprzejednanym i obcym, kimś, kto ogłosił skazujący wyrok, od którego nie ma apelacji. Już od jakiegoś czasu Nick musiał zachowywać się czujnie, bo z byle powodu wstępował w nią zły duch. Potrafiła być zła jak pies, wściekać się o byle co. Ale tym razem chodzi o coś zupełnie innego.

Wciąż widzi jej kamienną twarz, tamtego ranka w cieplarni, wciąż słyszy jej głos: „Chcę, żebyś odszedł”.

To takie niesprawiedliwe. Jest już za stary, by tak go traktować. Za stary? Gdy tylko sens tego słowa dociera do jego świadomości, Nick czuje się jeszcze bardziej przygnębiony i załamany; jeszcze bardziej wystraszony. Tak, starzeje się. Psiamać!

TLR



Elaine jest pełna życia. Odzyskała wewnętrzny spokój, czuje celowość i sens tego, co robi. Jest pewna, że podjęła właściwą decyzję. Jest pewna, że w tych okolicznościach zrobiła jedyną słuszną rzecz. Dalsze życie z Nickiem pod jednym dachem, jak gdyby nic się nie stało, nie było już możliwe; ta sprawa stawałaby jej przed oczami każdego dnia, z każdym spojrzeniem na niego, z każdym jego słowem. Teraz będzie mogła poświęcić się pracy, a dzięki temu, być może, uda się jej po jakimś czasie przetrwać cały ten niestrawny galimatias. Zastanawia się, czy nie zwolnić tempa i trochę odpocząć; przeciwnie, rzuci się w wir pracy. Wyjedzie na serię odczytów do Stanów Zjednoczonych, opracuje szczegóły nowej książki, zrobi wszystko, by wziąć udział w przyszłorocznej wystawie w Hampton Court.

Dzisiaj jest jurorem konkursu kwiatów ogrodowych na jednym z przedmieść Londynu. Interesujące zajęcie — nie tyle ze względu na bezlitosną bieżącą, nieustannie trzeba bowiem dreptać od domu do domu, od jednego ogródka do drugiego, ile ze względu na — konieczną w tym wypadku — dyplomatyczną neutralność. Musi być uprzejma wobec ludzi, ale w żadnym razie nie poufała. Jej reakcje muszą być stonowane — oczywiście, może sobie czasem pozwolić na słowo komentarza, niezobowiązujący wyraz aprobaty, krótką wymianę zdań, ale zawsze z dystansem. Właściciele ogródków krążą wokół niej z uśmiechami przyklejonymi do twarzy i świdrują ją niespokojnym wzrokiem. Daliby wszystko, by móc zajrzeć do notesu, z którym Elaine się nie rozstaje. Organizatorzy nie odstępują jej na krok — kohorta przewodników i opiekunów, a jednocześnie osłona. Wydaje się, że wśród mieszkańców panuje dość niezdrowa atmosfera; wyczuwa się ducha zawistnej rywalizacji. Choć nad tym wszystkim górować ma idea dobroczynna — większość ogrodów jest dostępna dla publiczności, a zebrane pieniądze przeznaczone będą na szczytny cel — oznak dobroczynności za bardzo nie widać.

Elaine chodzi wśród róż. Odnotowuje w notesie ciemną plamkę na „Madame Alfred Carriere”, długo ocenia „Paul's Himalayan Musk”, kryje dreszcz zachwytu przy „Pokoju” i „Piccadilly”, rozmawia w myślach z „Kardynałem Richelieu”. Mruży oczy przed światłem odbitym w pelargoniiach, z uznaniem zerka na *Dicentra eximia* i *Polemonium carneum*, boleje nad upiornym karmazynem *Lavatera*, z zainteresowaniem odnotowuje nie znaną jej odmianę *Corydalis*. Nie sposób zapomnieć o własnych zamiłowaniach i sympatiach, ale Elaine stara się wyważyć oceny, dostrzec każdy wysiłek, talent i umiejętność, nawet jeśli ich wynikiem jest tylko zawile skomponowany skalniak lub jakiś rachityczny klombik. Ludzie urządzają sobie ogródki wedle własnej fantazji (choć daje się zauważyć dyktat telewizyjny) i taki właśnie fantazyjny obraz Elaine ma przed sobą. Wszędzie bez umiaru wykorzystuje się wodę, wręcz na skalę babilońskich wiszących ogrodów: strumyczki, kanaliki, miniaturowe wodospady, fontanny, wodotryski, oczka wodne. Wydawać by się mogło, że współczesne ogrodnictwo to raczej kwestia urbanistycznej inżynierii niż sadzenia roślin. Rozmaite i wyszukane bywają ogrodowe dekora-

cje: niektóre ogrody obsypane są drobnym grysem, w innych nawieziono wywrotkę pięknych otoczków znad morza, w jednym stoi wysoki na trzy metry tajemniczy totem, a w innym dostojnie wygląda zza krzewu posąg rzymski. Od czasu do czasu, jakby przeniesiona nagle w inny wymiar, Elaine trafia na zwykły prostokąt otoczony mdłym pasem jednorocznych kwiatków. Towarzyszący jej organizatorzy nerwowo posyłają jej znaczące uśmiechy dezaprobaty. Dyskretnie ponaglają, prowadzą wzdłuż ulicy, chcą pokazać piętnastometrowy pas dzikiego ogrodu, z płataniną maków, gwiazdników, jastrunów i gęstej tawuły na samym końcu.

Elaine wypatruje przemyślanych struktur, pomysłowego doboru odmian, wyobraźni w kompozycji szaty roślinnej, intrygujących kombinacji kolorystycznych, dowodów ogrodniczej odwagi i daleko idącej indywidualności. Rzadko znajduje to wszystko razem. Bardzo często niezłe umiejętności służą katastrofalnej koncepcji lub przeciwnie; obiecujący projekt pada ofiarą tragicznie dobranych roślin. Na przykład ten wąski, długi ogródek na tyłach domu; jego wąskość i długość zostały nadzwyczaj zręcznie zamaskowane, przestrzeń została wyraziście złamana bujną grupą krzewów, a ścieżka, mająca początek z jednej strony, bardzo zmyślnie prowadzi na przeciwną stronę, gdzie — zgodnie z kanonami sztuki — powinna się kończyć jakimś wyrazistym elementem, który przyciąga wzrok. Jednak tym, co ma tu przyciągać wzrok, jest sucha kępa trawy stepowej; och, to już archaiczny element podmiejskich ogródków. Trawa sterczy wśród krzewów ni przypiął, ni przyłatał. Elaine patrzy na kępę, podnosi brwi i zapisuje coś w notesie. W tym momencie pojawia się Kath. I ogród, zupełnie inny ogród.

— Mogę też się bawić? — pyta Kath.

— Nie — odpowiada Elaine.

Kath ma cztery lata. Ona dziesięć. Robi ogród. Na starej blaszanej tacy. Usypała na niej ziemię, wyrównała i właśnie się namyśla nad wytyczeniem ścieżek i zasadzeniem roślinek; za trawę służy mech, a za inne rośliny — kołtunki rzeżuchy, listki niezapominajek i źdźbła rozchodnika zerwane z garażowego dachu — Elaine już wtedy знаła nazwy wielu roślin. Znakomicie pamięta tamten ogród na tacy. Widzi go jak dzisiaj. Może wtedy się wszystko zaczęło? Tamtego wiosennego poranka, gdy miała dziesięć lat? Tyle że teraz, gdy patrzy na tamten ogród, na drobne baze imitujące płaczącą wierzbę, świadoma jest obecności Kath przyczajonej gdzieś na peryferiach.

— Może przyniosę tego więcej? — mówi Kath i pokazuje paluszkami mech.

Podeszła bliżej; malutka, nieważna postać. Błagalny wzrok, zaklinający, proszący.

Elaine jej nie zauważa. Kath jest tylko drobnym ruchem, jaki rejestruje kątem oka. Zachodzi w głowę, co może posłużyć za drzewo, o, już wie, a stawek, stawek... Oczywiście! Lusterko! Skąd wziąć małe lusterko? Najlepiej takie, jakie ma mama w torebce. Czy to możliwe, by mama pożyczyła jej lusterko?

Znowu Kath.

— Mam to — wyciąga do niej bratka, wspaniałego, ślicznego, zwykłego bratka.

To jej dar dla ogrodu.

Elaine marszczy brwi.

— Dlaczego go zerwałaś? — mówi karcącym tonem. — Wiesz, że nie wolno ci niczego zrywać w ogrodzie.

Poza tym czy Kath nie widzi, że bratek nie pasuje do jej ogrodu? Pod każdym względem; nie ta wielkość, nie ten kształt, nie ten kolor i w ogóle...

Dobra starsza siostra przyjęłaby bratka, myśli Elaine. Podziękowałaby i pochwaliła, jakoś by go wkomponowała, jakoś by dopasowała. Elaine patrzy na nie przystającą do reszty kępę stepowej trawy w podlondyńskim ogrodzie i zastanawia się, czy ktoś szczęśliwy, z triumfalnym uśmiechem na twarzy, nie przyjechał z nią jako spontanicznym darem — może małżonek, może teściowa, może przyjaciel?

Obraz tego ogrodu staje się w jej oczach niewyraźny. Nie potrafi już obiektywnie go ocenić. Nie może przyznać mu złotego medalu, ani nawet srebrnego, ale coś jej mówi, że zasłużył na trzecie miejsce i brązowy medal — mimo stepowej trawy, a może właśnie dzięki niej? Wtrąciła się Kath, po raz kolejny.

Obchód po ogrodach dobiega końca. Elaine zostaje zaproszona przez jednego z organizatorów do domu, gdzie czeka na nią poczęstunek i chwila odpoczynku. Traktowana jest z rewerencją i troskliwością, co jej się bardzo podoba. Tym bardziej że zgodziła się wziąć udział w przedsięwzięciu nieodpłatnie; uważa, że to dla niej dobra reklama, trzeba dbać o wizerunek firmy, nigdy nie wiadomo, co może wyniknąć z udziału w takim konkursie. Naturalnie zwiększy się sprzedaż książki, ale być może pojawią się także ciekawe zlecenia. Jest zatem uprzejma i uśmiechnięta, skłonna do współpracy, o wiele bardziej niż wymagałyby tego zwykłe służbowe okoliczności. Zgadza się nawet na nieplanowaną wizytę w dość żalonym ogrodzie przewodniczącego konkursu, który dopytuje, jak się uporać z krnąbrnym wawrzynem *Pittosporum*. Na chwilę zostaje sama, z filiżanką herbaty i notatkami na kolanach — ma dokonać wyboru. Bardzo potrzebna przerwa; jest już piąta, z domu wyszła o siódmej rano, cały dzień na nogach, a przed nią jeszcze przejazd przez zatłoczone ulice południowego Londynu. Rozdziela punkty, przyznaje medale — złoty, srebrny i brązowy. Wydaje werdykt, który pogłębi animozje między mieszkańcami arkadyjskiego przedmieścia. Wreszcie nadchodzi czas wylewnych podziękowań, wyrazów wdzięczności, ukłonów i niezliczonych uśmiechów. W końcu siada za kierownicą samochodu.

Dzień pracy. Nie taki ciężki, ogólnie rzecz biorąc, stosunkowo łagodny. Mogłabym w tym samym czasie ustawiać towary na półkach w markecie lub przetasowywać miliony w City, w czasie sesji giełdy papierów wartościowych. Ale nie, zamiast tego sama decyduję o tym, kiedy mam jechać do pracy i kiedy wrócić do domu, i robię to od lat — prawda, jestem zależna od liczby i stałości zleceń, od konieczności zarabiania na życie.

Elaine trudno już oddzielić siebie od pracy. To, czym się zajmuje, identyfikuje ją zarówno w jej własnych oczach, jak i zapewne w oczach innych. Nie potrafi wyobrazić sobie życia nie wypełnionego pracą. Gdyby się pozbyć tego obowiązku, nie byłaby tym, kim jest. Już zawsze czuje się otoczona pergolą, altaną, alejką, klombem, strzyżonymi krzewami, ekspozycją, osiami kompozycji, tendencją barw i punktem centralnym. Do życia budzą ją harmonia, kontrast, dysonans i akcent. Rozwijają się na urodzajnej glebie własnych wiadomości — prawdziwej bibliotece botanicznej wiedzy, w którą może się zagłębić, kiedy ma ochotę, znając tajniki przycinania i wzrostu roślin, atrybuty kolejnych gatunków i odmian, znając tysiąc roślin, których nazwy w każdej chwili może wyłowić z pamięci.

Elaine myśli o tym, gdy kluczy ulicami Londynu i wyjeżdża na szosę prowadzącą do domu. Jak przypuszcza, poczucie celu w życiu zawdzięcza wyłącznie temu, że miała szczęście znaleźć wokół siebie coś, co pozwala jej ten cel realizować. Bez klientów, zleceń, projektów, studentów i sobót w otwartym ogrodzie zdana byłaby teraz tylko na niełaskę tego, co się stało. Większość czasu upływałaby jej na bezsennych nocach, rozpamiętywaniu i gorzkich pretensjach do wszystkich. Dzięki pracy jest w stanie odsunąć to od siebie i o wszystkim zapomnieć.

Tyle tylko, że wcale tak się nie dzieje.

Jak teraz, kiedy skręca, by łukiem ominąć zaparkowanego na ścieżce golfa, ten manewr przypomina jej, że przed domem nadal stoi samochód Nicka. Zamierza go stąd zabrać czy nie? Jeśli nie, będzie musiała się go pozbyć. Aby jednak dowiedzieć się o jego zamiarach, musi z nim porozmawiać, a nie jest jeszcze gotowa, by tak się otworzyć.

I Kath. Wydaje się, że Kath nie opuszcza jej ani na chwilę. Niekiedy jakby czeka za kulisami na swoje wejście, może się pokazać w każdej chwili — to nieustanne absorbowanie. Innym razem wkracza na scenę w świetle jupiterów, mając albo cztery lata, jak dzisiaj przy okazji stepowej trawy, albo dwanaście lat, albo jako dorosła już osoba. Ta ostatnia postać Kath jest dla Elaine najbardziej kłopotliwa — osoba dorosła przed dniem, w którym zrobiono to zdjęcie, czy może już po? Czy miała już swój romans z Nickiem, jeśli można to nazwać romanssem, czy jeszcze nie? Istnieje teraz Kath niewinna i Kath, która zachowała się niecznie. Dlaczego? Dlaczego właśnie Nick?

Tyłu mężczyzn się wokół niej kręciło przez wszystkie te lata. Przed Glynem. Niemal zawsze gdy się u niej zjawiała, ciągnął się za nią jakiś ponury absztyfikant. „Och... zapomniałabym, poznaj proszę, to James”. Albo Bruce. Albo Harry. Albo ktoś tam jeszcze. Nie bez powodu przyszło jej do głowy właśnie to słowo: absztyfikant. Nie kochanek. Byli tylko zalotnikami, niepewnymi swego, gotowymi do poświęceń i starającymi się o względy. Spała z nimi? Nie zawsze, myśli Elaine. Może nawet rzadko. Stanowili świętę uległych adoratorów — też dobre słowo, trochę służalcze — ale jeśli adorowali nazbyt wytrwale, nazbyt zapobiegliwie, to Kath się od nich uwalniała. Następnym razem pojawiała się sama albo z innym mężczyzną. Ale przez cały ten czas, Elaine jest tego pewna, Kath nie

spojrzała na Nicka. Traktowała go z sympatią, jak rodzinę; był dla niej kimś w oczywisty sposób obecnym, jak powietrze i woda, był mężem siostry, ojcem Polly.

Najchętniej przychodziła do Polly, myśli Elaine. Widzi Kath, jak w dniu narodzin Polly idzie korytarzem oddziału położniczego. Szczęśliwa i roześmiana niesie naręcze niebieskich groszków. Z każdego mijanego łóżka zerka na nią zauroczona para oczu. Polly leży w kołysce przy łóżku Elaine. „Och...”, Kath nachyla się nad małą. Wyciszona, pochłonięta dzieckiem. Ma w oczach coś, co zastanawia Elaine. „O, ty, ty...” Patrzy na Elaine. „Mogę wziąć ją na ręce?”

Elaine ostrożnie bierze Polly na ręce i podaje ją Kath. Nagle Polly otwiera oczy, patrzy. Jej pomarszczona, czerwona twarzyczka ożywa. Elaine wydaje się, że Polly i Kath połączyła nagle krótka chwila jakiejś naturalnej bliskości.

Elaine wyciąga ręce. „Daj mi ją”, mówi, „czas na karmienie”.

Polly i Kath zawsze były sobie bardzo bliskie. Przyznaję, byłam czasami zazdrosna. Kath była jak dobra wróżka z bajki. Polly wciąż o niej mówiła. Kath była dla niej tym wszystkim, czym nie byłam ja, myśli Elaine.

Czy Nick czuł to samo?

Ta myśl przeszywa Elaine, gdy stoi już przed drzwiami domu. Zostaje w niej jak skaza. Zakłóca błogie poczucie ukojenia, jakiego Elaine doznaje przy powrocie do domu, po dniu ciężkiej pracy, kiedy ma przed sobą już tylko perspektywę nie zmaconego niczym wieczoru. To przecież niedopuszczalne. Nicka już nie ma. Nie może sobie pozwalać na takie zburzenie spokoju, na takie wątpliwości.

Ale samochód stoi przed domem. Cierń. Elaine pośpiesznie wchodzi do domu, rzuca się w wir codziennej krzątaniny; przegląda pocztę i faksy, odsłuchuje wiadomości z automatycznej sekretarki, czyta wiadomości na tablicy w kuchni. To pomaga wyrzucić z głowy nieproszoną myśl. Odzyskała rytm, zajęta dziesiątkami pytań, prośb i żądań klientów, codzienną porcją rzeczy wymagających natychmiastowej interwencji i decyzji. Polly zostawiła wiadomość, jest chyba trochę najeżona. Nick nie dzwonił; to dobry znak. Wydawca przypomina o jutrzejszym spotkaniu i wspomina, że ma jej do pokazania fantastyczne zdjęcia obiecującego fotografa. Wiadomości wypisane kredą na tablicy zwracają jej uwagę, że prognoza pogody na sobotę jest doskonała i można się spodziewać tłumów gości; Jim sugeruje, że na parkingu mógłby mu pomóc bratanek. Także Pam przewiduje prawdziwy najazd gości. W związku z tym nasadziła w doniczkach dużo więcej ciemiernika czarnego, przygotowała też więcej sadzonek ze szklarni — fuksje i trędowniki — bo spodziewa się na nie sporego popytu.

Elaine siada w cieplarni z listami i faksami na kolanach i szklanką wina w ręku. Co za śliczny wieczór, kolejny śliczny wieczór — *Euphorbia griffithii* lśni w zachodzącym słońcu rubinowym blaskiem, trawa ozdobna iskrzy wysokimi żdźbłami. Ten widok wywołuje w niej refleksję na temat zmienności ludzkich gustów, przynajmniej w kwestii ogrodów. Dziś mało kto sadi trawę stepową

(ponieważ tacy ludzie jak ja, myśli Elaine, powtarzają, że nie warto...), ale kiedyś była na topie. Dzisiaj za to cenimy i lubimy *Stipa* lub *Miscanthus*. Dyktatura mody, oczywiście, ale taka niestałość skłania do namysłu nad koncepcją piękna. Obszerny temat. Takim ogrodowym słabostkom Elaine zamierza poświęcić spory passus w swojej nowej książce. Rzecz jasna, kolorowy album nie jest najlepszym miejscem na głębsze rozważania dotyczące estetyki i piękna — będzie musiała mądrze i bardzo rygorystycznie je ograniczyć. Elaine spostrzega, że jej myśli o pięknie zmieniają przedmiot zainteresowania i przechodzą z kwiatów na ludzi. Znowu pojawia się siostra.

Kath określał wygląd; była natychmiast zauważana. Czy tak samo działało się sto lat temu? Dwieście? Elaine wyobraża sobie twarze epoki wiktoriańskiej, piękności osiemnastego wieku. Czy istnieją trwałe cechy kobiecej urody, opierające się upływowi czasu? Pewne proporcje, szczególnie walor oczu, a może ust? W wypadku Kath można mówić o całym pakiecie urody; to nie tylko twarz czy usta, nie tylko sylwetka, to także ułożenie ciała i sposób poruszania się. Nawet ja potrafiłam to dostrzec, myśli Elaine, dostrzegałam to od czasu, gdy, hm... od czasu gdy zrzuciła kokon dzieciństwa i stała się tą niespodziewaną, nową osobą. Dobrze pamięta, jak piętnastoletnia Kath zaczęła się jej wydawać kimś obcym. „Dlaczego tak na mnie patrzysz?“, zapytała ją któregoś dnia. „Coś ze mną nie w porządku?“ A po chwili, z głębszym zastanowieniem, jakby do siebie samej: „Wszyscy teraz tak na mnie patrzą“.

Nie wiedziała jeszcze wtedy. Naprawdę nie wiedziała.

A później? Tak, później wiedziała. To znaczy, teoretycznie wiedziała, ale jakby nie przyjmowała tego do wiadomości, odsuwała to od siebie, uciekała jak najdalej. Elaine musiała przyznać, nawet w chwilach największej niechęci i braku życzliwości dla siostry, że Kath nie była osobą próżną.

Słyszy ją. Ale Kath nie mówi do niej, mówi do kogoś innego; jakaś zasłyszana rozmowa. „To nic takiego“, mówi. Dopiero teraz wyłania się ta druga osoba — ta, która z nią rozmawia, a właściwie pytanie, na które Kath odpowiada: „Jak to jest, Kath, być tak niesamowicie atrakcyjną kobietą...?“ Ta druga osoba to nie mężczyzna, lecz kobieta; zadaje pytanie z czystej babskiej ciekawości. Kath odpowiedziała. Wcale nie wymijająco, wcale nie zarozumiale i figlarnie. Odpowiedziała szczerze, równie szczerze, jak zadano jej pytanie.

Kiedy to mogło być? Gdzie? Kto pytał? Elaine nie słyszała wcześniej tej wymiany zdań, a jeśli słyszała, to nie uznała jej za ważną. Teraz chciałaby ją znać całą. Wyteża pamięć. Wydaje jej się, że rozmowa odbyła się w ich starym mieszkaniu, podczas jakiegoś przyjęcia, może był to niedzielny lunch, na który zwykle przychodziło do nich mnóstwo gości, a może jedno z tych improwizowanych przez Nicka burzliwych spotkań, toczących się wokół pomysłów na nowe książki. Kim jest druga kobieta? To właściwie nie ma znaczenia, ale jej anonimowość jest irytująca. Wydaje się, że to ktoś obcy — być może widzi Kath po raz pierwszy i usiłuje zainicjować bliższą znajomość. Pytanie może wydawać się nie na miejscu, ale Kath najwyraźniej nie czuje się urażona. Uczciwie odpowiada.

Co ja w tym czasie robię? — zastanawia się Elaine. Wyobraża sobie taki obrazek: kuchnia pełna ludzi, a ona biega od kuchenki do stołu, donosząc półmiski jedzenia. Tak prawdopodobnie było. Mijała Kath i wpadł jej w ucho fragment rozmowy, który przechował się w pamięci do dzisiaj. To się zdarza. Dlaczego akurat te słowa, a nie inne? Zwróciła na nie uwagę, jak można by teraz sądzić, z powodu bezpośredniości stawianego pytania i osobliwej odpowiedzi Kath. „To nic takiego”. Co to miało znaczyć? Że to, jak wygląda, nie miało dla niej znaczenia? Czy też, że nie wynikało z tego dla niej nic dobrego?

Elaine odkłada na bok listy i faksy. Siedzi bez ruchu, wpatruje się w ogród i widzi Kath. Czy ja też się nad tym zastanawiałam? Jak to jest być Kath? Władać spojrzeniami innych? Oczywiście nigdy jej o to nie pytałam. Nigdy nie rozmawiałyśmy w taki sposób. Byłam jej siostrą, ale znałam ją gorzej niż niejedna jej przyjaciółka. Nigdy nie interesowały mnie takie ciepelka, serdeczności i szczerości — nigdy nie należałam do osób otwartych, szukających ludzkich wnętrz.

Zamyśloną Elaine okružają kolejne postaci Kath. Nie są wyraźne, łatwo uchwytnie, nie mówią nic, co Elaine mogłaby usłyszeć i zrozumieć, nie robią też nic szczególnego. Po prostu są, gdzieś daleko, gdzieś głęboko i napływają tłumnie, jak pokutne dusze do czyśćca, milczące, lecz pełne wyrzutu, wywołującego dreszcz niepokoju. Postacie dziecka mieszają się z postaciami dorosłej Kath, w efekcie widzi pewną złożoną całość, postać wypadkową, która nie jest już sztucznie przypisana jednemu miejscu i okresowi — Kath nie jest już dziesięciolatką, nie ma dwudziestu czy trzydziestu lat; jest wszystkimi swoimi postaciami jednocześnie. Kath o głowie hydry, ale to postać równie przekonująca; Kath wielokrotna, podlegająca ciągłym przemianom, towarzysząca jej przez całe życie, jak daleko sięga pamięcią. W końcu nagle przestaje jej towarzyszyć. To nie są te żywe, promieniejące i radosne postaci Kath, lecz jacyś niemi świadkowie czegoś, o czym się milczy. Elaine wyczuwa nieustające nawoływanie: „Porozmawiaj ze mną...” Czy słyszy? „Bądź dla mnie miła”.

Niespokojna Elaine wyrzuca z myśli Kath. Zgarnia listy i idzie do kuchni przygotować sobie coś do jedzenia. Odgrzewa w kuchence mikrofalowej kawałek quiche'a i zabiera się do przygotowania sałatki. Jest trochę sera pleśniowego, są jakieś razowe ciasteczka. Elaine robi miejsce na stole i wyciąga z kredensu stare prowansalskie talerze. W tej chwili następuje w jej pamięci mały ruch tektoniczny i Elaine przypomina sobie, kiedy to było, kiedy tamta kobieta zadała pytanie, a Kath odpowiedziała; ponieważ ta sama kobieta, widząc te talerze, rzuciła wesoło: „Och, mam takie same! Też byłaś w Aix?” Elaine przypomina też sobie własną odpowiedź: „Niestety nie, o ile pamiętam, kupiłam je w sklepie Healsa przy Tottenham Court Road”. Potem przypomina sobie, że kobieta była żoną pewnego pisarza (jakieś najnowsze odkrycie Nicka, onomasta, facet, który wiedział wszystko o nazwach pubów w kraju), autora książki, której wydanie właśnie świętowali. Elaine mało obchodzi pisarz, tudzież jego żona, jednakże interesuje ją, kiedy to się wydarzyło, gdyż oto kolejny ruch tektoniczny w jej pamięci upewnia ją, że było to krótko po chorobie Kath. Dziewczyna zniknęła na jakiś czas, jak nieraz to by-

wało, a potem zatelefonowała: „Chorowałam, ale już jest wszystko w porządku, mogę wpaść w niedzielę?” Choroba Kath nigdy nie została ujawniona. „Nic takiego, już po wszystkim”, odpowiadała Kath na docieklive pytania. Elaine nie pytała już więcej. Nigdy potem nie dociekała, co to było.

Kath była młoda. Hm, bardzo młoda. Miała dwadzieścia parę lat. Więc właściwie kiedy? Samowolna pamięć bardziej jej przeszkadza, niż pomaga; wprowadza niejasne obrazy różnych zdarzeń równoległych. Elaine chce odepchnąć te myśli, ale z drugiej strony poddaje się jakiejś wewnętrznej presji, by dojść do tego, kiedy to było. Nick by wiedział. Pamięta wszystkie książki, które wydał. Upaja się nimi po dziś dzień. Odwraca głowę i mówi: „Słuchaj, pamiętasz tę serię wydawniczą o nazwach pubów? Kiedy...”

Ale Nicka nie ma. Przez ułamek sekundy stoi zaskoczona, patrząc na pustą kuchnię.

Nowa propozycja wydawnicza Elaine, zawarta na trzech stronach maszynopisu, leży na biurku jej wydawcy. Dość skąpy konspekt, myśli Elaine, patrząc, jak Helen bierze kartki do ręki, szybko odkłada i entuzjazmuje się przedstawionym materiałem. Helen Connor nie zna się na ogrodnictwie, ale wie wszystko, co trzeba, albo i więcej, by wydać piękną, bogato ilustrowaną książkę, która się sprzedaje jak kraj długi i szeroki i która będzie nosić znak firmowy Elaine. Helen wręcza jej pakiet fotografii — cuda światła i cienia, głębi, detalu i kompozycji. Ten młodzieniec to geniusz, robi nieprawdopodobne zdjęcia, bardzo chciałabym go wykorzystać, co o tym sądzisz?

Elaine sądzi, że jeśli nie podejdziesz do tego z odpowiednim dystansem, to jej książka stanie się tylko niepewną dźwignią dla śmiałej fotografii młodego pokolenia. Tymczasem przede wszystkim zależy jej na treści książki; tekst ma być najwyżej wsparty ilustracją fotograficzną. Chce w tej książce poszerzyć pole swoich dotychczasowych zainteresowań, odejść od problematyki ściśle ogrodniczej, kwiatów, drzewek i krzewów, chce podnieść kwestię ogrodowych fanaberii, chwilowych gustów i nurtów mody, chce zwrócić uwagę na socjologiczny aspekt utrzymywania ogrodów. Jest już znudzona opowiadaniem ludziom, jak hodować rośliny moczarowe, jak uciec przed cieniem w ogrodzie albo jak najlepiej wykorzystać różnorodność barw kwiatów. W tym zakresie dała już z siebie wszystko. Czuje, że nie może powiedzieć niczego nowego. Dzisiaj o wiele bardziej interesuje ją to, co zauważyła i czego się nauczyła w ogrodach innych ludzi i pytanie, dlaczego robią to, a nie co innego. Skończyła już w ogrodnictwie z praktyką, teraz pociąga ją człowiek w ogrodzie, teraz interesuje się teorią.

Helen uprzejmie przytakuje ze zrozumieniem, wydaje z siebie westchnienia zachwytu, ale widać wyraźnie, że teoria ogrodnictwa napawa ją lękiem. Szuka pośredniego rozwiązania i uważa, że dobrze jest stonować takie rozważania wystawną prezentacją — styl, jakość i liczba fotografii przekonują czytelników, że mają do czynienia z przystępną publikacją, ich ogrody zyskają, jeśli książka znajdzie się na ich stoliku na osłonecznionej werandzie.

Elaine doskonale zdaje sobie sprawę, że ma mocny argument przetargowy. Zawsze może iść do innego wydawnictwa. Być może będzie musiało do tego dojść, ale to zawsze się wiąże z pewnymi



niedogodnościami i niezręcznościami. Będzie więc negocjować, postara się wywalczyć jak najwięcej. Obie zatem, Elaine i Helen, przystępują do słownej potyczki, w której ani jedna, ani druga nie zamierza zrezygnować ze wszystkiego. Obie też są gotowe do ustępstw.

Dwie godziny później Elaine opuszcza wydawnictwo ani specjalnie zadowolona, ani niezadowolona. Nie będzie szukać nowego wydawcy, ale uszczupli treść książki, okroi rozważania najbardziej interesującego dla niej rozdziału. (Nie uważasz jednak, że czytelnik może się trochę zmęczyć czytaniem?) Z kolei Helen dała się przekonać, by zrezygnować z dużych fotografii na całą stronę i zastąpić je mniejszymi, ale bardziej przejrzystymi, które właściwiej zilustrują tekst. Elaine wie, że będzie musiała jeszcze walczyć o swoje, to na razie początek, książka musi jeszcze powstać. W każdym razie może odetchnąć, sprawa posunęła się naprzód. W zasadzie nie powinna narzekać na wynik rozmów w wydawnictwie. Choć na pewno ograniczy się w kilku miejscach, przy których Helen Connor wyrażała największe obawy.

Elaine przychodzi do głowy, by przed powrotem do domu odwiedzić odbywającą się raz na dwa tygodnie wystawę Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego przy Vincent Square. Ale najpierw musi odsapnąć. Kupuje kawę i idzie na skwer Bloomsbury. Gdy siada na ławce wśród majestatycznych platanów i gruchających gołębi, miejsce ożywa wspomnieniami. Była tu kiedyś z Kath.

Słyszy własny głos: „Nie jestem twoją matką”. Słyszy odpowiedź Kath: „Wiem. Nie mam już matki”.

Kath ma osiemnaście lat. Elaine dwadzieścia cztery i już pracuje. Dzisiaj widzi tamten moment, jakby na końcu długiego i ciemnego tunelu. Dzisiejszy obraz zasypanego liśćmi skweru jest o wiele wyraźniejszy niż one wówczas, wiele lat temu. Nie wie, jak wyglądały, jak były ubrane, ale pamięta, że w czasie rozmowy patrzyła na platany, ich rozłożyste liście, słoniowatą nogę pnia i plamistą korę. Drzewa niewiele się od tego czasu zmieniły; czym jest dla drzew trzydzieści sześć lat, fraszką i igraszką. Wychwytuje odległe echo siebie samej, patrzącej na drzewa i mówiącej do Kath — daleki, przytłumiony głos, dobitnie oświadczający, że zostały same, że są już dorosłe, dorosłe, na miłość boską, i Kath musi stawić czoło dorosłemu światu, musi sobie z tym poradzić, musi wziąć się w garść... czy coś w tym sensie. „Tobie łatwo to powiedzieć”, mówiła wtedy Kath. „Mnie nie”.

Matka nie żyła od dwóch lat. Elaine widzi mamę z Kath. Dla niej mama nigdy nie była tak bliska i ciepła. Przytulenia i całusy, długie, ciche szepty do ucha, śmiech. Elaine nie miała do mamy cierpliwości. Mama była dla niej nieciekawą, nużącą osobą; dom był dla niej miejscem, które należało opuścić jak najprędzej. Mama to wyczuła i zaczęła się wystrzegać Elaine, świadoma, że została już oceniona i że daleko jej do ideału. Przy Elaine usuwała się w cień, była łagodna jak baranek, przytakiwała i przepraszała. Ale przy Kath była inną osobą; rozluźnioną i wesołą, nieskrępowaną i pewną siebie. Przy Kath matka czuła się świetnie.

Jest coś jeszcze w tamtym spotkaniu pod platanami. Coś, co zdarzyło się nieco wcześniej. Telefon od Kath: „Nie mogę tak dłużej żyć. Jenny mnie nie znosi. Mogłybyśmy się spotkać?” Elaine nieraz słyszała potem w uszach te słowa, przez cały czas, ale teraz słyszy też siebie. Nie słowa, nie zdania, ale jakiś zagmatwany efekt ogólny, szybujący stamtąd ku niej lotem błyskawicy, czytelny, zaczarowany skwerem, platanami i gołębiami. „Nie możesz, to trudno, ale nie bardzo wiem, co chcesz dalej robić, nie chodzisz już do szkoły, jesteś starsza, a nie wiesz, na czym stanąć, mówiłaś, że chcesz iść do szkoły aktorskiej, dobrze, w porządku, pamiętaj tylko, że z pracą po takiej szkole...” Nie jestem twoją matką.

Elaine dopija kawę, wyrzuca plastikowy kubeczek do kosza na śmieci. Jest niespokojna, skosternowana, zdetonowana, odczuwa coraz głębszy niepokój. Jest zła na Kath: „Co ty sobie wyobrażałaś? Z Nickiem, Boże kochany...” Kath nie ma już nic do powiedzenia; jest daleko, bezpieczna, poza zasięgiem wycelowanych w nią wyrzutów. Ale będzie tam na zawsze i zawsze będzie prowokować do nowych wyznań.

Sobota. Dzień ogrodu otwartego dla publiczności. Zgodnie z prognozami synoptyków, pogoda jest wspaniała: ciemnobłękitne niebo, smugi postrzępionych cirrusów, świeci słońce i wieje delikatny wietrzyk. Na parking zjeżdżają z drogi kolejne samochody. Bratanek Jima uwija się jak w ukropie. Podobnie Pam; ciągle biega między rabatami a sklepikiem. Niestety brakuje personelu; dziewczyna, która zwykle pomaga przy sprzedaży, dzwoniła z informacją, że nagle zachorowała. Pam więc robi za dwie i nie ma czasu, by krążyć po ogrodzie, uśmiechać się do gości i odpowiadać na pytania. To bierze na siebie Elaine. Jak zwykle pada szereg podstawowych, czasem idiotycznych pytań. Jest jakaś prze-mądrzała kobiecina, która z nadętą miną doradza Elaine, co powinna zrobić ze swoim *Epimedium*. Są niesforne grupki rozbieganych i pokrzykujących dzieciaków. Ale jest także dziennikarz jednej z ważniejszych gazet branżowych, to bardzo dobry znak. Poza tym jest kilku sympatycznych gości, znających się na rzeczy i umiejących docenić czyjaś pracę. Elaine nie powinna narzekać. Jest w dobrym humorze. Chodzi wśród gości i uśmiecha się do nich. Niespodziewanie staje przed nią na środku ścieżki gruba niewiasta w słomkowym kapeluszu i okularach słonecznych.

— Witaj, moja słodziutka, witaj! — szczebiocze.

Za nią stoi ktoś jeszcze, młoda dziewczyna, także uśmiechnięta, także w słomkowym kapeluszu i ciemnych okularach, która jednak ma w sobie coś, co intryguje Elaine. Na wszelki wypadek Elaine obdarza kobiety chłodnym uśmiechem i w tej samej sekundzie je rozpoznaje; kuzynka Linda z córką. Jej matka, ciotka Clare, jest siostrą mamy Kath i Elaine — podobno mieszka w jakimś domu opieki dla starców.

— Och, witaj. — Powitanie Elaine jest nie mniej chłodne niż wcześniejszy uśmiech.

Nie widziała Lindy od wieków i nigdy nie nabrała szczególnej ochoty na spotkanie. Zapamiętała ją z dzieciństwa jako naprzykrzającego się bachora, a ciotkę Clare jako największą nudziarę świata,

wdającą się z mamą w niezdrową rywalizację o to, która lepiej gotuje, która się lepiej ubiera i która ma bystrzejsze i urodziwsze dzieci. Gdy dorosły i założyły własne rodziny, Elaine i Linda słały sobie tylko pocztówki na Boże Narodzenie, choć i to nie zawsze. Na tym się ich znajomość kończyła.

Linda mieszka na Zachodnim Wybrzeżu. Właśnie wraca do domu z córką z wyprawy do Londynu.

— To był pomysł Sophie, spojrzała na mapę i powiedziała: „Mamo, zobacz, będziemy przejeżdżać koło sławnego ogrodu cioci Elaine, pojedźmy do niej, dobrze?”, jak mogłam się nie zgodzić, no więc jesteśmy!

Sophie wystąpiła kroczek naprzód, z nienaturalnie poważną miną. Elaine już wie, co ją zaintrygowało przy pierwszym spojrzeniu. Dziewczyna ma coś z Kath. Na pierwszy rzut oka jej nie przypomina, nie jest nawet jej bladym cieniem, ale ma w sobie jakieś jej błyski, drobnutkie podobieństwa; okrągłość dziurek w nosie, łuk brwi, nawet sposób, w jaki stoi. Geny przodków, przecinając chaotycznie kolejne pokolenia, znalazły się także w tym zażywnym, dziewczęcym okazie o bawolim spojrzeniu, latorośli Lindy.

— Co za spotkanie, bardzo się cieszę — wydusza z siebie Elaine.

Głupi by się nie nabrał, ale Linda uśmiecha się szeroko. Zatacza ręką koło, pokazując ogród; taras z obłokami czerwonych róż i klematisów, trawiastą alejką wytyczoną rzędami wiśniowych piwoonii, szumiące strumyczki, rozrośnięte miłorząby, przystrzyżony trawnik, opadający ku ogrodzeniu, i furtce obrośniętej geranium.

— Pięknie to urządziłaś. Koniecznie musisz do nas przyjechać, ktoś musi zrobić porządek z naszą grządeczką. Zdaje się, że mam ciężką rękę do roślinek.

Elaine czuje, że trudno będzie jej zachować się kurtuazyjnie. Rozgląda się z nadzieją. Może podejdzie ktoś i zapyta, jak nazywają się te niebieskie kwiaty albo dlaczego jego róże pokrywa mączniak? Ale wydaje się, że w ogrodzie panuje idealny porządek, małe grupki zadowolonych gości, wymieniając uwagi, niespiesznie spacerują wśród kolorowych rabat.

Linda zmieniała temat.

— Chciałyśmy też zobaczyć się z Nickiem.

— Niestety, musiał wyjechać — wyjaśnia Elaine, nie mrugnawszy okiem.

Nie ma mowy, żeby namolnej kuzynce opowiadać całą historię; że wyrzuciła męża z domu, bo wyszedł na jaw jego romans z jej siostrą.

Linda jest rozczarowana.

— Oj, to szkoda. Sophie bardzo chciała poznać wuja Nicka. Musisz wiedzieć, że moja córka też pracuje w wydawnictwie...

Linda podnosi głowę i patrzy dumnie Elaine w oczy. Elaine krzywi usta w uprzejmym uśmiechu. Nie, nie, Sophie nie jest podobna do Kath — są tylko te dziwne refleksy.

Linda pyta o Polly. W dwóch zdaniach Elaine opowiada o firmie, komputerach i stronach internetowych. Lepsze to niż tępe uwagi na temat jej ogrodu, choć z drugiej strony, pytanie o Polly przypomina jej idiotyczne licytowanie się osiągnięciami córek między mamą i ciotką Clare.

Sophie trąca mamę w ramię.

— Nie zapomnij...

— Ach, ach, właśnie, my tu gadu-gadu, zaraz... — Sięga do torebki. — Mam coś dla ciebie, Elaine. Przeglądaliśmy ostatnio stare albumy ze zdjęciami i znaleźliśmy takie jedno, które może chciałabyś mieć. Na pewno masz ich wiele, ale mimo wszystko...

Elaine wie, co Linda chce jej pokazać. Na końcu języka ma słowa podziękowania: to miło z twojej strony, ale doprawdy, mam już bardzo dużo zdjęć Kath.

To zdjęcie jednak nie drażni. Kath siedzi na białym krześle ogrodowym, pod parasolem w granatowe pasy. Patrzy w obiektyw uległym, może zniechęconym wzrokiem. To zdjęcie z rodzaju z tych zaskakujących: „Halo, uśmiech proszę!”

— To w naszym ogrodzie — mówi Linda. — Dwa, trzy lata po jej ślubie. Wpadła do nas zupełnie niespodziewanie, jechała do przyjaciół w Kornwalii. Widziałam, że coś ją gryzie, biedactwo, była wyraźnie nie w sosie, coś było z nią ee... nie tak... — Linda rzuca Elaine ukradkowe, pełne żalu, porozumiewawcze spojrzenie. — Co za szkoda...

Elaine wciska fotografię do kieszeni.

— Dziękuję. To miłe z twojej strony. — Nagle się ożywia. — Byłyście już w części parkowej? Zachęcam. W pełnej, wiosennej krasie, choć *Astrantia* dopiero zaczyna się pokazywać. Żałuję, że nie mogę zaprosić was na herbatę, ale cóż, obowiązki. Muszę zostać w ogrodzie na wypadek, gdyby ktoś czegoś ode mnie potrzebował.

Puszcza mimo uszu, co mówiła Linda. Ale słyszała. Zastanowi się nad tym później.

Ale Lindy niełatwo się pozbyć. Zaczyna opowiadać o Kath. Okazuje się, że nie było to ich jedyne spotkanie. Elaine jest zaskoczona; Kath przez wiele lat utrzymywała z Lindą nieczęsty, ale stały kontakt. Dlaczego? Przecież Linda w niczym nie jest podobna do Kath. Wątpliwe, by jej noga kiedykolwiek stanęła w galerii sztuki, muzeum albo sali koncertowej. Z pewnością nigdy nie pojechała na żaden festiwal, nie uczyła się rzeźby, nie malowała, nie zajmowała się fotografią artystyczną. Należy do ludzi, wśród których Kath nigdy nie szukałaby sobie przyjaciół. Dlaczego więc Kath zaprzętała sobie nią głowę?

Linda mówi, że w pamięci zostawał im każdy dzień, w którym Kath pojawiała się w ich domu, bo zawsze odznaczał się czymś szczególnym. Umiała tak tonująco działać na innych... Linda opowiada dalej, oplatając Kath kokonem podniosłych frazesów. Elaine jest coraz bardziej poirytowana. Czy ta kobieta nie widzi, że to parodia? Sprowadza Kath do jakiegoś swojego, wąsko pojętego widzimisię,

robi z niej anioła zbawiciela, anioła stróża, duszę swego domu. Nie ma prawa do tak intymnego tonu. Nie ma prawa do Kath.

Teraz swoje trzy grosze dorzuca ujmująca Sophie. Uwielbiała Kath. To znaczy, wie ciocia, Kath była taka spokojna, taka, no w ogóle w porządku, cudownie wyglądała, była taka wesoła i zawsze miała dla nas jakiś śmieszny prezencik.

— Właściwie wydaje nam się, że Sophie — dodaje Linda — ma coś z Kath. — Czułe spojrzenie na córkę i nagle nuta litosnego żalu w głosie. — Sophie była załamana, kiedy dotarła do nas wiadomość, że... ona... To straszne. Wciąż nie możemy się z tym pogodzić.

Dość. Elaine nie może już tego dłużej znieść. Obie chcą zawłaszczyć Kath. Włóżą w butach do nie swojego domu — co za poufałość, co za bezczelność, co za arogancja.

— Bardzo mi przykro — mówi — ale nie mam już czasu, muszę sprawdzić, jak chłopak daje sobie radę na parkingu. Proszę, obejrzyjcie część parkową, naprawdę warto, to idealna pora roku. Nickowi będzie przykro, że nie udało mu się z wami zobaczyć.

Później będzie się zastanawiać, dlaczego wypowiedziała to ostatnie zdanie. Kuzynka Linda obchodziła Nicka tyle, co zeszłoroczny śnieg. Poza tym Nicka nie ma, nie należy już do tego miejsca. Dlaczego ta pusta uwaga wkradła się między jej słowa? Jakby zależało jej na okazaniu takiej małżeńskiej solidarności i normalnego życia.

Jakiś czas potem słowa Lindy znowu brzmią w jej uszach. „Była wyraźnie nie w sosie, coś było z nią nie tak...”

Ale ów „jakiś czas potem” nadchodzi dopiero po szóstej, gdy ogród pustoszeje, klienci zmierzają do parkingu, a samochody wolno wyjeżdżają na drogę. W końcu także Jim wsiada z bratankiem do swojego czerwonego trucka i odjeżdża, a Pam żegna się i wychodzi z jakimś miejscowym adoratorem do pobliskiego pubu. Elaine zostaje sama. Rzuca okiem na liczbę sprzedanych biletów; może być zadowolona z wysokiej sprzedaży. Zamyka sklepik i z ulgą wraca do domu. Dopiero teraz dopada ją to drugie, mniej sympatyczne wspomnienie dnia. Kuzynka nie znika przed jej oczu i powtarza wciąż to samo. Raz po raz.

Coś się dzieje z jej pustym domem, domem bez Nicka, tchnącym ciszą i spokojem. Na początku było inaczej: znikło nieustające i uciążliwe źródło jej irytacji, nedorzeczne prośby i prowokacje. Jednak na błogie poczucie samotności zaczyna się kłaść cień niepokoju. Jest jej dobrze, naprawdę dobrze, siedzi i wypoczywa po trudnym dniu, w ręku kieliszek wina, w kuchence mikrofalowej jakaś przekąska. Ale wkrada się w to jakaś niepewność. W domu jest zbyt spokojnie. Słyszy tu tylko odgłosy urządzeń; dzwonek telefonu, terkot faksu, elektroniczny sygnał kuchenki mikrofalowej; nic poza tym. Ta pustka ją rozstraja. Elaine nie potrafi usiedzieć w miejscu, włóczy się po mieszkaniu, włącza telewizor. Teraz przynajmniej słyszy jakieś trajkoczące paplanie, przeplatane salwami śmiechu. Gdy mieszkał z nią Nick, towarzyszyło jej co dzień i doprowadzało ją do szewskiej pasji. Teraz to jedyna namiastka

obecności innych ludzi. Wykonuje parę telefonów, niekoniecznych, nie umówionych, chce tylko się czymś zająć, chce robić coś racjonalnego.

Włączyła w telefonie automatyczną sekretarkę, na wypadek gdyby dzwonił Nick. Ale na dźwięk dzwonka szybko podchodzi do telefonu i natychmiast podnosi słuchawkę, jeśli słyszy, że to nie on. Gdy dzwoni Polly, odczuwa radość, a zarazem napięcie. Odpowiada jej ostrożnie, krótkimi zdaniami. W głosie córki wyczuwa zdenerwowanie i obawy, które w chwilach emocji objawiają się rozpaczliwymi prośbami i napomnieniami.

— Proszę... — wzdycha Elaine. — Czy musimy o tym rozmawiać?

— Ale mammo...

On nie ma pojęcia, co robić, mówi roztrzęsiona Polly. (A kiedykolwiek wiedział? — myśli Elaine.) To żalosne, mammo, to wszystko naprawdę jest żalosne. Całymi dniami potrafi się nie golić, a ostatnio przez nieuwagę zepsuł mi pralkę, nigdy nie wiedziałam, że ojciec ma dwie lewe ręce do urządzeń technicznych. Aha, jeśli cię to interesuje, to nie myśl, że szuka jakiegoś mieszkania do wynajęcia, mówi, że woli zostać u mnie.

Nie chce mi się wierzyć, że mój ojciec mieszka w moim domu!

Elaine też trudno uwierzyć. Przez większość czasu jest spokojna, zorganizowana i systematyczna. Bez problemów radzi sobie z codziennymi obowiązkami. Potrafi się doskonale skoncentrować na tym, co akurat robi; czy jest to rozmowa z Sonią, czy wizyta u klienta, czy zapisane na tablicy sprawy wymagające natychmiastowych decyzji. Pracuje pełną parą. Ale coraz częściej przychodzą chwile, kiedy nagle się zamyśla. Wydarzenia ją oszałamiają i czuje się w nich zagubiona. Co się tak naprawdę stało? Nicka nie ma w domu. Nie ma, ponieważ go wyrzuciła. Kath częściej gości w jej głowie, a jej stosunek do siostry nigdy nie był bardziej chimeryczny. Czasem jest wściekła na Kath. „Dlaczego Nick?”, pyta rozdrażniona w myślach. Nieraz usiłuje pochwycić umykający cień Kath, która zdaje się mówić coś, czego Elaine nie słyszy. Czasami zdziwiona jest własną reakcją, zupełnie nie przewidzianą. Czuje się urażona słowami Lindy, wciąż boli ją ten arogancki, poufały ton. Linda była nikim dla Kath, nikim. Nie ma najmniejszego prawa mówić o niej w tak intymnym tonie.

Któregoś dnia Elaine wraca z całodziennej wizyty w odległym sanatorium, gdzie trwa gruntowny remont, a ona zajmuje się nowym planem terenów zielonych. Natychmiast zauważa przed domem, że coś jest nie tak, już kiedy skręca w bramę wjazdową. Początkowo nie kojarzy, ale po chwili spostrzega brak samochodu Nicka. Na alejce przed domem nie ma golfa.

Elaine wchodzi do środka. Sonia jak zwykle zostawiła dla niej pakiet listów i ważnych notatek; o Nicku nie wspomina w nich ani słowem. Na tablicy w kuchni Pam informuje, że na kasztanowcu zauważyła podejrzany grzyb ryzomorfowy. Pod spodem bazgroły Nicka: *Przepraszam, nie było Cię.*

Zabrał jakieś swoje rzeczy z garderoby. Opustoszała szafa mówi sama za siebie. Budzi niepokój, jakąś nieokreśloną trwożę, podobnie jak puste miejsce po samochodzie.

Dzieci często mówią o miłości. „Kocham cię!”, wołają i zaraz pytają: „Ty też mnie kochasz?” Elaine pamięta, że Polly też taka była. Gdy tylko nauczyła się mówić, słowo to padało z jej ust przy najróżniejszych okazjach; w domu, w którym rzadko je dotąd słyszano. Słowo to, zawsze dziwnie niewygodne dla Elaine, rzadko kiedy pojawiała się w rozmowie między nią a Nickiem. Beztróskie używanie go przez Polly przypominało Kath, małą Kath. Kath również obdarzała tym słowem wszystkich dookoła i domagała się tego samego w zamian. „Kochasz mnie?”, pytała, stając raptem przy Elaine i przeszkadzając jej w odrabianiu lekcji, myciu włosów lub przygotowaniach do wyjścia z domu. Elaine słyszy swój głos: „Zwariowałaś, Kath”.

Zwariowałaś, Kath. Jesteś przecież moją siostrą; tylko tyle miało znaczyć to słowo. Siostry nie mówią sobie, że się kochają. W każdym razie ja nie mówię. Ja jestem inna.

TLR

Słuchaj, zerwałam z Danem. To do niczego nie prowadziło. Zwłaszcza w ostatnim tygodniu. Jak najbardziej świadomie i dojrzałe — przynajmniej z mojej strony. No, jestem wolną kobietą! Choć, prawda, ten facet jest całkiem, całkiem... Nie, nie jest, może mógłby być — ale nie ma o czym mówić, bo mogę się mylić.

Tak, tato wciąż u mnie mieszka. No, wiesz, bardzo mi go żal, to jasne, ale z drugiej strony, już nie mogę wytrzymać. Daj spokój, kończę trzydzieści lat i mieszkam pod jednym dachem z tatusiem. Oczywiście, że o tym myślałam, moje mieszkanie jest zarzucone ofertami biur nieruchomości, ale myślisz, że on się nimi interesuje? Ani mu to w głowie! Twierdzi, że najpierw musi się pozbierać, że musi mu się rozjaśnić świat. Czym się mój tato zajmuje? Niby co robi zawodowo? No wiesz, właściwie, ee... w zasadzie to nic nie robi. Najwięcej to mówi o tym, co może robić, i zarzuca się pomysłami, które, jeśliby je realizował, rzeczywiście zapewniłyby mu jakąś konkretną robotę. Nie zawsze tak było. Kiedyś ojciec miał małe wydawnictwo, dawno temu. Chyba nawet dość dobrze prosperujące. Niestety, nie miał smykałki do finansów, pojawiły się jakieś niedobory czy długi, nie wiem dokładnie, w każdym razie firma splajtowała. Na szczęście mama zdążyła w tym czasie stanąć na nogi. Właściwie tato to sympatyczny facet. To znaczy, widzisz, to taki trochę dziesięciolatek, ściślej mówiąc... dziesięciolatek dobiegający pięćdziesięciu ośmiu lat. Mamę doprowadza to do szału, ale on już taki jest, wyrosnięty chłopczyk, podnieca się byle czym. Serce mi się kroi, jak na niego patrzę; snuje się po domu, próżniaczy, nic nie mówi. Nagle wydał mi się jakiś stary.

Mama? Hm, wiesz, myślę, że mama przeholowała, w pewnej chwili straciła zimną krew. Ciągłe mam nadzieję, że to stan przejściowy, bo mama w żadnym razie nie należy do osób, które tracą zimną krew. Już w wieku pięciu lat moja mama wiedziała, czego chce. Oczywiście, to nie jest byle co, ma swoje powody, ale przesadza, co było, to było, koniec i kropka, sprawa zamknięta. Daj spokój, tak dawno temu. Nie chcę się wymądrzać, ale... myślę, że trochę robi tu się z igły widły, wszystkim potrzeba czasu i spokoju. Jezu, rodzin a...

Ech... niby przybrani rodzice? Nie, nigdy nie miałam macochy ani ojczyma, wiesz, jesteśmy bardzo, że tak powiem, staroświecką rodzinką. Ilu!? Kurcze pieczone! Twoja mama jest chyba niereformowalna, hi, hi, hi, seryjny morderca serc.

No nic, tak to w każdym razie wygląda — na mojej sofie leży tatuś, w mojej lodówce stoją puszki jego piwa, w mojej łazience leżą jego brudne koszule, kolejne pomysły na rozwiązanie tej sytuacji tkwią w beznadziejnym zawieszeniu, a mama pyta z wyrzutem, czy musimy o tym rozmawiać. Na domiar złego mam teraz bardzo poważne zlecenie, budujemy potężną witrynę i doprawdy mam dość własnych problemów, nie potrzeba mi więcej.



Sorki, muszę wracać do pracy, uśmiejesz się, ale płacą mi tu za robotę, a nie za gadanie, hi, hi. Zrozum, trudno mi teraz telefonować z domu. Nie chodzi o to, że podsłuchuje, ale... wiesz, po prostu czuję, że straciłam swoją prywatną przestrzeń.

Tak, zaraz, nie, jutro wieczór nie bardzo mi pasuje, umówiłam się z tym Andym.

Och, nic! Po prostu się umówiłam. Skąd mogę wiedzieć, co z tego będzie?

Och... to ty, cześć! Nie, nie. Nic nie szkodzi. Tak, mi się też podobało. Och... Nie, to nie to, wcale nie... Nie zrozumieliśmy się.

To głupie, ale... Chodzi o to, że, no, nie mogłam zaprosić cię do siebie, bo mieszkam ze mną teraz mój tata. No, powiedzmy, tymczasowo. To długa historia. Więc to dlatego, tylko i wyłącznie dlatego.

Och, rozumiem. Myślałaś, że... Ależ skąd! Absolutnie nie. To znaczy, miałam niedawno kogoś, ale to skończone raz na zawsze, trochę mi teraz ciężko, ale to nie ma z tym nic wspólnego, nic a nic, po prostu rozstaliśmy się, to nie miało sensu. Dlaczego mi ciężko? Ee... z powodów rodzinnych... Daj spokój, nie będę ci o wszystkim opowiadać, ledwie się znamy.

Naprawdę? O, to miło. Szczerze mówiąc, mało który facet by chciał. Faceci wolą nie wiedzieć. Słuchanie nie jest ich najmocniejszą stroną. Właściwie na tym polegał podstawowy kłopot z tym... z tą osobą, z którą już nie jestem. Czułam, że nie było go wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowałam. Wiesz, co mam na myśli? Jezu, robię z siebie jakąś cierpiętnicę, może ci się wydawać, że mam same problemy, ale to nieprawda, po prostu jeśli człowiek się z kimś wiąże, to ma prawo oczekiwać... Ech... dajmy spokój, muszę kończyć, za pół godziny mam bardzo ważne spotkanie z klientem.

Czwartek? Myślę, że tak. W czwartek powinnam znaleźć trochę czasu.

Mamo? Jak się czujesz? Wszystko w porządku? To dobrze. Bo u mnie nic a nic nie jest w porządku. Po pierwsze dotarło do mnie, że z powodu ojca nie mogę nikogo zaprosić do domu, nie chodzi o koleżanki z pracy, wiesz chyba, o czym myślę, prawda? To mi jest bardzo nie na rękę, zwłaszcza teraz, bo... no wiesz, poznałam kogoś, to bardzo ciekawy chłopak.

Mamo, przecież ci mówiłam, że z Danem już zerwałam.

Wczoraj go nie było. Nie, nie tego chłopaka — ma na imię Andy tak na marginesie. Taty! Taty nie było. Normalnie siedzi o tej porze przed telewizorem, czasem popija. Nie chciałam ci o tym mówić, ale uważam, że powinnaś wiedzieć. Wciąż nie wracał i około jedenastej zaczęłam się denerwować — jak matka, której nastoletni synek wyszedł na dyskotekę. Co chwilę patrzyłam na zegarek i wyobrażałam sobie Bóg wie co, wypadek, napad, sama już nie wiem.

Samochód? Oczywiście, że przed domem nie było jego samochodu. Zresztą on nie ma pojęcia o parkowaniu w Londynie, notorycznie parkuje przy żółtej linii i niemal co dzień dostaje mandat. Był zły, że nie zastał ciebie, kiedy pojechał po golfa. Powiem prosto z mostu, pojechał tam właściwie tylko po to — chciał zobaczyć się z tobą, a nie zabrać samochód.

O tak, wrócił w końcu, po pierwszej w nocy. Jasne, że nie spałam, chciałam już dzwonić na policję. Tłumaczył, że wyjechał gdzieś daleko za Londyn, bo musiał się z kimś zobaczyć. Kiedy wracał, gdzieś się zatrzymał, a do tego parę razy gubił drogę. Potem poszedł spać, a ja, oczywiście, byłam tak roztrzęsiona, że do rana nie mogłam zmrużyć oka i dzisiaj widzę podwójnie, marzę tylko o łóżku, akurat wtedy, gdy goni mnie termin zlecenia, cholera, bardzo mi to wszystko potrzebne... Nie, nie był pijany.

Mamo, wybacz, ale jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, czy on pamięta o przeglądzie technicznym, to sama go sobie zapytaj.

TLR

Nie! — krzyczy Oliver, obracając się gwałtownie na krześle. — Nie ma mnie!

Ale Sandra jest mało sympatyczna — prawdę mówiąc, nie da sobie nic powiedzieć.

— Pan Hammond raz już dzwonił. — Sandra stanowczo wyciąga w jego kierunku rękę ze słuchawką.

Czyżby wiedziała, kto to jest pan Hammond?

Oliver próbuje zabić Sandrę wzrokiem, ale w końcu się poddaje, wstaje, przemierza szybkim krokiem pokój i chwyta za słuchawkę.

— Och, Nick. Cześć.

Jest wściekły. Czy to się nigdy nie skończy? Najpierw Glyn. Teraz Nick. Boże, uchronń mnie tylko przed Elaine! Ledwie słucha tego, co Nick mówi. Roztrajkotał się na dobre. Chciałby się spotkać, tak długo się nie widzieli, nic o sobie nie słyszeli. Muszą się zobaczyć.

— Tak, Nick, oczywiście, chętnie się spotkam, ale jestem zawalony robotą — mówi Oliver, wspomina o nawale pracy, napiętych terminach, cholerycznych klientach. — Może jesienią?

Sandra zaciekawiona podnosi głowę i słucha.

Nick nalega. Mówi nieskładnie, urywanymi zdaniem. Zdaje się, że tłumaczy oględnie, dlaczego nie można zastać go w domu, miał problemy, wciąż ma, chciałby porozmawiać o starych czasach. Jest dziwnie natrętny.

Nie! — rozpacza w myślach Oliver, bezgłośnie i bezbrinnie. Nick dodaje, że nie ma wiele do roboty, tak się akurat składa, więc chętnie do niego przyjedzie. Będę około szóstej, w porządku? Przyjadę do biura, tak, mam adres, wyciągnę cię na dobrą kolację.

— Tak, dobrze, ale... akurat dzisiaj wieczór... — protestuje słabo Oliver. — Dzisiaj...

Nick odłożył już słuchawkę. Sandra patrzy na Olivera pytającym wzrokiem.

— Przypomnij mi tylko, kto to jest ten Hammond?

Kiedy Nick wchodzi do biura, Oliver jest przerażony. To jest Nick? Nie może być. Ten tęgawy, łysiejący pan z dużym brzuszkiem? Ze strutą miną i worami pod oczami? Owszem, czasu nic nie zatrzyma, wszyscy się starzejemy, jedni szybciej, inni wolniej, ale Nick? Przecież on zdawał się być wiecznie młody. Innym stuknęła czterdziestka, ba, zbliżali się do magicznej pięćdziesiątki, a Nick jakby ugrzązł gdzieś w wieku dwudziestu ośmiu lat i ani rusz dalej. No, ale... widać Nick też nie jest wyjątkiem.

Nick od progu zaczyna mówić, bez żadnych wstępów — o uciążliwej jeździe, o nisko chwytającym sprzęgle, o gmatwaniu jednokierunkowych ulic. Zmęczony i rozstrojony człowiek, od razu to widać.

Oliver bierze się w garść. Sandra przypatruje się obu mężczyznom z zainteresowaniem — jest jeszcze w biurze, wyjaśniła Oliverowi, że ma dodatkową pilną robotę i musi zostać po godzinach, pewnie do wieczora.

— Witaj, Nick. — Oliver się uśmiecha serdecznie, ale z rezerwą, ze względu na Sandrę, to stosowne powitanie współnika firmy. — Miło cię widzieć. Pozwól, to Sandra Chalcott, współniczka. — Odwraca się do Sandry. — To my wyjdziemy coś przekąsić. Do zobaczenia.

— Lubisz curry? — pyta chwilę później Nicka. — Niedaleko stąd jest miła restauracyjka.

Prowadzi go na drugą stronę ulicy. Nick nie przestaje mówić. Przynajmniej pod tym względem nie zmienił się ani na jotę. Oliver ma jednak wrażenie, że mówi bez ładu i składu, plecie trzy po trzy, jakieś błahostki i głupstwa. Mówi, że większość czasu spędza teraz w Londynie, że niedługo zabierze się do książki o londyńskich skwerach, to fascynująca sprawa, skwery są takie czarujące. Pozdrowienia od Polly; na pewno pozdrowiłaby Olivera, gdyby wiedziała, że się z nim zobaczy, ale nie wiedziała. Elaine jest niesamowicie zajęta, nic tylko praca i praca, trudno ją zobaczyć w ciągu całego tygodnia. Myślał, żeby napisać coś większego o Brunelu, ale jakoś wciąż nie może się do tego zabrać; tyle rzeczy się dzieje...

Wreszcie zamilkł nad kurczakiem tikka masala. Patrzy w talerz. Włosy nie spadają mu już na czoło, nie zasłaniają oczu, zauważa Oliver. Uciekły w tył, odsłoniły jego twarz. Bez takiej osłony Nick wydaje się bardziej wystawiony na rażą, bardziej nieporadny i bezbronny.

Nick podnosi wzrok. Odkłada widelec i bierze do ręki piwo. Pije długo.

— Właściwie, wiesz, jestem w kłopotcie.

Obrzuca Olivera spłoszonym, dzikim spojrzeniem. Robi wrażenie uczniaka wezwanego do dyrektora na dywanik. Za zapadniętymi policzkami i podkrążonymi oczami widać zruganego szesnastolatka.

— Hm... — Oliver przybiera neutralny wyraz twarzy: jeśli chcesz, mów dalej, ale...

— Elaine jest wściekła na tę fotografię. Pamiętasz zdjęcie ze mną i Kath?

Oliver wpatruje się w kawałek jagnięciny korma.

— Tak — mówi wreszcie. Nick odsuwa talerz na bok.

— Wściekła się jak nigdy.

— Wiem — mówi Oliver.

— Wiesz?

Oliver wzdycha ciężko. Niech to wszystko szlag trafi!

— Był u mnie Glyn.

W oczach Nicka czai się panika.

— O, Boże! Co chciał?

— Chciał wiedzieć, czy Kath... czy Kath tak często... Czy lubiła romansować.

— Co powiedziałaś?

— Powiedziałem, że nie wiem, a co byś ty powiedział?

Nick waha się. Sprawia wrażenie, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał — to obrazek, który nieczęsto można u Nicka zobaczyć.

— To samo. Cisza.

— Cholerny zbieg okoliczności — odzywa się w końcu Oliver. — Ale nie wiem, co ja mam z tym wszystkim... — Milknie i zaczyna nagle jeść jagnięcinę.

To jemu, niewątpliwie, przyjdzie uregulować rachunek, szkoda więc, by zmarnował się ciepły obiad.

Nick uderzył w wyższy ton. Nerwowo wyrzuca z siebie nieskładną litanię uwag i pretensji. Ależ oczywiście, że Kath romansowała, na pewno romansowała, przy niej zawsze krążyli jacyś faceci, prawda? W końcu była tak piękna, tak pociągająca. Ale to nie dlatego. Nie chodziło przecież o byle baraszkowanie, prawda? Przynajmniej nie mnie. Naprawdę, Olly, nie wiem, co wtedy we mnie wstało. Albo w nią, zależy jak na to spojrzeć. Wariactwo. Głupota. Ale bez względu na wszystko, to już nieważne!

Stare dzieje, wszystko już skończone, po co do tego wracać, po co to wszystko? Wiesz, to niesprawiedliwe. Elaine jest taka... Nie będę o niej mówił, ale nie zdziwię się, jeśli nie wytrzymam. Ja się mogę załamać psychicznie, to może być dla mnie zabójcze. Jestem w potwornym stanie. Ktoś musi coś zrobić...

Oliver słucha piąte przez dziesiąte. Myśli o Kath. Nagle urosła do postaci mitycznej, rysowanej w dowolny sposób przez kolejnych narratorów. Każdy widzi w niej coś innego, każdy teraz decyduje, jaka była i jak miały się jej sprawy. Znowu wydaje mu się niesprawiedliwe, że Kath odebrano prawo głosu w tej zamieci słów.

Przerywa Nickowi.

— Kochałeś ją?

Nick milknie, niczym wstrzymana w pół taktu katarzynka. Patrzy na Olivera mocno zaskoczony.

— Oczywiście, ja... — zaczyna — Naturalnie, przecież... To znaczy, wiesz, kiedy człowieka coś takiego spotyka, nigdy do końca nie wie, czy... — Nick przysuwa sobie talerz, bierze do ręki widelec i zaczyna jeść.

Nie, myśli ze smutkiem Oliver. Nie kochałeś. Nick otrząsa się z zamyślenia, wraca do poprzedniego wątku.

— Chodzi o to, że pomogłoby całej sprawie, gdybyś porozmawiał z Elaine.

Oliver wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

— O czym?

Nick westchnął; głuche, nerwowe, smutne westchnienie — wstęp do wyznania.

— Wyrzuciła mnie z domu, Olly, to wszystko.

Zaskoczony Oliver chwilę się zastanawia nad tym, co właśnie usłyszał. Dziwi go taka emfaza w reakcji Elaine.

Przez te wszystkie lata przyzwyczyił się, że Elaine podejmuje wyważone decyzje, a poza tym wszystko puszcza Nickowi płazem. Nie ma co, to musiało być niespodziewane uderzenie.

— Chcę wrócić do domu — powiedział cicho Nick płaczącym tonem siedmiolatka, który się nie może doczekać mamy.

Olivera ogarnia czarna rozpacz. Ma ochotę odpowiedzieć Nickowi, że prowadzi firmę wydawniczą, a nie poradnię małżeńską, ale powstrzymuje go jakieś ledwie rozpoznawalne, piekące, irytujące poczucie lojalności wobec dawnego wspólnika w interesach. Na litość boską, przecież nie odpowiada ani za Nicka, ani za jego decyzje.

— W końcu to ty zrobiłeś zdjęcie — zauważa Nick. Oliver rzuca się na krzesło.

— Nie! — wrywa mu się.

Goście przy sąsiednim stoliku, zaintrygowani, odwracają ku nim głowy.

— Ależ tak.

— Mam na myśli co innego. Nie dam się w to wplątać, Nick. To absurd, żebyś zaczął mnie obwiniać.

— Wcale cię nie obwiniam — mówi słodkim głosem Nick. Teraz wydaje się opanowany. Spokojnie je kurczaka, przełyka, milczy przez chwilę. — Chodzi tylko o to — mówi dalej — że w pewnym sensie jesteś w to wplątany.

— Nie jestem — odparł ponuro Oliver.

— Elaine bardzo cię lubi.

— Nie widziałem jej od lat.

— Zawsze mówiła, jaki jesteś rozważny i przewidujący, oczywiście w przeciwieństwie do mnie. Wydaje mi się, że nieraz zastanawiała się nad tym, dlaczego nie wyszła za kogoś takiego jak ty, że z tobą byłoby jej lepiej niż ze mną. — Nick uśmiecha się szeroko. — Nic nie szkodzi. Nigdy mi to nie przeszkadzało. Zawsze umiałem się dogadać z Elaine.

To się dogadaj, myśli kwaśno Oliver.

— Elaine kompletnie straciła panowanie nad tym, co robi. Sama jest zagubiona. Wystarczy, że porozmawia z nią ktoś, kogo ceni. Ktoś taki jak ty, Olly.

Oliver patrzy na niego groźnie spode łba.

— Chodzi tylko o to, by przemówić jej do rozsądku, by zrozumiała, że sobie nie zasłużyłem na takie potraktowanie... — Nick znowu przybrał płaczący ton. — Rozumiesz? Wiem, popełniłem błąd i zrobiłem głupstwo, to nie było w porządku. Ale co teraz mogę zmienić? Przecież nie ma powodu, żeby wpadać w paranoję. Glyn wszędzie węszy, a Elaine zachowuje się, jakbym obrabował bank.

— Nie.

— Co nie?

— Nie. Nie porozmawiam z Elaine.

Nick patrzy w milczeniu na Olivera.

— Jak uważasz — mówi nadąsany; robi wrażenie osoby głęboko urażonej w swej dumie. — Twoja decyzja. Sądziłem, że może jednak czujesz się trochę... zamieszany w tę sprawę. Ale nic. Nie ma o czym mówić.

Dojadają obiad; czasem wymieniają jakieś nieważne uwagi. Kiedy kelner przynosi rachunek, Nick zastyga w posepnym milczeniu. Płaci Oliver.

Wychodzą i żegnają się przed restauracją.

— Miło było cię widzieć, Olly — mówi Nick.

Uśmiecha się nieznacznie. Udaje mu się przybrać dobrotliwy, pełen przebaczenia wyraz twarzy. Odchodzi, zostawiając Olivera pełnego złości i poczucia winy.

TTLR

Jakieś kłopoty z kolegą? — dopytuje się Sandra.

— Och, nic ważnego — odpowiada szybko Oliver.

— Nie wysilaj się. Wiem, jak poznać mężczyznę, którego „nic ważnego” wytrąca z równowagi.

Leżą w łóżku. Trudno stąd o drogę ucieczki.

— Ee... zawsze taki był — wzdycha Oliver.

— Najpierw ten Glyn — wylicza Sandra. — Teraz Nick Hammond. Twój dawny wspólnik, tak?

Z kolei ten Glyn to mąż siostry Nicka żony, dobrze zapamiętałam? Tej, która nie żyje?

Nie może być mowy o ucieczce. Oliver przytakuje głową.

— I raptem po latach, ni stąd ni zowąd, tak bardzo jesteś im wszystkim potrzebny? Wyszły na jaw jakieś stare sprawy?

Oliver namyśla się przez chwilę, czy nie powiedzieć wszystkiego Sandrze. Och, wiesz, nic takiego, po prostu Glyn znalazł stare zdjęcie, które zrobiłem podczas jakiejś wycieczki, świadczące o tym, że Nick miał romans z Kath. Oliver od razu wie, że tak nie powie. Gołe fakty zniekształcają rzeczywistość jak krzywe zwierciadło. Prawda, one się wydarzyły, ale też zaciemniają obraz i prowadzą do fałszywych wniosków. Nie tłumaczą, jaki był Nick ani jaki był Glyn, a przede wszystkim, jaka była Kath i kim była Kath. Bez balastu pełnych osobowości, bez pełnej wiedzy, jak wyglądały wtedy sprawy, ocena może być tylko powierzchowna, a rozumienie uproszczone i odruchowe; takie, jak odruchowy wymach nogi po uderzeniu młoteczkiem w kolano. Oliver dobrze wie, jakiego komentarza może się spodziewać ze strony Sandry.

Ona jednak czeka. Najwidoczniej będzie to jeden z tych nielicznych przypadków, kiedy Sandra postanawia wywęszyć coś więcej o przeszłości Olivera. Zna już objawy takich myśliwskich zachowań.

— Chodzi tylko o uściślenie faktów — wyjaśnia. — Trzeba zrekonstruować jakieś daty, takie tam...

— Stare interesy? — pyta dalej Sandra. — Wydawnictwo? — Jej głos jest szelmowsko słodki, niemal prześmiewczy.

Oliver nie umie kłamać. Zaczyna się gubić.

— To znaczy, w pewnym sensie... tak myślę... sam nie wiem. Mogę się tylko domyślać.

Następuje wymowne milczenie.

— Rozumiem — mówi wolno Sandra. Po chwili:

— Ten Glyn to przystojny facet, prawda? Ma w sobie mnóstwo uroku. Mówiłeś, że jest wykładowcą?

— Tak. — Oliver przymusza się do długiego, bardzo sugestywnego ziewnięcia. — Padam z nóg, kochanie. Chyba już...



— A ta żona? — ciągnie Sandra. — Ta, która nie żyje. Miała na imię Kath, tak? Jakoś nie umiem jej sobie wyobrazić poza tym, co mówiłeś, że była bardzo atrakcyjną kobietą. Dobrze ją znałeś?

Oliver jest już w pełnym odwrocie. Czule, pojednawczym gestem, kładzie dłoń na udzie Sandry, wzdycha z przesadną udręką i z nadzieją odwraca się na drugi bok. Po dłuższej chwili Sandra daje za wygraną, też odwraca się na bok. Zapada cisza.

Upłynie jednak sporo czasu, nim Oliver zaśnie. Przed jego oczami kroczą niespiesznie tłumy Nicków, Glynów i Elaine. Przede wszystkim Kath. Widzi i słyszy ją wyraźnie. „Cześć, Oliver!”, woła od progu, gdy wpada do jego biura w stodole: „Gdzie są wszyscy?” Siedzi przy oknie w kuchni Elaine i zaplata warkocze małej Polly. Stoi przy Nicku, przy rzymskiej willi, tamtego dnia, on podnosi do oka aparat fotograficzny. Kiedy Oliver zapada w senny stan, w półmrok między jawą a snem, Kath ciągle przy nim jest, ale młoda, młodziutka, dziewczynka, Kath, jakiej nigdy nie znał, i opowiada o miłości. Jednak Oliver nie zapamiętuje już jej słów.

TLR

Glyn ma urodziny. Przypomina sobie o nich dopiero wtedy, gdy przypadkiem widzi datę w porannej gazecie. Nie lubi obchodzić urodzin. Ale oczywiście wie, ile ma lat — sześćdziesiąt dwa. Data w gazecie to niemiłe przypomnienie o bezlitosnym procesie upływu czasu. W gruncie rzeczy przemijanie to dla niego codzienność; materia, którą się zajmuje zawodowo. Jeśli jednak dotyczy człowieka osobiście, myśli Glyn, to trochę tak, jakby usłyszeć za plecami szydery śmiech losu: tak, tak, ty bracie również.

Jest sobota. Na weekend zaplanował porządkowanie domowych rachunków i trochę pracy koncepcyjnej nad nowym artykułem. To ma podziałać terapeutycznie. Od pewnego czasu Glyn znajduje się w dziwnym stanie. Jest tego świadom. Wie, że funkcjonuje normalnie, ale często się teraz zdarza, że jego myśli potrafią opuścić go nagle i wałęsać się nie wiadomo gdzie. To się dzieje samowolnie i wydaje mu się, że nie potrafi nad tym zapanować. Jak sięga pamięcią, zawsze potrafił doskonale pracować; praca to jego imperatyw. W każdej chwili i w każdych okolicznościach potrafił przestawiać się na tryb pracy. Teraz tak nie jest. Bywa, że długo wpatruje się w ekran monitora. Bywa, że nie przewraca stron w książce, którą trzyma w dłoni. Bywa, że czyta, ale nie pamięta, co przed chwilą przeczytał.

Kath. To jej wina. Tyle tylko, że z przypisywaniem winy również dzieje się coś dziwnego. Glyn odkrywa, że jego początkowy poryw, by zdemaskować winę Kath, jej dwulicowość i uwikłanie w sieć romansowych podejrzeń, wyparowuje gdzieś gwałtownie. Dotychczasowe spotkania — z Claverdonem i jego „drugą połową”, z Hapgoodami, z portretem Kath i jego nadwornym strażnikiem — zniweczyły w nim wszelki zapal i podkopały sens działania. Czuje zakłopotanie, a nawet ma wrażenie, że dały mu nauczkę. Nie interesuje go już obsesyjna pogoń za tym, co Kath mogła zrobić i z kim. Za uważa, że nawet Nick go nie obchodzi.

Często za to myśli o Kath. Pojawia się przed ekranem monitora, nakłada się na jego tło, na zapisywaną mozolnie stronę. Glyn jej słucha.

Ale dzisiejszego ranka ma zamiar sumiennie pracować. Z zaciętą miną rusza do gabinetu.

Naraz odzywa się dzwonek u drzwi. To Myra. Z urodzinowym uśmiechem na twarzy i ślicznie opakowanym upominkiem, którym okazuje się wiktoriańska porcelana, nawet ładny drobiazg. Glyn przyjmuje jedno i drugie z wyrazem wdzięczności, ale Myra bynajmniej nie pasuje mu do dzisiejszego dnia. Absolutnie nie. Niepisane reguły ich związku jasno mówią, że spotykają się u niej w domu, wyłącznie u niej. Dotychczas Myra odwiedziła go dwa, najwyżej trzy razy, przy jakiejś przypadkowej okazji. Jeśli Glyn natknie się na nią na uniwersyteckim korytarzu, kłania się jej z miłym uśmiechem, jak każdemu innemu pracownikowi uczelni. Trudno oczywiście przypuszczać, by ich związek był dla innych tajemnicą, ale przynajmniej był niewidoczny i nikt o nim nic nie mówił. Kiedy razem gdzieś

wychodzą, co dzieje się rzadko, Glyn zapobiegliwie organizuje wyjście z dala od miejsc, gdzie mogliby spotkać znajomych.

Zaprasza ją do kuchni i robi kawę. Nie wypadalo inaczej. Zresztą, prawdę mówiąc, jej przyjscie dodalo mu skrzydel. Szczegolnosc dzisiejszej daty wywolala w nim poczucie osamotnienia i ckliwego uzalania sie nad soba — poczucie mu obce. Zwykle twardo broni swej prywatnosci.

Myra zbliża się do pięćdziesiątki. Ma za sobą nieudane małżeństwo, o którym Glyn nie ma zamiaru słuchać; powiedział to jasno. Myra ma dojrzałą, południową urodę. Jest pełna życia i energii, której Glyn lubi się czasem poddawać. Zwykle te momenty są wybierane przez niego; w ciągu kilku lat ich wspólnego pożycia Myra doskonale nauczyła się przestrzegać wyznaczonych granic. Jeśli na początku myślała jeszcze o głębszym związku i większych zobowiązaniach, to dawno już porzuciła nadzieje. Także Glyn przywykł już do myśli, że jeśli przy Myrze pojawi się ktoś bardziej przyszłościowy, to będzie zmuszony usunąć się w cień. Teraz o tym nie myśli. Jeśli rzeczywiście do tego dojdzie, to cóż, trzeba będzie się jeszcze rozejrzeć dookoła.

Życie seksualne z Myrą przynosi mu satysfakcję i radość. Także z jej strony dostrzega oznaki zadowolenia. Jednak ta intymność stepiona jest świadomością, że ich związek to przede wszystkim układ, mający przynosić obopólne korzyści. Kiedy jest z Myrą, Kath znika z jego myśli. Nie dlatego, że Myra mogłaby ją zastąpić. Raczej dlatego, że nigdy nie pojawia się na tej samej płaszczyźnie co Kath.

— Pracujesz, prawda? — pyta Myra.

— Tak, pracowałem — odpowiada Glyn, ale dziwna apatia w jego głosie daje jej niewielką przewagę.

— Taki ładny dzisiaj dzień.

Zgadza się, że tak, rzeczywiście ładny. Powoli zaczyna odgadywać, do czego Myra zmierza. Nie minęły trzy minuty, a Glyn przystaje na jej plan. Wycieczka. Wyjazd na łono natury. Spacer, może lunch za miastem. Albo... jeśli się uda, zrobiła już pierwsze rozeznanie, jest taka zabytkowa posiadłość wiejska, otwarta dzisiaj dla publiczności. Ale... może już tam był.

Nie był. I właściwie nie ma nic przeciwko temu, żeby tam zajrzeć. Myra czuje, że ma dzisiaj szczęście. Glyn się zgadza. Sam się sobie dziwi. Przedtem jednak musi zająć się korespondencją, która od jakiegoś czasu leży na jego biurku, a zwłaszcza kilkoma pilnymi listami.

Myra jest wniebowzięta. Nie ma problemu, znajdzie sobie coś do roboty. W ciągu następnej godziny pozmywała naczynia, opróżniła lodówkę z różnych przeterminowanych produktów, zapakowała śmieci do dużego worka i przygotowała go do wyrzucenia, a na koniec odkurzyła mieszkanie. Zrobiła wszystko, czego Glyn może się po niej spodziewać, i między innymi dlatego woli utrzymywać między nimi dystans. Jego podziękowanie nie jest zbyt wylewne.

Ona to zauważa i stara się zachować taktownie.

— Obawiam się, że trochę mnie poniosło — mówi przeproszającym tonem. — Znasz mnie, wiesz, że lubię porządek.

Owszem, zna. Myra przypomina mu, że jej mieszkanie to ideał domowego ładu i zacisza, nie licząc łóżka, w którym ma znaleźć pociechę.

— Zresztą ty nie masz czasu ani chęci, prawda? Gosposia, która u ciebie sprząta, wyraźnie nie zauważa pewnych newralgicznych miejsc. Oczywiście twoja żona nigdy by...

Stop. Posunęła się o krok za daleko. Kath to temat tabu. Glyn wpada jej w słowo.

— Kath nigdy nie zaprzętała sobie tym głowy — ucina stanowczo.

Myra jest trochę zmieszana, nie wie, co myśleć. Czy Glyn chce przez to powiedzieć, że Kath zaniedbywała domowe obowiązki? Czy może, że była ponad takie trywialne rzeczy? W każdym razie rozumie, że przeciągnęła strunę, i szybko dokonuje rozsądnego odwrotu; sięga do torby, wyciąga mapę i proponuje, by się zastanowić, jak najprościej dojechać do wiejskiej posiadłości.

Glyn się orientuje, że wycieczka jest dobrze przemyślana. Nie pozostaje mu nic innego, jak docenić i pochwalić strategiczne talenty Myry. Łatwo dał się złapać w sidła, nie stawiał nawet tak wielkiego oporu, jakiego można by się po nim spodziewać. Raz jeszcze uświadamia sobie, że jest z nim coś nie tak. Dopuścił, by Myra nim manipulowała, rzecz nie do pomyślenia. Może Glyn zapada w niezwykle letarg, gdy w grę wchodzi praca? Bo przecież chętnie zobaczy posiadłość, która datuje się bodaj na czternasty wiek i na pewno odkryje przed nim jakieś swoje tajemnice warte poznania.

Glyn prowadzi samochód. Myra jest pilotem, wokół czego robi wiele szumu. Upaja się sukcesem swego przebiegłego spisku. Myśli o ich związku i być może widzi w swym triumfie zachwianie dotychczasowego porządku, złamanie nieustępliwego stanowiska Glyna. Mówi nieprzerwanym potokiem słów i nie dostrzega, że Glyn jest bardziej wyciszony niż zwykle, jakby nieobecny. Gdy Myra się rozgada, często gubi myśl i skacze z tematu na temat. Nigdy to nie przeszkadzało Glynowi, dla którego słowa Myry nie były tym samym, czym jej wygląd, i który, gdyby tylko chciał, w każdej chwili zdominowałby ją w rozmowie. Dzisiaj jednak nie chce. Myra ma wolną rękę, mówi cały czas, dopóki nie docierają do celu podróży. Mówi nawet dalej, ucisza ją dopiero przewodnik, który zaczyna oprowadzać gości.

Zabytkowa posiadłość wiejska jest dla Glyna przede wszystkim fascynującym zbiorem znaków i zakodowanych odniesień. Mało interesują go odgrudzone grubą liną meble, rękodzieła i eksponaty złupione w ciągu stuleci podczas zamorskich wypraw kolejnych angielskich pokoleń. Całą uwagę intuicyjnie skupia na tym, by odgadnąć treści, jakie kryją nagromadzone tu dobra. Jak ta budowla wpłynęła na środowisko? Co zniknęło pod tym założeniem parkowym? Pod tym jeziorem? Jak dalece wpłynęło to na rozwój miejscowej gospodarki?

Z kolei dla Myry, co staje się coraz bardziej oczywiste, wiejska posiadłość to tylko dodatek do całkiem przyzwoitej kafeterii i sympatycznego sklepiku z pamiątkami. Wycieczka jest tylko *hors*

*d'oeuvre*, niezbędnym wstępem, na który może od biedy przystać, traktując go jak zwykły obowiązek służbowy i okiem prawdziwej gospodyni domowej zwracając uwagę na detale. Kręci głową na widok pajęczyny pod sufitem lub zakurzonych powierzchni mebli. Ale obrazy także przyciągają jej wzrok i szybko dołącza do Glyna, który ogląda dzieła sztuki w najbardziej wystawnym pomieszczeniu.

Tematem obrazów jest albo seks, albo sława, jeśli nie liczyć paru scenek rodzajowych, jednej martwej natury z kwiatami i kilku, niezrozumiałych w tym kontekście, motywów zarżniętych zwierząt. Seks skrywa się za maską mitologii. Nie ma wątpliwości, o co tu chodzi, myśli Glyn, przechodząc od leżącej różowej nimfy, połykanej głodnym wzrokiem przez Bachusa, do Ledy o skórze białej jak kość słoniowa, wciśniętej pod skrzydła grzesznego łabędzia.

— Oho... — mówi Myra. — Popatrz tylko!

Glyn nie zwraca na nią uwagi. Myśli o sławie, która zdaje się tu płonąć zewsząd jaskrawymi płomieniami. Z turni spogląda potężny Napoleon w generalskim płaszczu; na zakrwawionym pokładzie okrętowym umiera Nelson; wśród tysięcy rzymskich włóczy błyszczy srebrna zbroja Cezara. Glyna nie zastanawiała dotąd sława czy geniusz. Bardziej go pociągały bezimienne masy ludzi i przemiany, jakich dokonywali swą ciężką, codzienną harówką. Przechodząc od płótna do płótna, widzi teraz, że motyw sławy przerasta obiekt malarski, że sława usuwa swoich bohaterów w cień i zaczyna żyć własnym życiem — bohaterowie dryfują dalej, a pozbawieni kontekstu stają się tylko ikonami. Każdy ich zna, ale tylko jako symbole i wizerunki. Tak są ci ludzie odbierani, tak są i zawsze będą portretowani.

Myra zaczyna okazywać coraz większe znużenie. Myśli już o lunchu. Niemal siłą przeciąga Glyna z sali do sali. Glyn jest uległy jak nigdy, daje się jej prowadzić, zatopiony w myślach, które jednak nie biegną już ku muzealiom i najbliższemu otoczeniu — gobelinom, białej broni, muszkietom i inkrustowanym sekretarzykom — lecz ku zupełnie innym sprawom.

W kafeterii rządu przejmuje Myra. Sadza Glyna przy jednym ze stolików, bierze tacę i rusza na podbój baru. Po chwili wraca z talerzami pełnymi jedzenia i dwoma kieliszkami wina. Glyn nagle jakby sobie o czymś przypomniał i sięga do kieszeni po portfel.

— Ja stawiam, to twoje urodziny — mówi Myra z przejęciem i unosi kieliszek. — Na zdrowie!  
— Patrzy mu w oczy. — Marnie wyglądasz, Glyn. Chyba nie stało się nic złego?

Glyn otrząsa się z zamyślenia. Odpowiada żywo, że wszystko jest w najlepszym porządku. Myrze udało się dziś opanować dużą część jego terytorium. Na więcej nie pozwoli; dość uległości. Osobiste wyznania w ogóle nie wchodzi w grę, nigdy nie wchodziły. O samej Kath Myra wie od Glyna tylko tyle, że nie żyje. Od innych wie z pewnością wiele więcej.

Glyn wraca z dalekiej podróży. Przypomina sobie, gdzie są. Uśmiecha się, opowiada Myrze o zmiennych losach wielkich fortun właścicieli ziemskich, czemu Myra przysłuchuje się z autentyczną uwagą. Glyn chce jak najwierniej przybliżyć jej miejsce, w którym się znalazła, długo opowiada, ale

tuż przed erą wiktoriańską jego zapal zaczyna wygasać. Myra korzysta z przerwy w wykładzie, proponuje kawę i wstaje, by kupić ją przy barze. Kiedy wraca, zaczyna mówić o synu, który studiuje mechanikę. Myra chciałaby się poradzić Glyną w pewnej sprawie. Glyn zawsze się opiera temu, by sztucznie przyjmować rolę ojca. Konsekwentnie unika wizyt u Myry pod obecność chłopca. Glyn broni się, wypija szybko kawę i namawia ją do spaceru po ogrodach.

Myra idzie jeszcze do toalety. Glyn wychodzi na taras, z którego roztacza się widok na bujną zieloność południowej Anglii. Patrzy przed siebie i czuje, że dołącza do niego Kath. Pojawia się nagle, nie tylko w głowie, raczej otacza go ze wszystkich stron. Jest z nią razem, dawno temu, w jakimś podobnym miejscu, do którego zaciągnął ją w tamtym gorącym okresie pierwszych zalotów. Stoją na przedpiersiu jakiejś fortyfikacji i spoglądają na gęsto zadrzewiony park. Ona dotyka dłonią jego ramienia: „Jest coś, czego nigdy mi nie mówisz...”, a po chwili: „To bez znaczenia”. Do dziś słyszy te słowa: „Jest coś, czego nigdy mi nie mówisz...”

Wraca Myra. Ruszają wolnym krokiem do ogrodów, zgodna para czerpiąca przyjemność z niedzielnej wycieczki, wśród innych spacerujących par, wśród rodzin, rozsianych wszędzie uczestników autokarowych wycieczek. Pogoda jest wspaniała, róże są cudowne. Myra promienieje z zadowolenia.

— Jak się cieszę. — Wzdycha. — Miałam znakomity pomysł.

Dla Glyną jednak to nie Myra idzie u jego boku, lecz Kath. Myra mówi, ale jej słowa są nieważne, są tylko szumem w tle i Glyn puszcza je mimo uszu; chce odnaleźć Kath.

„Czy ty mnie słuchasz?“, pyta Kath. Ależ słucha, słucha. Wyteżę słuch jak może. Słucha i patrzy na nią. Ale obok starych, zawsze tych samych znaków, obok dobrze znanej konstrukcji lat spędzonych z Kath i dawno już odczytanych znaczeń, pojawiają się też krótkie, pojedyncze błyski czegoś nieznanego — niczym nie odkryte gwiazdy przecinające niebo, które fascynują astronomów. Ale Glyn nie jest nimi zafascynowany; jest zaniepokojony, zatrwożony i zgaszony.

Słyszy Kath przy telefonie — jej cichy, drżący, załamujący się głos. Płacze? Wchodzi do pokoju, a ona odkłada słuchawkę: „Muszę już kończyć, Mary”. Twarz poruszona, spięta. On się spieszy, wyjeżdża na konferencję do Stanów Zjednoczonych, zapodział jakieś ważne materiały. Nie zatrzymuje dłużej wzroku na Kath, na jej szklistym spojrzeniu, ale musiał je zachować w pamięci, bo teraz, dzisiaj, to spojrzenie wraca gorącą falą.

Elaine nie chciała mieć Polly. To znaczy brała pod uwagę, że w ogóle nie będzie mieć dzieci. Kobieta bezdzietna; to wybór. Spodziewała się, że bez dziecka panuje w życiu mniejszy rozgardiasz. O wiele łatwiej zabrać się do pracy. Przyglądała się znajomym i wyciągała wnioski. Byli tacy, którzy tyrali od rana do wieczora dobici bezsennymi nocami i wrzaskliwymi popołudniami. I byli ci, którzy żeglowali wolni i swobodni, odpowiedzialni tylko za siebie.

Miała wybór, mogła obrać jedną z dwóch dróg. W ciągu pierwszych lat małżeństwa zastanawiała się nad tym czasem, ale zwykle odsuwała problem, nigdy się ostatecznie nie decydowała. Potem zauważyła, że wcale się nie niepokoi, gdy przez roztargnienie zapomni wziąć pigułkę. Zapominała coraz częściej.

Kiedy wiedziała już, że jest w ciąży, Nick powiedział: „O, kurcze, to klawo”. Nigdy nie podzieliła się z nim swoimi wątpliwościami na temat rodzicielstwa. Oczywiście, to sprawa ich obojga, ale uważa, że w ostatecznym rozrachunku decyzja jest bardzo osobista. Dobrze wiedziała, komu przyjdzie wziąć na siebie brzemień decyzji.

Nick wcale nie był złym ojcem. Gdy tylko był w domu i nie miał nic pilniejszego do roboty, z chęcią podejmował się ojcowskich obowiązków. Jednak już w wieku dwóch, trzech lat Polly widziała w nim coś w rodzaju zajmującej, ale nieobliczalnej zabawki — kogoś znakomitego do swawoli, ale kogo trudno traktować całkiem serio. Takie przekonanie umocniło się w niej, kiedy podrosła. Przywiązanie do ojca i chęć zabawy podkopywał w niej jakiś podskórny prąd zniechęcenia, często nawet poirytowania: „Typowe!”, „Ufaj tacie!” Zdawało się, że Polly przemknęła obok niego, stając się osobą samodzielną i dorosłą, podczas gdy on utknął w innym wymiarze czasu i wciąż pozostawał niedojrzałym nastolatkiem.

Telefony od Polly są bardziej ostrożne. Dała już sobie spokój z upominaniem i słaniem próśb. Uległa grzecznym, ale konsekwentnym unikom Elaine: „Czy musimy o tym rozmawiać?” Zamiast tego prowadzi nieśmiałą walkę podjazdową. Wspomina o kłopotach z naprawą pralki niewłaściwie użytkowanej przez Nicka. Elaine proponuje, że pokryje koszt naprawy. „Nie chodzi o pieniądze”, oponuje Polly. „Chodzi o kłopoty”. Opowiada, jak zaciągnęła Nicka do biura nieruchomości: „W sobotę rano, kiedy naprawdę mam na głowie tysiące innych spraw... No więc idziemy zobaczyć jedno mieszkanie, bardzo przytulne i miłe, i tacie też się podoba, mówi, że może być, w porządku, wracamy do domu i on natychmiast zmienia zdanie, że jednak nie jest pewny, że chyba musi to przemyśleć, ale raczej nie, i cały mój sobotni poranek diabli biorą!” Wspomina jeszcze o picciu. Mówi też, że Nick stracił na wadze: „Nie sądzę, co prawda, żeby mu to zaszkodziło, no, ale sam fakt...”

Nękanie odnosi skutek. Elaine jest rozkojarzona. Czuje, że traci zwyczajną ostrość widzenia. Zamiast koncentrować się na pracy i obowiązkach dnia, zamiast rozważać plany na przyszłość, jej my-

śli krążą niespokojnie wokół tego, co mówi Polly. Przed oczami staje jej Nick, wałęsający się bez celu po londyńskich parkach. Myśli o tym, że pije, że schudł...

Odwiedziny Polly. Wpada jak zwykle w niedzielę, niemal bez uprzedzenia.

— Tato wie, gdzie jestem — mówi znacząco. — Kazał, no... kazał cię bardzo pozdrowić.

Siedzą z Elaine w ciepłarni przy lunchu.

— Trudno mi wciąż uwierzyć, że taty tu nie ma — mówi Polly. — Wydaje mi się, że wejdziesz w każdej chwili... Dobrze, dobrze, już nic więcej nie mówię. Tylko... to wydaje mi się takie... nie z tej ziemi.

Elaine się z tym zgadza, ale głośno tego nie powie. Polly opowiada o nowym chłopaku. Ma na imię Andy.

— Nie pomyśl zaraz, że oszalałam na jego punkcie — tłumaczy. — Ale, wiesz, powiem tyle, że to zaczyna być interesujące. — Patrzy badawczo na Elaine. — Czy wy z tatą zakochaliście się w sobie od razu, bez pamięci? Jak to było?

Elaine oniemiała. Nie jest osobą otwartą, której łatwo przychodzą takie zwierzenia, ani Polly nie jest osobą, która zwykła stawiać takie pytania. Czy w ich domu zagubiły się gdzieś normalne, rodzinne rozmowy?

— Och — wzdycha. — To było tak dawno temu. Polly ma tego dosyć.

— Mamo, proszę cię! Przecież każdy pamięta pierwszą miłość, jak się zakochiwał i jak brał ślub.

Elaine zaczyna energicznie mieszać sałatę.

— Domowej roboty, prosto z ogródka — chwali. — Rokietta siewna. Odmiana, której nigdy jeszcze nie próbowałam. Rozrasta się jak chwasty. — Napęlnia talerz Polly stosem przyprawionych jarzynowych liści — I pierwsza botwinka... Proszę...

Polly przeszywa matkę wzrokiem.

— Mamo, proszę, wybaczone, że to mówię, ale wydaje mi się, że lepiej byłoby, gdybyś coś z siebie wyrzuciła. Zamykasz się przed ludźmi. Dobrze, rozumiem, że taka po prostu jesteś, ale uważam, że to wcale nie jest dobrze.

Elaine przywykła już do tego, że Polly lubi, jak twierdzi, przemówić jej do rozumu. Pierwszy raz spróbowała tego w wieku trzech lat i tak już zostało. Zwykle chodziło o odżywianie albo ubieranie, a niekiedy o sposób prowadzenia domu. Teraz, widać, Polly zajęła się sprawami zasadniczymi.

— Owszem, wydaje mi się, że pamiętam chwilę zadurzenia.

— Zadurzenia? — wrywa się Polly. — Chwilę zadurzenia! Rety, mamo, co ty mówisz!

Tak naprawdę, Elaine stara się mówić szczerze. Rzeczywiście tyle pamięta. Usiłuje teraz wyszukać w pamięci jakieś gorące chwile, jakieś porywy, jakąś namiętność. Tak, coś jej się nawet przy-



promieniała rozanielona, zadowolona z życia, z siebie, z tego, co ją czeka... tak, to była miłość.

— No tak, rzeczywiście, było chyba coś więcej...

— Mam nadzieję — rzuca sucho Polly i zapada w zadumę. — Ja sama byłam zakochana, nawet bardzo, ale wiesz, uważam, że to nie była ta jedyna, prawdziwa miłość. Nie takie pięciogwiazdkowe danie, poruszające niebo i ziemię, no, raczej przekąska albo parę dobrych przekąsek. Wciąż czekam.

— Masz jeszcze trochę czasu — zgadza się Elaine. — Co słyszeć w pracy?

Polly nie ma ochoty rozmawiać teraz o pracy.

— Czy Kath kochała Glyna?

Co ona z tą miłością? Interesuje ją miniona miłość czy ta, która ma dopiero nadejść? Miłość Elaine czy jej brak miłości? Może jej własna, nowa miłość? Elaine niechętnie podejmuje ten temat.

— No, myślę, że tak — zaczyna. — Hm... W każdym razie robiła wrażenie osoby szczęśliwej.

Kath idzie po schodach Urzędu Stanu Cywilnego w Welborne, z uśmiechem na twarzy. Uśmiecha się do Elaine, która stoi po drugiej stronie ulicy z aparatem fotograficznym przy oku. Ma podwinięty rąbek spódnicy.

— A kiedy Kath nie robiła wrażenia osoby szczęśliwej?! — sarka Polly.

Elaine chce przerwać tę rozmowę, jeśli w ogóle można tu mówić o rozmowie, ale widzi, że Polly jest dzisiaj nastawiona bojowo. Nie może też zbyć ją cierpkim: „Czy musimy o tym rozmawiać?”, ponieważ Polly nie daje jej powodu: trzyma się z dala od tematu Nicka.

Naraz Polly zaczyna z innej beczki.

— Wiesz, ja już nic nie rozumiem. Nie rozumiem, jak ludzie mogą być tacy... tajemniczy. Wydaje ci się, że ich znasz, że wszystko jest w porządku, że są zszyci na miarę, a raptem rozsypują się w puch i błędzisz w tym puchu jak we mgle. Rozpadają się nawet w twojej głowie. Rany, zupełnie już nie rozumiem Kath. To znaczy, przecież znałam Kath. Nie rozumiem taty... on jest w totalnej rozsypce, uwierz mamie, brudne koszule, zaniedbane włosy, nieogolony. Patrę na niego i nie mam pojęcia, co mu chodzi po głowie. Ciebie, mamie, też nie rozumiem. Kompletnie.

O szyby cieplarni bije skrzydłami uwięziony w środku motyl, lata z furją to w górę, to w dół, żółto-brązowa rusalka pokrzywnik. A za szybą świeci słońce, wypuszczając promienie z za gęstych gałęzi dzikich jabłoni, przemieniając trawnik w mieniący się brokat zieleni i złota. Na końcu ścieżki Pam pcha przed sobą taczki. Z taczki coś wypada, Pam zatrzymuje się i schyla, by podnieść zgubę. Elaine jest świadoma tego wszystkiego; nieodmienna scenografia za oknem, uspokajająca, ale mało harmonizująca z obecnością córki. Polly w niczym już nie przypomina trzydziestolatki; wydaje się, że te skargi i żale znów płyną z ust ośmio-, dziesięcio-, dwunastolatki.

— Nie rozumiem, jak wszystko może się tak zmienić. Jasne, życie polega na tym, że toczy się naprzód, bez przerwy i bez względu na wszystko. Ale... przecież ono nie skacze raptem do tyłu, a tak

się dzieje, jak widzę, z waszym życiem, twoim i taty. Tato jest połową siebie. Marnieje w oczach. Zastanawiam się nad jakąś terapią. Słyszałam o pewnej...

Elaine przerywa jej gwałtownie.

— Nie. I jeszcze raz nie.

Patrzy na Polly, która odsunęła na bok nie dokończony obiad i zerka na matkę spojrzeniem ofiary i buntownika jednocześnie.

Elaine rozumie nagle, że uczucie, którego doświadcza, to poczucie winy. Rozumie też, że nie opuszcza jej ono od pewnego czasu. Czuje się winna wobec Nicka. Jak to możliwe? Przecież to ona doznała krzywdy. Role jednak dziwnie się odmięły. Teraz ofiarą zdaje się być Nick; to jego życie zawisło na włosku, to on zasługuje na zainteresowanie i troskę. Tymczasem ona jest nierozsądna, nieprzejednana i niemila.

— Pamiętasz chyba, kto zaczął? — pyta po chwili.

— Och, mamoo... Oczywiście, że pamiętam. Ale spójrz na siebie... naprawdę, mamoo, wszystko masz na głowie, ja przecież widzę, stałaś się rozdrażniona, nerwowa, źle wyglądasz, nie jesteś sobą.

Naprawdę? Elaine myśli o tym, jak ostatnio patrzy na nią Sonia, a raczej jak rzuca jej zatroskane, ukradkowe spojrzenia. Przypomniała sobie Pam, która dyskretnie zaproponowała, że weźmie na siebie więcej obowiązków. Czy tak z nią źle? Czy rzeczywiście taka jest?

Trwa milczenie.

— Tak... — westchnęła Polly. — Ani słowa więcej. Zamykam gębę na kłódkę. — Sięga po talerz i zaczyna kończyć obiad. — Sałata jest wyborna. Rokietta siewna? Mogę zabrać trochę tej rakiety do domu, dla siebie i taty?

Oliver spostrzega, że coraz więcej myśli o mężczyznach Kath. O tych, którzy pojawiali się u jej boku, gdy odwiedzała Elaine. Stanowią obstawę spowitą cieniem, gdyż w większości wypadków nie potrafi skojarzyć twarzy z nazwiskiem. Wcale nie było ich wielu; w ciągu tych kilku lat czterech albo pięciu, no, może sześciu. Paru pojawiło się tylko raz. Inni częściej i ci stanowią bardziej monolityczny obraz, zostawili po sobie trwalsze wspomnienie. Każdy był inny — ten wysoki, ten niski, ten młodszy, ten starszy. Ale wspólnym mianownikiem u wszystkich, jak pamięta Oliver, był wyraz triumfu w oczach. Czuli się zdobywcami trofeum, stuprocentowymi mężczyznami, zwycięzcami w dziwnych zawodach, w których Oliver nigdy nie brał udziału. Wiedział, że nie należy do typu mężczyzn, którzy zabiegają o względy kobiet takich jak Kath. To mężczyźni przystojniejsi, o wiele bardziej pewni siebie, zdobywcy, z jasno wyznaczonym celem. Wówczas celem była dla nich Kath. Nie odstępowali jej na krok, towarzyszyli jej z błogim zadowoleniem na twarzy; była ich zasłużoną nagrodą, właśnie ktoś taki im się należał.

Pamięta, że był wśród nich jakiś aktor, którego nazwisko obilo mu się wcześniej o uszy, nieprawdopodobny czaruś. Był jakiś wymoczek z kabrioletem bmw. Ci dwaj towarzyszyli Kath dość długo. Rozmyślając nad tym, jak się pojawili, a po pewnym czasie zniknęli niczym duchy, Oliver znalazł się raptem w ogrodzie Elaine, razem z Kath, która krążyła wśród jabłoni i zbierała strącone przez wiatr jabłka. Tym razem stanęła mu przed oczami sama, bez męskiego towarzystwa. Wokół nich biega Polly, także zajęta zbieraniem jabłek. Podbiega do nich objuczona owocami, które zebrała w podwiniętą bluzkę: „Patrzcie, patrzcie, ile mam!” „Oho! Bystra dziewczynka!”, chwali Kath. „Wrzuć je wszystkie do koszyka”.

— Gdzie Mike? — dopytuje mała. — Obiecał, że przewiezie mnie samochodem bez dachu.

— Mike już nie przyjedzie.

Kath odpowiada mimochodem, jakby na marginesie, przyglądając się przy tym uważnie jakiemuś jabłku. Polly ściąga w oburzeniu buzię i wraca zbierać jabłka.

Kath odwraca się do Olivera. On chyba zdradza jakieś zainteresowanie. Chyba jego twarz wyraża zdumienie lub szczerą sympatię. Bo Kath się śmieje.

— Nic się nie martw, Olly! Nikt nie złamał mi serca. Co, lubiłeś go?

Oliver na moment traci głowę, odpowiada coś wymijająco — nie ma odwagi powiedzieć, że jeśli chodzi o niego, to wszystkich jej facetów ma za nędzników, którzy nie dorastają jej do pięt i nie mają pojęcia, jaki skarb posiadli. No, w każdym razie większość z nich.

Kath wzdycha. Wyciera jabłko o rękaw i gryzie. Oliver widzi, jak jej białe zęby wpijają się w czerwień błyszczącej skórki.

— Grunt to odejść, dopóki nie jest za późno.

Mówi do siebie? Czy do niego? Nigdy jej takiej nie widział, jest w niej jakiś niepokój, zagubienie.

— Za późno? — mówi mocnym głosem, by przywołać ją z powrotem.

Ona uśmiecha się. Prawdziwa, radosna Kath.

— Nim oni zmieniają zdanie — odpowiada. — Masz dziewczynę, Olly?

Jak Oliver odpowiedział na to pytanie? Och, nietrudno zgadnąć. Kluczył z pewną siebie miną, brnąc w coraz bardziej grzaskie zdania, a Kath na pewno śmiała się serdecznie i żartowała sobie z niego. Potem wrócili do zbierania jabłek, razem z Polly, a w końcu poszli do domu na lunch, na herbatę, może na kolację.

W istocie cała ta scena rozmywa się teraz w domysłach i niejasnościach wyobraźni. Widzi Kath i widzi, jak mała Polly za każdym razem, gdy znajdzie piękne jabłko, pozbawione brązowych plam, bruzd lub dziur, wybucha radością. Na twarzy Kath widzi wciąż to samo zagubienie. Jej słowa docierają do niego na nowo: „Nikt nie złamał mi serca... Grunt to odejść... zanim oni zmienią zdanie”. Cała reszta jest niepewna — być może tak było, a być może późniejsze przemyślenia zatarły tamten obraz, być może wkroczyła potrzeba gawędy i uporządkowania rzeczy. W każdym razie on tam wtedy był, z Kath. Tak było. Albo bardzo podobnie.

Polly nie pamięta dnia, gdy zbierali jabłka. Ten dzień wtopił się w zatłoczoną ludźmi, jedną, symultaniczną scenę jej dzieciństwa, kiedy Polly była tylko chłonącą parą oczu i parą uszu — widzącą, słyszącą i magazynującą wszystko w podświadomości. Ciocię Kath magazynowała wielokrotnie; potrafi teraz wyczarować jej rozmaite wcielenia. W umyśle Polly, w miarę jak ona sama rośnie, ciocia Kath maleje; aż w końcu są sobie równe. Kath jest teraz jak starsza siostra.

Był okres, gdy Polly chciała od niej czegoś więcej; żałowała, że Kath nie jest jej matką. Nie było w tym szczególnego odniesienia do Elaine, nie oznaczało to wcale, że Polly wypiera się Elaine. Oznaczało to tyle, że chciała mieć Kath przy sobie przez cały czas, tak samo jak ma się matkę, zawsze dostępną, zawsze poświęcającą uwagę, na wyciągnięcie ręki. Pamięta tęskne wyczekiwania na Kath. Pamięta też towarzyszące im poczucie winy; wiedziała, że nie wolno jej ujawniać tej potrzeby, zwłaszcza wobec Elaine.

Dzisiaj Polly myśli o tym wszystkim bogatsza o mądrości dorosłego człowieka. Wtedy nie widziała świata poza Kath i dlatego, co dość naturalne, wiele od niej oczekiwała. Była jednak wystarczająco rozumnym dzieckiem — miała sześć, siedem lat? — by wiedzieć lub raczej czuć, że jest w tym jakiś ślad niewierności: matkę można mieć tylko jedną i matkę trzeba kochać — najmocniej ze wszystkich.

I kochałam, myśli Polly. Jak kocha się matkę. Na pewno. Hm... tak sędzę.

Nie chodzi wcale o to, że w Kath znajdowała szczególnie macierzyńską nutę. Właściwie trudno sobie wyobrazić Kath pchającą wózek, krzątającą się po kuchni w fartuchu podczas gotowania obiadu,

czekającą na koniec lekcji przed szkolną bramą. Wszystko to robiła Elaine, oczywiście równoległe do swoich innych obowiązków. Polly jest tego świadoma i ma za to prawdziwy szacunek do Elaine.

Pamięta dzień, kiedy, jeszcze w czasie studiów, Kath ją odwiedziła. Polly oprowadziła ją po szkole i kampusie, pokazała ciekawe miejsca. Siedzą teraz przy filiżance kawy w pokoju Polly w akademiku, otwarte do rozmowy; jedna z chwil, które Polly tak bardzo sobie wtedy ceniła. Opowiada o swoich przyjaźniach i liczy na opinię starszej Kath. Uwielbia życie studenckie, ale też dużo pracuje, pracuje jak wół — już teraz podejmuje ważne decyzje, już teraz widzi przed sobą cele; być może będzie szła w kierunku biznesu, finansów, myśli o giełdzie, o londyńskim City. Być może dziennikarstwo? Internet nie stanął jeszcze na nogi, ale najnowsze technologie już wtedy były jej oczkiem w głowie.

Kath słucha. Siedzi po turecku na łóżku, z kubkiem kawy w ręku, jakby się urodziła w takiej pozycji. Jakby miała dwadzieścia lat, a nie czterdzieści z okładem. Słucha skupiona, z wyteżoną uwagą.

— Szczęściara — mówi, a w jej głosie gra jakaś obca melodia.

Polly zamilkła, zrobiła wielkie oczy. Ona szczęściara? Ona? Przecież to Kath może mówić o szczęściu. Choćby dlatego, że jest Kath, że jest, jaka jest, że wygląda, jak wygląda — jak lekka bryza.

Rozmawiają o miłości. Polly uważa, że chyba się zakochała; nie do szaleństwa, och nie, ale czuje się... jakoś inaczej. Interesują ją wszelkie miłosne symptomy i zasypuje Kath pytaniami. Nie, nie, śpi dobrze, nie ma bezsennych nocy, ale zauważa, że często o nim myśli, no dobrze, prawie bez przerw, myśli także o... hm, o seksie. Nie może się powstrzymać i wyznaje, że cały czas rozmyśla, jak ich drogi mogłyby się przeciąć. Czy to gra warta świeczki? Czy coś z tego może być? Czy od razu wiadomo, czy to wielka miłość czy tylko przelotne uczucie? Polly z góry zakłada, że Kath zna odpowiedzi na wszystkie pytania.

Kath się śmieje.

— Ach, chodzi o te sprawy...

Opowiada, że pierwszym mężczyzną, w którym się zakochała na zabój, był listonosz; miała wtedy pięć lat. Potem się zakochała w młodym pracowniku firmy sanitarnej „Rentokil”, potem w wikarym ich parafii, a w końcu, gdy miała piętnaście lat, w chłopcu ze sklepu papierniczego i trwało to całe dwa miesiące. Polly jednak kręci nosem, nie interesują jej miłostki nieśmiałych nastolatek. Czuje, że Kath wykręca się sianem. Nalega, domaga się konkretnych wskazówek. Ale Kath się wycofuje — przy czym nie robi wrażenia kogoś, kto unika odpowiedzi, raczej kogoś przytłoczonego, dziwnie oniemiałego.

— Wiem tylko tyle, że nie jestem ekspertem w tej dziedzinie — mówi wreszcie. — Błędy, błędy... — Podnosi oczy na Polly. — Najważniejsze jest to, czy oni cię kochają.

Nick przyjmuje, że spał z sześcioma kobietami, nie licząc Elaine. Skromny wynik, jak się zdaje. Jest co prawda opcja siódmej kochanki, miał wtedy osiemnaście lat, ale do dzisiaj nie jest pewien, czy tamten casus rzeczywiście można brać pod uwagę; wyjątkowo nieudane zbliżenie. Niemniej nie jest to lista osiągnięć rozpustnego libertyna, prawda? Tym bardziej, że trzy z tych przypadków należą do przedmażeńskich porywów młodości, które Nick może uważać za naturalne szczeble seksualnego rozwoju mężczyzny. Pozostałe trzy, owszem, wpasowują się w definicję małżeńskiej niewierności. Właściwie nie sposób inaczej ich klasyfikować, choć co do jednego, tak czuje, miałby małe wątpliwości; bo jak zaklasyfikować jednorazowy przypadek, gdy w finale hucznej imprezy urywa mu się film, a następnego ranka budzi się z bólem głowy w łóżku obcej kobiety, w nieznanym mieszkaniu? Obiektywnie patrząc, wiele bardziej na potępienie zasługuje związek z pewną redaktorką wydawnictwa, z którym współpracował dawno temu. Elaine nigdy się o tym nie dowiedziała, ale nikt nie ucierpiał, sprawa jest pogrzebana raz na zawsze.

Owszem, w czasie małżeństwa wodził nieraz oczami za płcią piękną, nie zaprzeczy. Patrzył, podziwiał, a od czasu do czasu poządał. Doszedł też kiedyś do przekonania, że jego pożycie seksualne, jakoś tak się stało, skończyło się za wcześnie i chyba brakuje mu seksu. Z biegiem czasu, temu również nie zaprzeczy, poczucie to zaczynało przybierać na sile, szczególnie wtedy, gdy pojawiały się różne sprzyjające okazje.

Tak, nie jest to idealny wizerunek małżonka, ale przecież, z drugiej strony, nie jest też całkowicie godny potępienia, prawda? Na miłość boską, są na świecie dużo gorsi mężowie.

Gdyby nie chodziło o Kath, Elaine najprawdopodobniej zareagowałyby inaczej. Gdyby na fotografii znajdowała się inna kobieta — jakaś zupełnie nieznaną, przypadkową, obojętną dla wszystkich — Elaine wpadłaby może w złość, on pokajałby się może, ale z pewnością nie włączyłby się teraz po Londynie, sromotny banita.

„Dlaczego?“, wciąż zadaje sobie to pytanie. Dlaczego to się stało? Ale zna odpowiedź. Spojrzał któregoś dnia na Kath i dojrzał w niej zupełnie nową osobę. Dzisiaj już jej takiej nie potrafi zobaczyć. Tamten nieodparty obraz fatalnego zauroczenia znikł na dobre; dzisiejsza Kath jest jak najbardziej neutralna, a Nick, któremu odpowiada, nie jest tym samym Nickiem.

Kath siedzi w kuchni przy oknie, w ich starym domu, z Polly na kolanach, gdy ta była jeszcze małym berbeciem. To jeszcze wiek niewinności, przed okresem, kiedy patrzył na Kath inaczej niż na wszystkich. Nick wszedł do pokoju i w pierwszym odruchu pomyślał, że przy oknie siedzi Elaine; takie podobieństwo. Potrafi powiedzieć tylko tyle: „Myślałem, że to Elaine“, tak powiedział, musiał tak powiedzieć. Bo Kath podnosi oczy, spogląda na niego znad główki Polly i mówi: „Nie. To ja“. Powtarza potem te słowa, raz za razem, a on jest zelektryzowany jej tonem, tym, jaka jest. Nie tą żywą jak iskra, ale pobladłą i ponurą Kath.

Na miesiąc miodowy Glyn zabrał Kath na północ, do Krainy Jezior. Nie bez powodu: interesował się wówczas wczesnymi uprawami rolnymi na terenach górskich i musiał przeprowadzić badania nad systemami granicznymi. Dzisiaj trudno mu zrekonstruować tamten tydzień; obrazy się zlewają i nakładają na siebie: Kath leży na brzuchu nad brzegiem zimnego, górskiego stawu i pije z niego wodę; ukradkowe spojrzenia rzucane w pubie, gdy wchodzi przemoknięta prosto z deszczu, z połyskującymi włosami; idzie za nim doliną, on się odwraca i zauważa, że się zatrzymała, plecami do niego, z rękoma wspartymi na biodrach, w purpurowej kurtce — mała, jaskrawa postać, niczym jakaś romantyczna metafora ludzkiej egzystencji w pejzażu rozjaśnionego nieba, jeziora i wzgórz.

Wchodzą na górę; stromym, trawiastym zboczem, krętym szlakiem. „Czy to się chociaż jakoś nazywa?“, pyta Kath. „Wszystkie góry mają nazwy. Ta się nazywa Cat Bells“. Owiewa ich łagodny wietrzyk, na zieloną grań pada słońce. Kath podchodzi do niego i oplata go ramionami. Całują się. Tułają do siebie. Mocno. Ona opuszcza wolno dłoń i wyczuwa u niego erekcję. „Chyba zostawimy sobie wspinaczkę na później“, szepcze mu do ucha. Biegną w dół. Niżej jest łąka, kamienny murek, trawa upstrzona owczymi plackami, dalej gęste krzewiny. Przeskakują przez murek. Ona śmieje się głośno. „Nie zdejmę wszystkiego — zmarznę na kość!“ On rozpościera na trawie płaszcz, kładzie ją na nim. Ona spuszcza spodnie i strząsa je z nóg. To najbardziej spontaniczny seks, jaki pamięta, przepiękna, wzniosła nagłość, na zawsze przyszpilona do tego jednego kawałka ziemi — wiatr, zapach gniecionej trawy, jakieś ptasie tirlanie, spacerujące owce. Potem jest w siódmym niebie, daje się unieść euforii, cały ożywa, przyciąga ją do siebie, przytula, wciska dłoń pod jej sweter, czuje jej delikatną, rozgrzaną skórę. Ona znowu się śmieje: „Och tak, tak!“, mówi. „Tak“.

Dzisiaj czuje, jak pali go wściekłość, że to pozostało już tylko w jego głowie. Dałby wszystko, by wróciła tamta chwila, by mógł ją odzyskać. Dałby wszystko, jak nigdy dotąd, żeby odzyskać Kath.

— Będę miała pięcioro dzieci — zapowiada Kath. — Więcej dziewczynek. No, paru chłopców może być, najlepiej chłopców bliźniaków. Och, nie, jeszcze nie. Za kilka lat.

Elaine słucha z cierpkim uśmiechem. Jest w ciąży; niezdarna, niemrawa, ociążała i drażliwa. Kath wpadła jak bomba. Niebawem równie nagle wyjdzie, odleci jak ptak, wróci do swego nieskrepowanego świata, do punktu życia, w którym się akurat zatrzymała.

Elaine zauważa, że Kath być może zaczyna odczuwać potrzebę posiadania męża.

— Och, tak, na pewno, szukam męża — deklaruje się Kath.

Kath ma dwadzieścia cztery lata. Jest zepsuta nadmiarem ofert, myśli Elaine. W kandydatach może przebierać jak w ulęgawkach. Zazwyczaj towarzyszy jej jakiś ugrzecznony typ. Ale nie dzisiaj.

To okres, w którym odczucia Elaine w stosunku do siostry oscylują między jedną skrajnością a drugą. Kiedy Kath przepada na wiele tygodni, Elaine kręci się jak na szpilkach. Dlaczego nie telefonuje? Dokąd ją poniosło? Kiedy się wreszcie pojawia, niepokój zostaje nagle wyparty przez porywy zło-

śliwości: aha, jest — beztroska, frywolny pasikonik wśród uwijających się mozolnie mrówek; jej piękno to ciągła niespodzianka. Łatwo zapomnieć, jakie robi wrażenie.

— To szukaj uważnie — radzi sucho Elaine.

Nie ufa osądowi Kath. W jej głosie odzywa się kąśliwa drwina. I jest tego świadoma. Ale Kath się śmieje.

— Och, tak. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo uważam.

Śmiech się urywa. Nagle poważnieje, jest skupiona, zamyślona. Osowiałym wzrokiem omiata pokój — domowy rozgardiasz i nieład. W końcu zatrzymuje się na brzuchu Elaine.

— Czy to jest takie cudowne? — pyta. — To wszystko?

TLR



Słuchaj — mówi. — Tu Nick. Wiem, wiem, jestem ostatnią osobą na kuli ziemskiej, którą chciałbyś usłyszeć po drugiej stronie linii telefonicznej, i ja oczywiście to rozumiem, nie zdziwię, się, jeśli rzucisz słuchawką, ale musiałem spróbować, musiałem, tak? Pomyślałem sobie, że byłoby dobrze, gdybyśmy porozmawiali, ty i ja, dobrze wiem, że masz pełne prawo spuścić mnie na drzewo, mówię to szczerze, ale... Wiesz, myślę sobie, raz kozie śmierć, co mi tam, zadzwonię i już, gorzej być nie może, przynajmniej w mojej sytuacji. I, Boże, wiem, co musisz czuć, naprawdę, uwierz mi, Glyn... Chciałem tylko powiedzieć, może pomyślisz, że to bezczelność z mojej strony, chciałem tylko powiedzieć, no... że to nie tak, jak myślisz, absolutnie nie. To znaczy, wiem, z twojego punktu widzenia to wszystko jest podłe, ale ja czuję się nie inaczej, jeśli tylko byłoby mi wolno co nieco wyjaśnić, pogadać, tak od serca, to być może spojrziałbyś na to innymi oczami, zobaczyłbyś to inaczej, zobaczyłbyś mnie inaczej. To kwestia punktu widzenia, naprawdę, chodzi o to, że... Glyn, jesteś tam jeszcze?

Glyn burknął pod nosem, że tak, słucha go — zastanawiając się w duchu, po co to robi.

— Och, Boże, dzięki. Dzięki, że dajesz mi szansę. Słuchaj, chodzi mi o to, że... ee... że to było cholernie głupie, to w ogóle nie było nic ważnego, dziecinny błąd. Nie mam pojęcia, co nas napadło, co mnie napadło. Wiem, każdy tak może powiedzieć, prawda? No, może ty nie. Ty masz więcej oleju w głowie, zawsze uważałem cię za równego gościa, który twardo stoi na ziemi i wie co robi, dlatego też pomyślałem, żeby zadzwonić do ciebie, rozumiesz, żeby spróbować porozmawiać.

— Jeśli się nie mylę, właśnie to robisz — odezwał się Glyn. — Ale w jakim celu?

— Ach, tak... yy... Chodzi o parę spraw, Glyn. To znaczy, przede wszystkim, o mnie i Kath. Jedną rzecz musisz zrozumieć; to się skończyło, zanim się na dobre zaczęło. Nie była to długa historia. I absolutnie nie miała żadnego wpływu na inne sprawy, na innych, na mnie i Elaine, na ciebie i Kath; małżeństwa były naprawdę ważne, uwierz mi. Oboje o tym wiedzieliśmy wówczas. Ona... hm... mówię ci to zupełnie szczerze, ja wiedziałem, że... że ona sercem jest gdzie indziej. Jeśli chodzi o mnie, to, cóż... po prostu za daleko się zapędziłem. W końcu ona była tak niewiarygodnie... wiesz, straciłem głowę. Ale tylko na jakiś czas, właśnie to usiłuję wytłumaczyć. To była jakaś lunatyczna noc, zapomnienie. Właśnie po to... wiesz, właśnie po to dzwonię, żeby ci to powiedzieć, Glyn. To już dawno minęło, to jest za nami, Kath też już nie ma... Przecież najrozsądniej byłoby już o tym zapomnieć... nic z tym nie zrobimy, nie cofniemy czasu, żyjemy dalej...

Glyn wtrąca, że, jeśli o niego chodzi, to żyje dalej.

— Właśnie, Glyn, ty taki jesteś, rozsądny i chłodny. To znaczy, mam na myśli to, że ty to rozumiesz w odpowiednich proporcjach, podchodzisz do tego racjonalnie, mówię to z ręką na sercu, bardzo mnie to cieszy, naprawdę, lżej mi na duszy, dzięki Bogu do ciebie zadzwoniłem, a musisz wiedzieć, że nie przyszło mi to łatwo, przeżywałem prawdziwe katusze, teraz czuję się lepiej, jakbyś mi

kamień z serca zdjął. Sęk tylko w tym, że ee... Elaine reaguje zupełnie inaczej. O tym też chciałbym z tobą porozmawiać. Ona, wiesz, wszystko wyolbrzymia, przesadza nad miarę. Glyn, co tu dużo mówić, wiesz, ona wyrzuciła mnie z domu...

Glyn, który po początkowym zirytowaniu i fazie szczerzego lekceważenia zdążył już popaść w krańcowe znużenie, teraz się nagle ożywił. To ci niespodzianka!

— Mieszkam u Polly. Mówię ci to bez wstydu, Glyn. Nie jestem w najlepszej formie. To jest... to mnie przerasta, moim zdaniem to jakaś paranoja. To znaczy, oczywiście, rozumiem, co ona może czuć, ale czy tak musi być? Ona nie chce ze mną rozmawiać. Polly mówi, że nie trafiają do niej żadne argumenty. Glyn, to, co mnie spotkało, jest... Elaine zawsze miała dla ciebie czas, szanuje cię, wiem o tym, może potrzebny jej ktoś bardziej obiektywny, jak ty, żeby, no... żeby zamienić z nią słowo, uświadomić jej, że posunęła się krok za daleko. Mam wrażenie, że cię posłucha.

— Doprawdy? — dziwi się Glyn.

— Poza tym Elaine dowiedziała się od ciebie...

— Oo... jasne. To wszystko moja wina.

— Jezu, skąd! Źle mnie zrozumiałeś. Dobrze wiem, co czuleś, wiem, że miałeś prawo, żeby...

— To dobrze, że wiesz — przerywa mu Glyn. — Bardzo dobrze.

— ...oczywiście, ja to rozumiem. Znacie się przecież z Elaine od tak dawna, choć wolałbym, żebyś najpierw przyszedł z tym do mnie. Gdybyśmy wówczas, na tamtym etapie, mieli szansę porozmawiać, to może udałoby się uniknąć...

Glyn ma dość.

— Właśnie, właśnie — ucina. — Ja i Elaine to rzeczywiście bardzo stara historia.

— E... Słucham?

— Kiedyś wpadliśmy sobie w oko. Zapewne coś ci o tym wiadomo.

— Właściwie... to nie. Nic nie wiem.

— Też nic wielkiego, patrząc z perspektywy czasu. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz?

Później Glyn nie mógł zrozumieć, dlaczego to powiedział. Zdenerwowanie? Zwykła złośliwość? Słowa same wyskoczyły z ust.

— Aha... — Nick nie wie, co powiedzieć. — Ty i Elaine... — Długie milczenie.

— Śmiem twierdzić, że właściwie mógłbym z nią zamienić słowo, jak mówisz. Ale... biorąc wszystko pod uwagę, uważam to za dość niestosowne. Obawiam się, że sam musisz się z tym uporać.

— Mama? Słuchaj, coraz bardziej martwię się o ojca. Wiem, to nic nowego, ale martwię się z innego powodu. On całkowicie przygasł, jakby go nie było w domu. Zresztą w ogóle nie widzę go wiele, w pracy mam urwanie głowy, ktoś zachorował i robię za dwóch, od rana do wieczora... no, nie w tym rzecz, kiedy już jestem w domu, to jakby mnie nie widział. Patrzy na mnie, ale myślami jest gdzieś daleko, za morzami i górami. Znowu myślę o psychoterapii, serio.

— To ja. Muszę z tobą porozmawiać.

Kiedy Elaine odkłada słuchawkę, wciąż nie może uwierzyć, że doszło do rozmowy z Nickiem. Rozmowy, w której musiała przyznać, że tak... ona i Glyn mieli się kiedyś ku sobie... że tak, spotkała się z nim kilka razy, ale nie, nie byli kochankami. Zalewa ją fala uczuć: wściekłość na Glyna, zażenowanie i postawa obronna wobec Nicka, któremu udało się dodzwonić, bo zapomniała włączyć automatyczną sekretarkę. Teraz, po rozmowie, Elaine jest zła i sfrustrowana. Uświadamia sobie, że nie takiego tonu mogła się spodziewać w głosie Nicka. Nie był ani wyzywający, ani pełen wyrzutów; raczej jakby ogłupiały, nie dowierający. Wydawało się, że Nick w żaden sposób nie potrafi tego obrócić na swoją korzyść. Zadzwoił chyba tylko po to, żeby się przekonać, że to prawda. „Sądziłem, że zmyśla, że chce mnie zrobić na szaro”.

Co Nick chciał osiągnąć, dzwoniąc do Glyna? Aż trudno jej uwierzyć: „Chciałem go prosić, żeby porozmawiał z tobą o... wszystkim. Żeby powiedział ci słowo ode mnie”.

Tylko Nickowi mógł wpaść do głowy taki wybieg, chyba że całkowicie już postradał zmysły i nie wie, co robi. Namawiać Glyna na taki chwyt. Albo wszystkich nas coś opętało, myśli.

Glyn wraca do spraw zasadniczych. Poszukiwania tropów. Myśliwy wraca w ostępy leśne. Na łów. Wertuje katalogi, wykazy i spisy, przegląda zasoby Stowarzyszenia Sztuki i Rzemiosła, podejmuje fałszywe tropy i zapuszcza się w ślepe uliczki, ale nadchodzi wreszcie dzień, gdy bierze do ręki słuchawkę, wybiera numer i umawia się na spotkanie.

Elaine przypomina sobie, że pilnie musi odwiedzić pewien znakomity, znany ogród w Gloucestershire, którego nie widziała od bardzo dawna; w jej zawodzie byłoby niedopuszczalnym błędem nie obejrzeć sławnych piwonii o tej porze roku. Jeśli pojedzie, będzie przejeżdżała koło Winchcombe, a tam mieszka ktoś, z kim bardzo chętnie by teraz porozmawiała. Sięga po słuchawkę telefonu.

— Halo? — Głos z zamierzchłych czasów.

— Mówi Elaine. Siostra Kath. Wybieram się w okolice Winchcombe i zastanawiam się, czy może...

Oliver potajemnie przegląda stare notesy z adresami, kiedy Sandra jest w kuchni lub bierze kąpiel. Zatrząskuje błyskawicznie szufladę, gdy słyszy jej kroki. To jeden z bardziej gorzkich i przykrych aspektów życia w parze — kiedy człowiek chce się zająć czymś zupełnie niewinnym, ale nie chce wyjaśniać czym, więc robi to w absolutnej tajemnicy przed swoim partnerem. W dobrym towarzystwie nie można puszczać bąków ani dłużyć w nosie. Innymi słowy, wszystko, co może dać powód do niewygodnych pytań, automatycznie staje się tajemnicą. A przecież dlaczego, do wszystkich diabłów, ma się czuć winny tego, że szuka numeru telefonicznego starych znajomych?

Wreszcie znajduje. Jest. Nie w żadnym z notesów z adresami, lecz na wewnętrznej stronie okładki starego notatnika, nabazgrany pośpiesznie wśród zapisków dotyczących drukarni, dystrybutorów, hurtowników i wśród dziesiątków słupków długich cyfr, będących podsumowaniami zakładanych

kosztów. Wszystko to jeszcze z dobrych czasów wydawnictwa „Hammond&Watson”. Przy jej adresie dopisał słowo „fotografie” i zakreślił je kółkiem. Musiał to zapisać pod sam koniec tamtego pikniku przy rzymskiej willi; zapewne obiecał, że wyśle zdjęcia, a ona podała adres. Z pewnością zdjęcia wysłał, choć nie pamięta dobrze. Kiedy wybierał dla niej zdjęcia, musiało wpaść mu w ręce to jedno, feralne dla wszystkich. Jest niemal pewien, że nie załączył tej fotografii do pliku zdjęć, które przesłał Mary Packard.

Nick nie umie się pozbyć głosu Glyna. Dźwięczy mu natarczywie w uszach. Głos nie słyszany od lat, ale bardzo swojski — mroczny, choć ze śpiewną nutą, natychmiast wyczarowujący postać człowieka. „Ja i Elaine...” — dźwięk tych słów przenosi Nicka w dawne czasy, kiedy Glyn był częstym gościem w ich domu, razem z Kath. Zawsze o czymś opowiada, porusza jakiś temat, rozprawia z zajęciem, nikomu nie daje dojść do słowa, nawet jemu, Nickowi, któremu zwykle przypadała ta rola w towarzystwie. Nawet wtedy Nick przyznawał, że Glyn potrafi go przegadać.

Także głos Elaine wibruje mu w uszach. To, co powiedziała. I w jaki sposób to powiedziała: zimnym, surowym tonem, choć z wyczuwalnym zaniepokojeniem. Nick sam wpadł teraz w jakiś niepokojący wir, w którym jednak znajduje grunt pod nogami, w którym czuje się raczej lepiej niż gorzej, i nie potrafi zrozumieć, dlaczego tak jest, ale może to bez znaczenia. Glyn odmówił wzięcia na siebie roli pośrednika i Nick zastanawia się teraz, jak w ogóle mógł pomyśleć, że facet by się na to zdobył. Mało tego, Glyn spuścił mu jeszcze tę bombę. Bombę? A może tylko głośną, lecz niegroźną petardę? Nick usiłuje dojść do ładu z tym wszystkim. Co czuje? Cóż, na pewno jest zaskoczony. Elaine i Glyn? Choć wydaje się, że nie ma powodu do lamentu, to jednak... Jest zazdrosny? Jest wściekły? Nie, właściwie nie. No, może trochę... wytrącony z równowagi. Poza tym to stawia wszystko w zupełnie innym świetle, prawda?

Przede wszystkim jednak Nick zaczyna słyszeć inne głosy Glyna. Nie tylko dzisiejsze, ale także dawniejsze. Także głos z tamtego dnia. Kiedy Kath. Słyszy jego głos jak dzisiaj, te same słowa, ale brzmia inaczej. Dzwoni telefon, odzywa się Glyn: „Muszę porozmawiać z Elaine”.

To był czwartek. Glyn wyjechał wcześniej na uczelnię, ponieważ seminarium zaczynał już o dziewiątej. Obudził się jednak późno. Sięgnął po budzik i podsunął go sobie do oczu:

— Do jasnej cholery, zasnęłam. Zobacz, która godzina.

Spojrzał na leżącą obok Kath. Miała szeroko otwarte oczy.

— Dlaczego mnie nie obudziłaś? Wiesz, że muszę dzisiaj wcześniej wstać.

Wszystko, co wydarzyło się tamtego dnia, co słyszały uszy i widziały oczy, uwypukliło się później wyrazistymi obrazami, jak scenki na kamiennym reliefie.

Wziął prysznic. Zaczął się golić. Spojrzał w lustro na twarz pokrytą pianką do golenia, a w tle przemknęła Kath. Nagie ramię, profil. Kiedy wrócił do sypialni, już jej tam nie było. Ubrał się. Zszedł na dół. Kath była w kuchni, ubrana w ten błękitny, wiązany w pasie szlafrok frotté. Przygotowywała tosty, pod szlafrokiem jej bosa stopy, włosy zagarnięte za uszy, na stole dzbanek kawy.

— Jajko? — zapytała.

— Nie, nie mam czasu — rzucił szybko.

Przemknął do gabinetu, zgarnął referaty i potrzebne materiały, wrócił do kuchni, nalał sobie do filiżanki kawy i rzucił okiem na jakiś studencki referat.

— Jajko gotuje się tylko cztery minuty.

— Jednak nie, nie...

Później rozpamiętywał tę ponowioną propozycję. Zwykle Kath nie pytała drugi raz; chcesz albo nie — albo w ogóle sam sobie robisz śniadanie.

Za oknem śpiewał w ogrodzie jesienny rudzik. Glyn podniósł głowę znad referatu, trawnik był okryty całunem żółtych i czerwonych liści, gałęzie drzew takie cienkie.

— Może poszlibyśmy na kolację wieczorem? — zapytała. — Na przykład do włoskiej restauracji?

— Wątpię, bym wrócił przed dziewiątą, mam masę roboty, muszę jeszcze gdzieś skoczyć, będzie już późno...

— Dobrze. Może więc wybiorę się z Julią do kina. Kath miała przyjaciół w mieście; to ludzie, których

Glyn niemal nie znał, z którymi spotykała się wyłącznie sama.

Siedziała naprzeciwko niego i czytała tytułową stronę porannej gazety; jej twarz, idealne rysy i kształty, tak dobrze znane, ale niezmiennie tak samo przyciągające oko.

Podniosła głowę i podała mu gazetę.

— Chciałeś jeszcze poczytać?

— Nie, dziękuję, zaraz muszę lecieć. Wrócił do referatu.

— Nic tylko śmierć i katastrofy — stwierdziła po chwili Kath.

Glyn dojrzał na pierwszej stronie tytułu artykułu na temat głodu w Afryce, zdjęcie dziecka w jakimś łachmanie, wychudzoną twarz i szerokie, wystraszone oczy.

— Zawsze tak było. W tym referacie student pisze, niestety dość nieporadnie, o demograficznych skutkach czarnej śmierci.

— Szkoda, że nie jestem twoją studentką — rzuciła Kath.

Nie wiedział, co Kath ma na myśli, mówiąc te słowa. Później, po zastanowieniu, też nie będzie ich rozumiał.

— Dlaczego?

— Och... po prostu znają kogoś, kogo ja nie znam. Lubisz ich?

— Niektórzy robią dobre wrażenie. Ale wiesz, oni przychodzą i szybko odchodzą, są jak morskie pływy. — Włożył stos referatów do teczki, jednym haustem dopił kawę. — Czas na mnie.

— Glyn...

Wyciągnęła dłoń, kiedy wstał i mijał ją w drodze do wyjścia.

— Tak?

Zatrzymał się, trochę zniecierpliwiony.

— Nic.

Jej twarz nie wyrażała nic. Nic, co mógłby zauważyć wówczas lub teraz. Uśmiecha się do niej.

— Idź już, do zobaczenia.

Taki był poranek. Początek jesiennego dnia, pełnego zajęć i wyjątkowego. Jej głos, jej obecność, jak podczas tysiąca innych poranków. Wyszedł przez frontowe drzwi, znowu usłyszał śpiew rudzika, wsiadł do samochodu. Być może obejrzał się i spojrzął w kierunku domu, gdzie w kuchni siedziała Kath, piła kawę i przeglądała gazetę, a może sięgała już po słuchawkę telefonu: „Halo? Cześć! Co powiesz na kino dziś wieczór?”

Na uniwersytecie Glyn poprowadził seminarium dla studentów trzeciego roku na temat reformy agrarnej w osiemnastym wieku. Potem, w swoim gabinecie, przejrzał pocztę, odpisał na jeden z listów, spisał uwagi do jednego z referatów i zaniósł zapiski do sekretarki, by przepisała je na maszynie. Zatrzymał się tam na minutkę: Joy, młoda, szczebiocząca osóbką, wesoła jak ptaszek, pępek świata na wydziale, nieustannie nagabywana przez pracowników, jak i studentów. O dwunastej wykład.

Co robiłeś tego dnia? Kiedy ona była sama w domu?

O pierwszej zszedł do kafeterii, by coś przegryźć, przysiadł się do pary kolegów z wydziału, wdał się w gorącą dyskusję na temat rozwoju studentów, skomentował pomysł nowych zajęć, wypił małe piwo. O wpół do drugiej niemal w biegu wrócił na wydział, by w drodze do biblioteki zabrać z gabinetu jakąś teczkę. Gdy przechodził koło sekretariatu, Joy zauważyła go przez wpółotwarte drzwi:

„Telefonowała pana żona. Wcześniej próbowała dodzwonić się bezpośrednio na wewnętrzny, ale nie było pana w gabinecie. Prosiła, żeby pan oddzwonił”.

Wszedł do gabinetu, wziął do ręki teczkę i w tej samej chwili zapukał do drzwi jakiś natarczywy student, który zajął mu równe dziesięć minut, całkowicie odwracając jego uwagę. Dwadzieścia po drugiej Glyn wchodził po schodach biblioteki. Wtedy przypomniał sobie wiadomość przekazaną przez Joy. Telefon do Kath będzie musiał jednak poczekać. Zostało mu tylko półtorej godziny, by sprawdzić bardzo ważne informacje do przypisów.

Do gabinetu wrócił spóźniony pięć minut na spotkanie z seminarzystą, który umówiony na godzinę czwartą, cierpliwie czekał przed drzwiami. Spotkanie się przeciągnęło, a to oznaczało tyle, że kiedy student wyszedł z gabinetu, grupa mająca zacząć zajęcia o piątej już od kilku minut czekała pod salą.

Piętnaście po szóstej seminarium dobiegło końca. Możliwe, że przed inauguracyjnym wykładem nowego profesora i zaplanowanym potem bankietem wpadł jeszcze do biblioteki. Wykładu bardzo chciał wysłuchać, nie z zawodowej ciekawości, ani też by duchowo wesprzeć kolegę po fachu, lecz aby utwierdzić się we wcześniejszym przekonaniu, że nowa obsada stanowiska, której zdecydowanie był przeciwny, już teraz okaże się katastrofą. Był w połowie schodów, kiedy przypomniał sobie o telefonie do Kath.

Wrócił do gabinetu i wybrał domowy numer. Nikt nie odbierał. Przez dobrą minutę wsłuchiwał się w głuchy sygnał, aż w końcu odłożył słuchawkę. Z pewnością wyszła.

Godzina pracy w bibliotece. Potem wykład, który wydał mu się zenująco słaby, co stwierdził nie bez satysfakcji. W końcu bankiet, na którym został trochę dłużej, niż zamierzał, rozochocony kilkoma kieliszkami wina.

Dokładnie dziesięć po dziewiątej wieczorem zajechał przed dom. W korytarzu paliło się światło, ale od razu wiedział, że nikogo tam nie ma: jakieś wewnętrzne przecucie pustego domu. Wszedł do gabinetu, rzucił teczkę na krzesło. Potem do kuchni, po szklankę wody. Na ociekaczu stały jeszcze naczynia po śniadaniu. Otworzył lodówkę. Jest jakieś zimne mięso, są jakieś jarzyny do sałatki. Widać, że Kath miała zamiar zjeść dzisiaj obiad w restauracji.

Wszedł na piętro do sypialni, by zdjąć wreszcie marynarkę i włożyć sweter. Włączył światło. Zauważył, że łóżko nie jest puste.

Leżała na boku, odwrócona do niego tyłem, nie widział jej twarzy. Wiedział od razu. Nie ruszając się z miejsca. Wiedział, zanim do niej podszedł, zanim jej dotknął i spojrzał jej w oczy. Zdawało mu się, że nie ma tu nikogo; pokój był wymarły, tak jak cały dom, kiedy do niego wchodził.

Kiedy wreszcie do niej podszedł, kiedy na nią spojrzał i dotknął jej, miał wrażenie, że jest pusta jak suchy strąk. To była Kath, ale też nie była to Kath; jej twarz, ale jednocześnie maska. Wymiotowała. Usta miała otwarte, poduszka była zabrudzona. Chciał ją okryć; nie, teraz musiały nastąpić inne

rzeczy. Na stolyczku nocnym zobaczył szklanę, obok brązową, nie zamkniętą buteleczkę, jakieś rozdarłe opakowania. Wydawało mu się, że działa jak automat: mógł się poruszać, zauważać i reagować, ale gdzieś na innym poziomie. Wszystko się w nim kotłowało, nie ufał własnym zmysłom. To jest niemożliwe. To niemożliwe, że on tu jest, w tej chwili, w tych okolicznościach: był tu kilkanaście godzin temu i wówczas było to właściwe miejsce, przebierał się, a Kath była w kuchni, przygotowywała mu kawę i tosty, przyniosła gazetę. Tamto była prawdą, tamto było możliwe, ale nie to, co widzi teraz.

Przyjechał ambulans. I odjechał. Potem przybyła policja, kobieta i mężczyzna. Weszli na górę, do sypialni, absurdalne postacie w ich domu. Po chwili, zebrawszy do foliowych woreczków wszystko, co leżało na stolyczku nocnym, zeszli na dół. Usiedli z Glynem w kuchni i zadali kilka pytań — urzędowych, obojętnych, trzeźwych, może tylko trochę współczujących.

Co robił tego popołudnia? Kiedy ona...

Policjantka zapytała, czy chce, by kogoś zawiadomili. Pokręcił przecząco głową.

Kiedy odjechali, siedział dalej w kuchni; automat walczył w nim z miotającym się niedowiarciem. Zaparzył sobie herbatę, ale jej nie wypił.

Potem sięgnął po notes i odszukał numer Elaine.

Tego ranka Elaine posadziła dwie młode jarzębiny kaszmirskie *Sorbus cashmiriana*, które dostarczono jej dzień wcześniej. Idealne warunki; suche, rześkie, jesienne powietrze, ziemia jeszcze nie zmrożona, miękka i przyjemna. Kilkakrotnie przestawiali z Jimem drzewka w różnych częściach ogrodu, nim wreszcie znaleźli odpowiednie miejsca. Wykopali dołki, nasypali kompostu. Minęła dobra godzina, zanim skończyli robotę. Wsadzili jeszcze w ziemię kołki i przywiązali do nich drzewka. Dwa konarki pięły się teraz pięknie i dumnie przy alejce prowadzącej do sadu. W drodze do domu odwróciła się i spojrzała na drzewa. Wyobraziła je sobie po dziesięciu latach, wyrosnięte, silne i dorodne, ze śnieżnymi chmurami jarzębinowych jagód, błyszczących jak klejnoty. Sadzić drzewa to mierzyć się z czasem — jak równy z równym.

Dochodziła jedenasta, czas ją gonił. Sonia czekała na wskazówki, Nick chciał z nią porozmawiać o kupnie komputera, bez którego trudno zacząć realizację nowego, fantastycznego pomysłu i o którym koniecznie chciał jej opowiedzieć. Musiała jeszcze wykonać dyplomatyczny telefon do pewnego niepobłażliwego, wymagającego klienta. Elaine ustaliła wszystko z Sonią, udało jej się uniknąć rozmowy z Nickiem i w końcu dowiedziała się z ulgą, że uciążliwy klient wyjechał i nie ma go teraz nigdzie pod telefonem. Teraz cały wysiłek mogła skoncentrować na najważniejszym ze swoich projektów — architektura pejzażu na terenie odnowionego niedawno wiejskiego pensjonatu. Parę godzin spędziła nad projektowaniem i kalkulowaniem kosztów.

Potem sandwicze z Sonią i Nickiem podczas lunchu w kuchni („Jeśli już mowa o kosztach, kochanie, z nowoczesną technologią rzeczy mają się tak, że w ciągu roku sama na siebie zapracuje”). Elaine niespokojnie zerkała na zegar; musiała zdążyć na pociąg do Londynu. Wieczorem miał się od-



być bankiet i konferencja prasowa z okazji otwarcia nowego skrzydła galerii, w której zaprojektowała ogrodowy dziedziniec. Przedtem zamierzała jeszcze wstąpić do biblioteki Lindleya Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego. Chciała zebrać więcej informacji na temat nie istniejącego już ogrodu z okresu króla Edwarda. Gdzieś udało się jej obejrzeć jego ryciny i spostrzegła w nim wiele inspirujących rozwiązań, być może przydatnych w jej pracy nad obecnym projektem.

Nick odwiózł ją na stację. Na razie przestał ją zadrezczać sprawą komputera; ale zarówno on, jak i Elaine wiedzieli, że kwestia ta wypłynie prędzej czy później, a ona prawdopodobnie ustąpi. Tym bardziej że komputer to inwestycja idąca z duchem czasu, także dla jej firmy. W każdym razie rzecz trzeba poważnie rozważyć. Na stacji Nick zapalił się na chwilę do pomysłu, by pojechać do Londynu z Elaine. Bardzo kusząca wydała mu się myśl o bankiecie i szampańskiej zabawie w galerii sztuki. Szybko jednak doszedł do wniosku, że nie ma na to czasu. Wieczorem przyjedzie na dworzec po Elaine.

W bibliotece Elaine zatopiła się w lekturze, otoczona z obu stron coraz wyższymi słupkami katalogów i książek. Kiedy po godzinie intensywnej pracy zrobiła sobie przerwę i podsumowała wyniki kwerendy, uświadomiła sobie nagle, że zapomniała poprosić Sonię o przygotowanie kilku faktur i wysłanie ich księgowej, która pilnie o nie prosiła. Jeszcze nie jest za późno, może złapie ją w domu.

Elaine znalazła publiczny telefon, dodzwoniła się do Soni i wyjaśniła, o co chodzi. Sonia powiedziała jej przy okazji, że telefonował któryś z jej klientów.

— Aha, dzwoniła też pani siostra.

Elaine siedziała znowu przy książkach; nie myślała o telefonie do Kath, uznała, że równie dobrze może zadzwonić po powrocie do domu albo jutro. Popołudnie już prawie minęło; zbliżała się pora uroczystości w galerii.

Fotoreporterzy dostrzegli w ogrodzie wdzięczny temat dla swoich obiektywów i chętnie go fotografowali. Rzeczywiście na to zasługiwał: grająca kolorami, oblana światłem oaza w samym sercu czworoboku galerii. Elaine odbierała gratulacje od rozmaitych, nie znanych jej osób. Padały słowa uznania, niekiedy zwiastujące, jak wyczuwała, kolejne, ciekawe zlecenia. Zaczęła się z uwagą przyglądać ogrodowi, choć ostatnim razem była tu ledwie kilka dni temu. Doszła do przekonania, że *Corydalis* nie wygląda dobrze tam, gdzie rośnie; zapisała sobie w notesie, by go przesadzić. Już po czterdziestu minutach opuściła bankiet, by złapać pociąg.

Nicka nie było na stacji. Elaine czekała poirytowana. Minęło dziesięć minut. W końcu usłyszała ryk silnika i pisk opon. Przed budynkiem zatrzymał się samochód. „Przepraszam, kochanie, przepraszam, pomyliły mi się godziny...”

W ciągu całego dnia Elaine myślała o Kath trzykrotnie — choć właściwie nie jest to odpowiednie słowo na opisanie mimowolnego procesu, w wyniku którego w czyjejś głowie gości raptem jakaś osoba. Raczej trzeba powiedzieć, że do świadczyła Kath. Najpierw, kiedy sadziła jarzębinę; robaczek,

który sturlał się z łopaty pełnej ziemi, wywołał z pamięci obraz malutkiej Kath, rozkraczonej nieporadnie nad rabatą kwiatów i wołającej z rozpaczą w głosie: „Patrz, patrz! Co to, co to za rzecz...?” Raczej bierny obraz niż myślenie o Kath. Potem w Londynie, kiedy jakaś kobieta w autobusie spojrzała przez okno; znowu Kath, jej patrzenie, linie twarzy, postura — ale to znowu nie myślenie, raczej błysk świadomości, rozwiany natychmiast myślą o ogrodzie, którego ryciny oglądała w bibliotece.

Po telefonie do Soni rzeczywiście pomyślała o Kath. Siostra zajmowała wtedy jej uwagę przez... minutę, może trochę dłużej. Kath nie dzwoniła od wielu tygodni. Wspominała coś o odwiedzinach, do których jednak nigdy nie doszło. „Może w najbliższą sobotę. Zależy od Glyna. Jeszcze dam znać”. Ale nie dała znać, nie było więcej telefonów, czym Elaine zaczynała się denerwować — cała Kath, nieodpowiedzialna i beztroska. Sama nawet myślała, żeby do niej zadzwonić, ale mijał dzień za dniem i nie dzwoniła. Ale dzisiaj zadzwoni, gdy tylko wróci do domu, wieczorem.

Był kwadrans przed dziewiątą, gdy dojechali z Nickiem do domu. Elaine włączyła piekarnik, by podgrzać *casserole*. Potem podeszła do telefonu.

Nikt nie podnosił słuchawki. Nie włączyła się też automatyczna sekretarka, ale Kath często zapominała ją włączyć. Najwyraźniej Glyna też nie ma w domu.

Zjedli *casserole*. Przeczytała gazetę, przysiadła się do Nicka, by obejrzeć z nim wiadomości w telewizji. Potem poszła na górę do łazienki i wzięła kąpiel. Kiedy się wycierała ręcznikiem, usłyszała, że dzwoni telefon. Zaraz przestał, Nick odebrał na dole. Przeszła do sypialni i usłyszała głos Nicka: „To Glyn! Do ciebie!” Podeszła do telefonu stojącego na szafce przy łóżku. Glyn wypowiedział te słowa bez powitania, nie przedstawiając się, nie czyniąc żadnych wstępów: „Mam ci do powiedzenia coś okropnego”. Wiedziała natychmiast. Nie jak, nie dlaczego, ale wiedziała, co się stało. Kath.

Przez większość czasu tego dnia Nick myślał o komputerze. Gdyby tylko miał takie cacko, z prawdziwego zdarzenia, z masą gigacośtam w bebechach i najnowszymi software'ami, czy jakoś tam, och, wtedy mógłby ruszyć z kopyta, bez dwóch zdań. Taki ekwipunek sam w sobie inspiruje człowieka, stymuluje do działania, jest motorem kolejnych pomysłów. W dzisiejszych czasach nie sposób już działać zawodowo bez nowoczesnej technologii, a już na pewno nie w tej branży. Z takim komputerem mógłby... no, mógłby... To się okaże z chwilą, gdy na jego biurku stanie takie чудо, a on je uruchomi jednym ruchem przełącznika.

Oczywiście, Elaine będzie pytać o to i owo, będzie musiał ją trochę przekonywać. Ale Nick był pewny swego. Jeśli tylko odpowiednio zabierze się do rzeczy — spokojnie, rzeczowo, z pełną wiedzą — to Elaine skapituluje. Owszem, owszem, te rzeczy niestety kosztują, ale taki zakup z pewnością nie rozbije banku, nie teraz, kiedy firma Elaine tak świetnie prosperuje, za co może tylko żywić dla niej najgłębszy szacunek.

Po odwiezieniu Elaine na stację, zatopiony w takich myślach wjechał do centrum miasta i postanowił zrobić rekonesans, by zorientować się w aktualnych cenach i markach na rynku. Całą godzinę

spędził w dużym markecie ze sprzętem biurowym, gdzie jak zahipnotyzowany kręcił się wśród migoczących ekranów komputerowych, zupełnie nie rozumiejąc, co mówi do niego sprzedawca. To nie szkodzi; niebawem będzie wiedział wszystko, co trzeba.

Wróciwszy do domu, zaparzył sobie herbatę. Zaniósł też filiżankę herbaty Soni. Zbliżała się czwarta, uznał więc, że nie ma już sensu do czegokolwiek się zabierać. Usiadł wygodnie w fotelu w ciepłarni, z herbatą i książką w rękę. Po krótkim czasie wyszedł do kuchni, by coś przegryźć. Od jakiegoś czasu burczało mu w brzuchu. Kiedy wszedł do kuchni, Sonia rozmawiała przez telefon. Widząc go, odsunęła od siebie słuchawkę i zasłaniając mikrofon, szepnęła: „Kath do Elaine, porozmawia pan...?”

Nick zaprzeczył szybkim ruchem głowy. Nie dlatego, by istniał między nimi jakiś problem, odkad... od wtedy. Zupełnie nie w tym rzecz. Stosunki między nimi były jak najbardziej naturalne, a w każdym razie normalne. Po prostu starali się unikać sytuacji sam na sam.

Włączył telewizor, wciągnął go jakiś program i kompletnie zapomniał o powrocie Elaine.

W drodze do domu roztropnie nie wspominał ani słowem o komputerze. Elaine była jednak w bardzo dobrym nastroju, uszczęśliwiona pochwałami, które najwidoczniej usłyszała pod swoim adresem w galerii. Zjedli razem posiłek, obejrzeliby coś w telewizji; potem Elaine poszła się wykapać do łazienki.

Lapidarne słowa Glyna: „Muszę porozmawiać z Elaine”. Nick przełączył rozmowę do sypialni. Wrócił na kanapę, uznał, że ma już dość programu, i wyłączył telewizję. Pokręcił się trochę po parterze, powylał światła, wreszcie poszedł na piętro. Kiedy wszedł do sypialni, Elaine stała jeszcze ze słuchawką w dłoni, z wyrazem twarzy, którego nigdy w życiu u niej nie widział i który przeszył go dzikim strachem.

Kiedy Polly dowiedziała się o Kath, ten dzień był już dniem wczorajszym. Dopadło ją poczucie winy, potrzeba ukarania się — tyle beztróskich godzin niewiedzy, tyle zawracania sobie głowy błahostkami, podczas gdy Kath... Polly do dziś nie może sobie tego darować.

Ówczesna Polly to kobieta pracująca; dwadzieścia dwa lata, skończony college, zabezpieczenie debetowe w banku, trzy karty kredytowe i kawalerka w Stoke Newington. Miała solidny etat na najniższym szczeblu pracowników Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Prudential”, które nie było może najlepszym miejscem na świecie, ale na razie jej wystarczało. Polly miała czas, by się rozejrzeć, nauczyć czegoś i zobaczyć, co jeszcze może ją czekać.

Tak więc tego dnia Polly przemknęła w pracy jak wiatr, a nie była to praca zbyt wyętzona. Wdawała się w wesołe swady z kolegami. Przy kserokopiarce podjęła bardzo interesujący flirt z przystojnym chłopakiem z działu sprzedaży. W godzinie lunchu wybiegła do sklepu kupić fantastyczne buty, bez których, jak twierdziła, nie mogła żyć minuty dłużej. Po pracy spotkała się ze starą przyjaciółką z college'u i przeplotkowała z nią całą długą wizytę w pizzerii.

Tak więc miała nieco pracy, trochę była zajęta, trochę czymś zainteresowana, czuła się rozba-  
wiona flirtem i ożywiona zakupem w sklepie z butami. Kiedy wieczorem szła ulicą rozświetloną neo-  
nami, rozedrganą i tętniącą ruchem, poczuła energię miasta i pomyślała, że życie jest piękne. Gdyby  
ktoś ją wtedy o to zapytał, odparłaby prawdopodobnie, że tak, jest szczęśliwa. Owszem, miała zły  
moment, dwa nawet: wystarczyło przypomnieć sobie debet i skrupuły, jakie ją opadły podczas płacenia  
kartą za buty, oraz uczucie chorej zazdrości, którego doznała, gdy jej przyjaciółka, ze szczęśliwym  
uśmiechem na twarzy, zwierzała się, że jest zakochana po uszy i to z wzajemnością. Od takich mo-  
mentów daleko jednak do bycia nieszczęśliwym.

Gdy Polly wraca myślami do tamtego dnia — dnia Kath — wie, że wraca do czegoś, co wykra-  
cza poza jej doświadczenia, wykracza nawet poza jej wyobrażenia o doświadczeniu. Tamtego dnia  
Kath odwiedziła jakieś potworne miejsce, które dla Polly było niewyobrażalne. Kath, tak jej bliska, tak  
swojska, tak droga, tak... w pewnym sensie zwyczajna, poza tym, że oczywiście wcale nie była zwy-  
czajna.

Polly uświadomiła sobie, że dotąd nie zmarł nikt, kogo by знаła. Ktoś bliski, ktoś obecny w jej  
życiu. Nie mogła, nie chciała uwierzyć — wpadła w dziwny stan, nie tyle żaloby czy załamania, ile...  
po prostu niewiary. To niemożliwe. Nie Kath. To jakaś absurdalna pomyłka.

Kiedy wreszcie dotarło do niej, że o pomyłce nie ma mowy, przysłała jej do głowy tylko jedna  
myśl, jedno pytanie: Dokąd odeszła? Gdzie ona teraz jest? Gdzie, gdzie? Wyobrażała sobie wielką,  
mroczną próżnię, a w niej Kath, dryfującą bezradnie, niedostępną.

Kiedy Oliver przeczytał list od Elaine, jego pierwszą reakcją była jakaś wstrząsająca aprobata:  
nigdy o tym nie pomyślałem wprost, ale tak, to się musiało kiedyś stać. Szuka w pamięci chwil spęd-  
zonych z Kath i każda sekwencja, która się pojawia w jego głowie, zostaje delikatnie wyparta przez  
to, do czego ostatecznie doszło. Dzień sprzed tygodnia rozwił wszelkie pozory — wszystko, co się  
wydawało nienagane i czyste, teraz już takie nie było. „Jesteś szczęśliwym człowiekiem, Oliver?“,  
pyta Kath.

Żałował Kath. Czytał list, który zawierał niewiele, tylko fakty — gdzie, kiedy, jak. Ale oczywi-  
ście nie: dlaczego. Przeczytał list jeszcze raz, wsunął go z powrotem do koperty i popadł w melanco-  
lijny smutek. Od lat nie rozmawiał i nie widział się z Kath, ale zawsze był świadom jej obecności, od-  
czuwał jakąś cichą satysfakcję z tego, że ona jest. Nawet jeśli daleko, to jest. Ale teraz jej nie ma.

Nie zastanawiał się dlaczego; nie chciał wiedzieć dlaczego. W jakiś niewytłumaczalny sposób  
rozumiał to tak, że to było jej pisane, zostało gdzieś postanowione i zapowiedziane. W Kath zawsze  
tkwiło coś niepokojącego, co ją dezintegrowało i niszczyło. Za jej czarem i lekkością kryła się ciemna  
strona życia. Ale nikt jej wtedy nie dojrzał, myślał Oliver. Dojrzeć można było tylko jej twarz.

Mary Packard patrzy spod przymrużonych powiek, jak przybywają goście: samochód zajezdza pod bramę, parkuje na poboczu, wysiada z niego kierowca, rozgląda się, upewnia, czy dobrze trafił. Idzie w kierunku domku, ścieżką przez ogród, między rzędami lawendy. Mary patrzy z okna stojącej obok pracowni. Wychodzi dopiero w chwili, gdy gość chwyta za kołatkę: „Halo, dzień dobry! Jestem tutaj”.

Tak mówi do Glyn Petersa, do Elaine, do Olivera, którego nazwiska nigdy nie mogła zapamiętać i nadal nie pamięta. Oczywiście nie do wszystkich naraz; do każdego osobno, kiedy w ciągu paru tygodni kolejno do niej przyjeżdżali. Mała, dziwna epidemia wizyt, w każdym wypadku anonsowanych telefonicznie — krótko i rzeczowo (Glyn), nieśmiało, ale z uporem (Elaine), dwuznacznie (Oliver). Po pierwszej wizycie następne nie były niespodziewane.

Pracownia Mary to stara, przerobiona wiejska mleczarnia, stojąca na podwórzu obok domu; latem przyjemnie chłodna, zimą zimna nie do wytrzymania, ściany pomalowane bielutkim wapnem, na posadzce płytki, ogromne okno, przez które słońce zalewa całe pomieszczenie. Jest zlew i wielki, zaślania stół, dalej skrzynia z gliną, koło garncarskie i wyroby na dziesiątkach półek. Jej prace, wystawiane w galeriach i ośrodkach sztuki rękodzielniczej, nie są tanie. Wydaje się zdumiewające, że te piękne, idealnie wyważone kształty wyrosły z kopczyka błotnistej gliny. Kath pytała czasem: „Mogę usiąść i popatrzeć?” Siedziała więc na starym trzciniowym krześle, w milczeniu dotrzymując towarzystwa.

Mary jest niska, przysadzista i silna. Wydaje się, że więcej ma wspólnego z surową gliną niż jej eleganckimi wcieleniami, które rodzą się w jej zręcznych dłoniach. Dzisiaj, wiele lat po tym, gdy bywała u niej Kath, jej zgarnięte na czubku głowy kruczoczarne włosy przybrane są już w pasma siwizny. Jest sama. Mężczyźni się zjawiali i znikali, ale Mary jest dobrze tak, jak jest. Mężczyzna, z którym pojechała na piknik do rzymskiej willi, popadł już w takie zapomnienie, że kiedy Elaine o niego pyta, Mary mocno wyteża pamięć, by w ogóle skojarzyć, o kogo chodzi: „Oo, ten... Od wieków nie utrzymuję z nim kontaktu”.

To kobieta niezależna i samowystarczalna; co nie oznacza, że ma się za pępek świata, że jest z siebie zadowolona lub obojętna wobec innych. Oznacza to raczej tyle, że należy do tych rzadkich i być może błogosławionych dusz, które potrafią godnie przejść przez życie samodzielnie i samotnie, bez widocznej potrzeby towarzystwa, związków, miłości.

Mary była kochana i sama kochała; jednak doskonale radzi sobie także wówczas, gdy nie ma wokół siebie miłości. Bardzo lubi dzieci, ale własnych nie ma. Czuje, że być może coś straciła raz na zawsze, coś bardzo ważnego, ale któregoś dnia doszła do wniosku, że jest już za późno, by się nad tym

użalać. Jest inteligentna, przenikliwa, ciepła i serdeczna; natura obdarzyła ją także rzadko występującą umiejętnością dokonywania obiektywnego i rzeczowego osądu.

Ludzie kręcili się wokół Mary, wyczuwając w niej przyciągającą siłę, której nie potrafili rozpoznać i nazwać. Przynajmniej większość z nich. Byli tacy, którzy wytaczali ciężkie działa. „Masz lód w sercu”, stwierdził kiedyś jeden z jej znajomych. Mylił się jednak: Mary żyła nie z lodem w sercu, lecz raczej w zbroi na ciele. Mary nosi pancerz, za którym może się skryć. Ten pancerz wabi też słabszych, mniej obdarzonych przez naturę, którzy skłonni są krążyć wokół niej i szukać dla siebie bezpiecznego schronienia. Mary przyciąga osoby niezaradne, outsiderów i życiowych rozbitków, wśród nich także mężczyzn, których musiała delikatnie odtrącić, gdy stopień uzależnienia zaczynał stawać się niebezpieczny dla obu stron. Byli też młodzi adepci sztuki garncarskiej, a wśród nich dziewczęta, którym potrzebna była wiedza nie tyle o lepieniu garnków, ile o samym życiu. Wiedza, której, jak się wkrótce przekonała Mary, nie sposób przekazać tak jak lekcję w szkole, lecz którą trzeba osiąść samemu. Dziś nie ma już przy Mary żadnej zbłąkanej owieczki. Tylko rozmaici znajomi, pojawiający się z rzadka, ale regularnie. Starzy przyjaciele, którzy chętnie przyjeżdżają do Mary po dobre słowo i uśmiech, sąsiedzi lub okoliczni mieszkańcy z różnymi potrzebami.

Mary ma w sobie ikrę, rozdaje uśmiechy, dzieli się dobrą i roztropną radą, która nie zawsze jako roztropna jest odbierana. Tryska energią, częstuje kawą i tanim winem, czasem kogoś przechowa, proponując wolne łóżko. Potrafi znakomicie słuchać ludzi — bez emocji i ze zrozumieniem, co daje poczucie pewnego katharsis. Tym, którzy znaleźli u niej oparcie, było lżej na duszy, kłopoty wydawały się im łatwiejsze do okiełznania, jakby spojrzeli na nie z perspektywy długiego czasu. Tymczasem Mary, tak naprawdę, nie udziela wskazówek, nie sugeruje, co robić, nawet nie mówi wiele. Niekiedy jej myśli zaskakują, nawet przerażają tych, którzy potrafią się jej ze wszystkiego zwierzyć. Czasami, wbrew swej najlepszej woli, Mary jest zirytowana łatwością, z jaką ludzie dają się wciągać przez innych w piekło życia. Zdaje sobie jednak sprawę, że jej własna odporność jest czymś rzadkim i niezwykłym. Ponieważ osobowość nie jest czymś, co można przekazać innym ludziom w darze, Mary więc może jedynie ich wysłuchać i chować dla nich w zanadrzu wyważony osąd. Czasem trudno jej wytrzymać; gdy na przykład słucha kolejnej przypowieści o zdradzie, z ust zapłakanej uczennicy, która bierze na siebie całą winę — czy naprawdę nie widziała, jak facet wodzi ją za nos? Albo gdy w lamentach sąsiada, użalającego się nad łańcuchem nieszczęść finansowych w jego domu, odkrywa chęć życia ponad stan i nieudolność w wydatkowaniu pieniędzy. Mary żyje skromnie, zawsze tak było. Ci, którzy najwyraźniej konsumują zbyt wiele, muszą się liczyć z tym, że sami zostaną skonsumowani — tak myśli, ale nie mówi tego głośno. Ludziom, którzy wylewają swe smutki przed innymi, bardziej potrzebne jest współczucie i litość niż kazanie i czcze morały.

Mary poznała Kath dawno temu na warsztatach rękodzielniczych. Kath obsługiwała kram swojej przyjaciółki. Mary podniosła oczy i za rzędami barwnej, wypalanej, okrytej szkliwem ceramiki zo-

baczyła kobietę śliczną jak z obrazka, o delikatnych rysach twarzy, przed którą kłębił się tłumek zachęconych klientów. Zainteresowanie ceramiką było w tym wypadku fenomenalne. Mary podeszła i zagaiła rozmowę. Później wspólnie zjadły lunch. „Nie chciałabyś sprzedawać u mnie garnuszków?“, zapytała. Przypadły sobie do serca, niespodziewanie odkryły w sobie bratnie dusze. „Wiesz, jestem twoim przeciwieństwem“, powiedziała kiedyś Mary, ni stąd ni zowąd, dużo później. „Och, tak“, zgodziła się Kath. „W tym cała rzecz, dlatego chciałabym być tobą. Może się zamienimy?“ Powiedziała to żartem, ale to wcale nie był żart.

Ich przyjaźń była cicha, wręcz tajemna. Mogły nie mieć ze sobą kontaktu przez tygodnie i miesiące, ale kiedy się wreszcie spotykały, czuły się tak, jakby się rozstały dzień wcześniej. W rozmowach telefonicznych nie trzeba było wszystkiego mówić, każda dobrze wiedziała, czego się spodziewać z drugiej strony. „Dlaczego nie jesteś mężczyzną?“, pytała Kath. „Szkoda, że nie jesteśmy homo, to by wiele rozwiązało“, śmiała się. Kiedy mężczyźni Kath poznawali Mary, instynktownie usuwali się w cień, jakby wyczuwali, że nie stanowią dla niej żadnej konkurencji. Kath nigdy nie pytała Mary o zdanie na temat tego czy innego mężczyzny; sama w końcu mówiła: „Och, ten nie był wart funta kłaków“. I zaczynały rozmawiać na inne tematy. Kath żartobliwie traktowała przygodnych kochanków Mary. Kiedy znikali z horyzontu, mówiła zwykle: „Biedaczyna. Ale nie wytrzymałby długo, a poza tym nie był ci potrzebny, prawda?“

Bardzo się zżyły w ciągu tych lat. Były blisko siebie, ale też daleko — wiodły zupełnie odrębne życie, z innymi ludźmi, w innym wymiarze, połączone jedynie sygnałami głębokiej przyjaźni. Kath zwracała uwagę na różnych rozbitków życiowych i bardzo się ich wystrzeżała. Ale gdy spotykała takich ludzi u Mary, była dla nich serdeczna i przyjazna. Pewnego razu, gdy zostały same po odejściu jednego z takich natrętów, zapytała: „Czy ja nie jestem taka jak oni? Ale powiedz szczerze“. Mary odpowiedziała: „Nie, ty nigdy nie mogłabyś taka być, to niemożliwe, cokolwiek by się z tobą działo“.

Wiedziała, co się czasem dzieje z Kath. Nie zawsze. Widziała to w jej zagubionych oczach. Dostrzegała, że pod maską wesołości toczy bój z jakąś mroczną bestią. Wiedziała też, że nie należy zadawać wielu pytań. Zrozumiała, że Kath żyje w wiecznej ucieczce od pytań i dociekań. Jeśli coś ją gryzło, można było to dostrzec najwyżej ukradkiem. Ale od czasu do czasu zdarzało się, że dowiadywała się od niej o wszystkim. „Przepraszam“, mówiła potem Kath. „Muszę to z siebie wyrzucić, a komu, jeśli nie tobie mam o tym powiedzieć? Poza tobą nie ma nikogo takiego“.

Glyn Peters i Mary Packard krążyli podejrzliwie wokół siebie, jak dwa nieufne psy. Podczas pierwszego spotkania Mary poczuła, że raczej szczerzy do niego groźnie kły, niż uśmiecha się szeroko. Dlaczego on, myślała gorączkowo. Dlaczego ktoś taki? Dlaczego teraz? U Kath zauważyła napięcie. W Glynie widziała zdobywcę i łupieżcę, oportunistę, seksualnego korsarza. Kiedy Kath jej powiedziała, kiedy obwieściła: „Właściwie to wychodzę za niego za męża“, Mary wyrzuciła z siebie tylko: „Jesteś w ciąży?“

Kath zamilkła. Odwróciła wzrok. „Och, nie”, powiedziała. „Boże, ależ nie”. Nastąpiła cisza. Po chwili znowu przemówiła słabym głosem. „Myślę, że on mnie kocha”. Mary nie miała pojęcia, co jej odpowiedzieć.

Gdy patrzy teraz, tyle lat później, jak Glyn Peters wysiada z samochodu, rozgląda się, otwiera furtkę i idzie ścieżką przez jej ogródek, Mary widzi człowieka, który dźwiga wielki bagaż — bagaż wszystkich minionych lat. Jest nad miarę obciążony jej dawną nieufnością — która z czasem ustąpiła przecież zwykłej tolerancji. Widzi człowieka, którego szczerze nie lubiła, lecz do którego przywykła, ponieważ nie miała wyboru, ponieważ był nieuniknionym atrybutem życia jej przyjaciółki. Widzi człowieka, z którym często toczyła spory, który miał zdanie na każdy temat i gotowy był zagadać innych na śmierć. Ze zdumieniem patrzy, że ten człowiek jest dużo starszy, powolniejszy i bardziej przygarbiony. W tej samej chwili staje jej przed oczami siwizna na jej własnej głowie. To jednak ten sam człowiek, nikt inny, wokół niego roztacza się ten sam dawny czas i tamci ludzie. Jest z nim Kath; jest z nim jej głos: Glyn to, Glyn tamto, Glyn siamto, „Glyn wyjechał na parę dni, chyba zwagaruję i wpadnę do ciebie, co ty na to?” Jest z nim ich dom w Melchester, w którym Mary rzadko gościła i który wydawał się jej domem bez ciepła, pozbawionym domowego ogniska, domem, w którym dwoje ludzi przebywało, ale w którym nikt nie mieszkał. Jest z nim Nick i Elaine, i ich dom, zatłoczona kuchnia, rozmowy, dyskusje, Kath tańcząca z Polly, Elaine przygotowująca jedzenie dla tuzina gości, Nick z wypiekami rozprawiający o nowym pomysle, Oliver Jakiśtam, z boku, jakby czymś zafrasowany. Jest z nim...

Glyn dochodzi do drzwi, puka. Mary otwiera okno pracowni. „Jestem tutaj!”, woła.

Kiedy Glyn otwiera furtkę i wchodzi do ogrodu, ogarnia go nagłe zwątpienie, niepewność. Nie wie, czy jeszcze pamięta, dlaczego postanowił przyjechać do Mary Packard. Co mu, u licha, strzeliło do głowy? Po co dzwonił do niej pod wpływem impulsu, dlaczego było to wtedy takie ważne?

Ale już zbiera myśli, odzyskuje siły. Rozgląda się; widzi bielony wapnem domek, okna z kamiennymi słupkami, komin z siedemnastowiecznych cegieł i czerwone dachówki, stare, ale dużo młodsze od cegieł. Przemierza ogród i puka do drzwi. Dochodzi go jakiś głos z boku. Obraca głowę i widzi ją. Och, to ona, rzeczywiście, choć nie bez zdziwienia konstatuje, że także ona, hm... posunęła się w latach...

— Och, to ty, Mary — podnosi rękę. — Witaj.

Kiedy potem będzie usiłował zreasumować wszystko, co zostało powiedziane w domu Mary Packard, dojdzie do przekonania, że było to nagromadzenie słów z jednej strony i emocji z drugiej; jej słów i jego głuchych pomrukiwań. Jego słowa nie materializują się w pamięci; wie, że na początku spotkania je wypowiadał, potem popadł w milczenie. W jakimś momencie zamilkła także Mary i w pokoju na długo zapadła niezręczna cisza — dużym pokoju, w którym jest wydzielona kuchnia, salo-



nik i gabinecik, w którym tyka potężny zegar dworcowy, a na serwantce leżą stosy morskich muszli, kamieni, wiechy trzciny i samotna owcza czaszka.

— Zdaje się, że zamknęłam ci usta — zauważyła. — Przepraszam.

Pamięta, jak rozłożył ręce w geście... Czego? Porażki? Przyznania się? Zaprzeczenia?

W jakim momencie je rozłożył? Było już późne popołudnie; było już po powitalnych grzecznościach, wejściu do domku i zaparzeniu kawy, po tym już, jak zaczął się wstęp, jak Mary usiadła naprzeciw niego bez słowa, z tym spojrzeniem, co dawniej. Po tym, jak wyjaśnił, dlaczego przyjechał — oszczędnie, tonem wyważonym, jak najbardziej przekonującym.

To było po tym, jak Mary zaczęła mówić. Mówiła bardzo długo. Na temat Kath. Chcesz się czegoś dowiedzieć o Kath? Tak zapytała. Dobrze, powiem ci coś o niej.

„Mnie trudno nabrać, Glyn”, powiedziała. „Daj spokój z tym pamiętnikiem. Żadnego pamiętnika nie pisesz, prawda? Nie wiem, co cię gryzie, ale widzę, że wpadłeś w jakąś obsesję na punkcie Kath. Podejrzewam, że o wiele większą niż za jej życia, a przynajmniej odkąd zostaliście małżeństwem”.

Od tego momentu słowa zaczynają napływać strumieniem, a on słucha tylko, świadom emocji zmieniających się w nim jak w kalejdoskopie. Nagły przyływ żalów i wyrzutów — wypierany powoli przez coś, co ujawni się dopiero później, jutro, jutro... Mary mówi o Kath, której Glyn nigdy nie znał. Mówi o poronieniu. Nie wiedziałeś, prawda? Kath powiedziała mi, że nie wiesz. Nie chciała, żebyś wiedział. Byłeś na jakimś długim wyjeździe — Kath chyba mówiła, że w Stanach Zjednoczonych. Chciała ci powiedzieć o ciąży po twoim powrocie. To było dawno temu — dwa, trzy lata po waszym ślubie. Pracowała wtedy przy organizowaniu jakiegoś festiwalu sztuki.

Nie zdawałeś sobie sprawy z tego, że bardzo chciała mieć dziecko? Bardzo. Ja też nie wiedziałam, do tamtego dnia. Powiedziała mi jeszcze, że może to dobrze, że je straciła, bo chyba Glyn nie byłby zadowolony. Ale nie, to wcale nie było dobrze. Przeciwnie, zdaje się, że nie mogło być nic gorszego.

To było drugie. Drugie poronienie. Drugie nie narodzone dziecko. Pierwsze nie było twoje. Miała dwadzieścia lat. Dawno temu, bardzo dawno. Powiedziała mi to niby mimochodem; w sposób, który uruchamia dzwonki alarmowe. Zapytałam ją, czy zostałaby z ojcem tego dziecka, gdyby rzeczy potoczyły się inaczej, gdyby nie straciła dziecka, a ona odpowiedziała: „Och, tak, tak, oczywiście, dla dziecka tak”. Nie wątpię, nie wątpię. Dla dziecka wszystko.

Chcesz coś wiedzieć o przyjaźniach Kath?, pyta Mary. Hm... przede wszystkim ja. Ale mnie przecież znasz. Na pewno chciałbyś coś wiedzieć o jej przyjaciółkach, mężczyznach, prawda? To cię gryzie, tak? Jeśli tak, to stoisz na straconej pozycji, Glyn. Nie było tłumu zakochanych młodzieńców, nie było kochanków. Nie ma nic do ukrycia.

Więc mówi, co go gryzie. Nick. Przynajmniej ma kartę, którą może otwarcie zagrać.

„Tak, wiedziałam”, odpowiada. Ale dopiero potem. Kiedy Kath zaczęła siebie nienawidzić. O wiele bardziej niż kiedykolwiek.

Powiedziała mi. Mówiła, że zrobiła coś głupiego. Zupełnie bezsensownego. Nick. Powiedziała: Nick, akurat on. Pamiętam dokładnie, jak tu siedziała, zmęczona, posępna i blada.

Nie, nie wiem dlaczego. To sprawy, których nie rozgryzą najtęższe głowy, prawda? Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że to nie trwało długo, a kiedy się skończyło, to na dobre. Nick jest oczywiście... Cóż, znasz Nicka równie dobrze jak ja. Może nawet lepiej. Nick to pędziwiatr, czyż nie? Człowiek, który żyje chwilą. Kath też miała domieszkę takiego charakteru, może więcej niż domieszkę. Ale z nią było inaczej; to był dla niej jedyny sposób, by odganiać demony — coś, co w niej tkwiło, co się w niej gotowało, może nie zawsze, ale coraz częściej. Musiała być w ruchu; musiała wyjść z domu, z kimś się spotkać, coś robić.

Więc to cię gryzie. Tak, pamiętam piknik przy rzymskiej willi. Kath była wtedy u mnie, przyjechała na dzień czy dwa, zadzwonił Nick, może Elaine, zaproponował, żebyśmy się spotkali i gdzieś pojechali. Ciebie, jak sądzę, wtedy nie było. Nie pamiętam, jak robiliśmy to zdjęcie.

Słowa Mary wywołują z ciemnej czeluści fotografię, której Glyn nie chce już widzieć, nigdy więcej. Już się usuwa na bok, wycofuje się ze wszystkiego.

Zaczęła siebie nienawidzić...?

Nie wiedziałeś? Cóż, Kath umiała się doskonale kamuflować. Może jednak miała jakiś talent aktorski, może nie powinna była pochopnie przerywać nauki w szkole teatralnej. Większość ludzi nigdy by tego nie dostrzegła. No, ale ty...

Byłeś jej mężem, mieszkaleś z nią przez dziesięć lat pod jednym dachem; te słowa nie zostały wypowiedziane, ale zawisły między nimi w powietrzu, jak ciężki miecz.

Nie pytaj mnie dlaczego, mówi Mary. Nie lubię się bawić w psychologa. Po prostu taka była. Nie zawsze. Czasem miała znakomite okresy, świetnie funkcjonowała, aż nagle... trach! To dziwne, w tych trudnych chwilach wyglądała najpiękniej. Błyszczała, jak w aureoli. Och, człowiek tego nigdy nie może wiedzieć. Ja wiedziałam, bo mi mówiła. Potem zaczęłam ją obserwować.

Powiem ci, Glyn, dlaczego za ciebie wyszła. Dlaczego ze wszystkich mężczyzn, którzy się przy niej pokazali, wybrała właśnie ciebie. Bo uważała, że ty jeden ją kochasz. Po tych słowach Mary patrzy z uwagą na Glyna i zauważa, że ten unika jej wzroku.

Zapada cisza.

Mniej więcej wtedy Glyn poczuł, że ma dosyć. Nie potrafi już dłużej tego słuchać. Chciałby już wyjść, natychmiast, chciałby wsiąść do samochodu i odjechać jak najdalej od Mary Packard i od tego, co powiedziała. Ale słów już nie da się cofnąć, jej głos pozostanie przy nim na zawsze. Musi wstać i odejść stąd ścieżką przez ogródek, mając w głowie jej słowa. Musi je zabrać do domu.

Elaine wie, czego chciałaby się dowiedzieć od Mary Packard, ale nie wie jeszcze, jak to zrobić. Doskonale czuje, czego chce, ale nie potrafi tego teraz wyartykułować. Chce usłyszeć coś o Kath — z ust kogoś, kto nie jest ani Polly, ani Oliverem Watsonem, ani Nickiem, och, już na pewno nie Nickiem. Od kogoś, kto nie jest zwariowaną kuzynką Lindą. Od kogoś, kto, jak ona sama, potrafi mówić w sposób godny zaufania. Choć w ostatnich tygodniach coś się stało z jej wiarą w to zaufanie; słyszy jakieś głosy destrukcyjne, tworzą się jakieś pęknięcia i niewiadome pola, krótkimi błyskami ujawniają się rzeczy, których nie potrafi zrozumieć.

Bardzo chciałaby odbudować to zaufanie. Chciałaby usłyszeć, że głosy ją zwodzą, że wcale nie słyszy tego, co jej się zdaje, i że wszystko jest takie, jakie było wcześniej.

Chce porozmawiać o Kath z kimś, kto ją bardzo dobrze znał. Przecież nie chce niczego więcej, prawda?

Wysiada z samochodu, otwiera furtkę, idzie zwawym krokiem przez ogródek, ścieżką między niskimi żywopłotami *Lavandula augustifolia* „Munstead”. Podnosi dłoń, by zapukać do drzwi domu, którego front okrywają gęste powoje *Clematis tangutica* i róże „New Dawn”.

— Wiem, zjawiam się jak grom z jasnego nieba — mówi na powitanie Elaine. — Minęło tyle czasu...

— Ależ skąd — odpowiada Mary Packard. — Spodziewałam się, że przyjedziesz.

Może nie powinna tego mówić. Elaine jest trochę zbита z tropu.

Taki był początek.

Jaki był koniec? Elaine wraca ścieżką między lawendami i ma dziwne poczucie, że upłynęła nie godzina czy dwie, lecz ogromnie dużo czasu, odkąd się stała kimś innym. W pewnym sensie wciąż jest sobą, ale z drugiej strony czuje, że nastąpiła w niej odmiana. Przeszłość została odbudowana, a wraz z nią pewność. Widzi inaczej i czuje inaczej.

Nie narodzone dzieci, które parę godzin wcześniej nie istniały w jej świadomości, teraz stanęły przed nią jak żywe. Dzieci Kath. Z powodu tych istnień — istnień, którym nie było dane żyć — temu, co zostało już powiedziane i uczynione, zostaje nadany nowy smak. Jeśli teraz Kath się do niej odzywa, Elaine słyszy w jej głosie nową nutę. Kath wypowiada te same słowa, ale zupełnie inaczej.

Dlaczego mi nie powiedziałaś?, pyta Elaine.

Widzi Kath z Polly, tańczą, mała Polly i dorosła Kath. Widzi, jak Kath zaplata Polly warkocz. Widzi, jak wchodzi z nią do kuchni z koszem jabłek zebranych w ogrodzie, pełnym po brzegi.

Myślałam, że nigdy nie chciałaś mieć dzieci. Elaine przemawia do kierownicy swojego samochodu, do lusterka wstecznego, do tylnych drzwi sunącej przed nią ciężarówki, do Kath.

Nienarodzone dzieci przyćmiewają wszystkie inne obrazy. Słyszy je, są głośniejsze od słów, które padły w rozmowie. To właśnie one, nie narodzone dzieci, wszystko wykrzywiły. Wracają nieustannie; bez twarzy, bez kształtu, znaczące, ważne.

Mary Packard wiedziała. Elaine nie. Przyjaciółka. Siostra. Być może Mary czuje się tym zakłopotana: Nie zdawałam sobie sprawy... mówi. Wiedziałam, że Glyn nie wie... ale sądziłam, że ty może... tak, rozumiem. Cóż, zapewne Kath miała powody, mówi Mary.

Zapewne, myśli Elaine. Główny powód to ja sama. To, jaka jestem. Jaka byłam dla niej.

Ale jest jeszcze coś. Wraca do domu, patrzy na umykającą spod kół szosę i dręczy ją jakiś niepokojny nurt w myślach. Chodzi o to, mówi Mary Packard, że Kath zawsze chciała być kimś innym. Chciała być tobą. Chciała być mną. Nie potrafiła wyzwolić się z okowów wyglądu. Uroda zwiodła ją na manowce, można się tylko domyślać, jak bardzo ustawiła jej życie. Gdyby Kath tak nie wyglądała, mogłoby się ono potoczyć zupełnie inaczej. Inni mężczyźni. Inne działania. Inne kierunki. Być może wzięłaby się do czegoś energiczniej, być może odkryłaby w sobie jakiś talent, zdobyła zawód, jak ty, jak ja. Powiedziała mi kiedyś, siedziała wtedy ze mną w pracowni, że nie ma jednej rzeczy, którą potrafiłaby dobrze zrobić, że jak sięga pamięcią, do czegokolwiek się brała, rzucała to w pół drogi.

Chciała być kochana. To pragnienie większości z nas, jak sądzę. Ale ona chciała bardziej niż wszyscy, dużo bardziej.

Odeszła w tym samym wieku co wasza matka, prawda? To dużo znaczy, mówi Mary. Nie wiedziałaś? Zjadliwość w głosie. Elaine czuje się niepewnie.

Ta sprawa z Nickiem... zaczyna Mary.

Elaine, która nie miała najmniejszego zamiaru o tym mówić, sztywnieje. Milczy. Więc Glyn tu był. Wszystko jasne, nic dziwnego, że się mnie spodziewała.

Ta przekłeta fotografia, mówi Mary. Tak, pamiętam ten piknik. Kto? Ach, ten... Nie, od wieków nie utrzymuję z nim już żadnych kontaktów.

Daj sobie z tym spokój, mówi Mary. Ta sprawa. Nick. To jakiś chwilowy wyskok. Bóg jeden wie, dlaczego tak było. Czy musimy o to pytać?

W połowie drogi do domu, stając przed skrzyżowaniem w szeregu innych aut, Elaine odkrywa, że rzeczywiście, nie musi o to pytać. To odkrycie przynosi jej niespodziewaną ulgę, uwalnia od czegoś przygniatającego i potęguje zmiany w postrzeganiu wszystkiego, co było. Kiedy samochody ruszają i nabierają prędkości, Elaine ma poczucie, jakby ruszała w nowy wiek, gdzie wszystko będzie takie jak dawniej, choć także inne.

Co ja tu, do cholery, robię?

Oliver siedzi w samochodzie, przed domem Mary Packard, i ma poczucie, że mógłby pod byle pozorem przekręcić kluczyk w stacyjce i odjechać jak najszybciej. Co tu robi? Po co mu to? Chyba zwariował. To zupełnie niepotrzebne. Żenujące. Tyle tylko, że parę tygodni temu, przez kilka godzin, wydawało mu się, że to absolutny imperatyw.

Wysiada z auta, zatrzaskuje drzwi, otwiera furtkę do ogrodu.

Zapomniał już, jak wygląda Mary Packard, ale natychmiast wydaje mu się znajoma. Oczywiście — ta gęsta czupryna, ten spokój, to opanowanie. Kiedy siada przy stole w kuchni, z kubkiem herbaty w dłoni, wydaje mu się oczywiste i rozsądne, że jednak tu przyjechał.

Rzecz w tym, mówi, że nie mogę przestać o tym myśleć. Odkąd... ee... wiesz, wypłynęła sprawa tej cholernej fotografii.

Wiem o niej wszystko, mówi Mary Packard. Wyjaśnia mu, skąd wie, ale Olivera nie opuszcza przekonanie, że ta kobieta wiedziałaby, mimo dwóch poprzednich wizyt — za sprawą jakiegoś osmotycznego procesu, niczym dobra wróżka z bajki.

To moja wina, Oliver bije się w piersi. To znaczy, oczywiście, to nie moja wina, ale w pewnym sensie moja, bo zrobiłem zdjęcie, które potem, jak ostatni idiota, przesłałem Nickowi, zamiast zmiąć je, spalić w kominku i morda w kubel. Gdyby nie ja, nie byłoby zamieszania. Najpierw siadł mi na plecy Glyn. Potem Nick. Elaine chyba straciła grunt pod nogami, bo pokazała Nickowi drzwi i nic już do niej nie przemawia.

Tak, mówi Mary, nastąpiło wśród ludzi pospolite ruszenie.

To moja wina?, pyta Oliver.

Oczywiście nie, zaprzecza Mary. Wiesz, że nie. Chyba nie przyjechałeś tu po to, żeby zadać to pytanie.

Oliver zgadza się, że rzeczywiście nie. Zaczęli się dobrze rozumieć, on i Mary Packard, jakby zjedli już niejedną beczkę soli, choć Oliver nie pamięta, by kiedykolwiek wymienili między sobą więcej niż parę zwykłych uprzejmości. Teraz łączy ich podskórnie jakieś jedno widzenie.

Ponura historia, mówi Oliver. Nie mówi już o fotografii ani o Glynie, ani Nicku czy Elaine. Mówi o Kath, przede wszystkim o niej. Dar niebios, zdawałoby się, błogosławiona przez bogów, prawda? Tymczasem raczej wyklęta.

Wciąż o niej myślę. To znaczy, zawsze człowiek o niej myślał, ale nie tak... nie tak nieodparcie. Te myśli wracają samoistnie. Czy można było coś zrobić?

Prawdopodobnie nic, mówi Mary.

Popołudnie niepostrzeżenie przemieniło się w wieczór. Dzbanek herbaty zastąpiło czerwone wino. Oliver i Mary Packard rozmawiają o starych czasach. Najwięcej o Kath. Wspominają, przywracają Kath do życia, przekazując ją sobie — patrząc na nią, słuchając jej. Wspominają ją taką, jaka była, bez ckliwego sentymentu. Oliver wsłuchuje się w rzeczy, o których dotąd nie słyszał, a Kath, o której teraz opowiada, wydaje mu się subtelnie zmieniona. Kath, którą znał, widział i słyszał, odbiera teraz inaczej. Czuje się też uspokojony i wyciszony. Jakby we wspomnianiu Kath krył się rytuał, jakby wspomnieniami spłacali wobec niej dług. Nie ma pojęcia, czy po to tu przyjechał, ale cieszy się, że przyjechał. Podróż nie okazała się daremna, spełniła swój cel, być może nie ten, z jakim tu się wybierał — choć nie jest pewien, czy wiedział, w jakim celu tu jedzie.

Nie można było przejść obok niej obojętnie, mówi Oliver.

Wciąż nie można obojętnie obok niej przejść, mówi Mary.

TLR

## Zakończenie

Pamiętasz, którego dnia brałem z mamą ślub? — Niestety, nie byłam zaproszona — odpowiada zjadliwie Polly.

— Na pewno lipiec, to wiem, ale którego dnia?

— Naprawdę nie pamiętasz?! — denerwuje się Polly. — Minęło tyle lat i nie pamiętasz?

Nick odpowiada, że przecież pamięta. No, mniej więcej, zna rok i miesiąc, zapomniał tylko którego dnia.

— To ci powiem, dziewiętnastego. To już w najbliższy piątek. Naprawdę, tato, jestem zdumiona, że nie pamiętasz. Uważam, że powinieneś bić się w piersi. Jak możesz nie pamiętać? Aha, słuchaj, wyjeżdżam na cały weekend. Gdzieś na wieś z... kolegą. Proszę cię, żebyś nie zapomniał zabrać kluczy, gdy będziesz wychodził z mieszkania, dobrze?

Nick wychodzi na zakupy. Otumaniony patrzy na witryny sklepów, rozświetlone grotty, w których wśród fałd satyny błyszczą zegarki, na welwetowych, bezgłowych popiersiach złocą się broszki i klejnoty, a na miniaturowych drzewkach z kryształu wiszą girlandy złotych łańcuszków. Nie umie sobie wyobrazić, jak się wchodzi do takiego sklepu i rozpoczyna rozmowę ze sprzedawcą, więc rusza dalej. Po pewnym czasie tonie w tłumie dużego centrum handlowego, gdzie głównie krąży bezradnie między piętrami na ruchomych schodach. Nie był w takim centrum od czasów, gdy matka zabierała go na zakupy po mundurek i przybory szkolne. Och, przydałaby się mama. Ona wiedziałaby, jak tu się znaleźć.

Nick snuje się między działami, od elektrycznego po szkło i porcelanę, mija po drodze galanterię męską, bieliznę damską, obicia i materiały, sport, meble ogrodowe, ubrania dla dzieci i niemowlaków, wreszcie dociera do upominków. Jest jak łódź płynąca pod prąd. Co krok wpada na grupki zmierzających gdzieś ludzi. Każdy zdaje się wiedzieć, po co tu przyszedł. Tylko nie Nick. Czuje się zniechęcony i zgnębiony; zdaje mu się, że lada chwila straci rozum, że zostanie wtrącony do czyścica, którego bramy mającą mu na horyzoncie, odkąd Elaine wyrzuciła go z domu. Wielki sklep stał się szyderczą metaforą świata, w którym inni ludzie pędzą przed siebie jak w układzie scalonym i trafiają idealnie w wybrane ujścia; znają swe przeznaczenie, wiedzą, że mają mknąć ku lampom albo ku rajstopom. Tymczasem on dryfuje bezwiednie, niezdolny poznać ani swej drogi, ani potrzeb. To upokarzające, obraźliwe, to jakaś parodia, tyle tylko że dla niego nie parodia, lecz bardzo realne doświadczenie — jest tutaj, przyszedł z własnej woli i nie wie, dokąd pójść.

Widzi jednak znajome oznaki zwykłej codzienności. W dziale kuchennym przechodzi obok półek z czajniczkami i widzi taki sam czajnik, jaki ma w domu. Potem uświadamia sobie, że patrzy na takie samo krzesło, jakie stoi w pokoju Polly. Mija dziewczynę, która w uszach ma wielkie, okrągłe kolczyki, takie same nosiła kiedyś Kath — jednak natychmiast przegania Kath ze swoich myśli, nie ma dla niej czasu ani miejsca, trzeba ją odsunąć na bok, teraz i może na zawsze. Naraz trafia na siebie sa-

mego; widzi w lustrze odbicie zmęczonego, rozkojarzonego mężczyzny — nazbyt starego i za bardzo wyłysiałego — staje jeszcze bardziej bezradny, zagubiony i zdezorientowany. To nie może być on. Ale najwidoczniej to on.

Idzie dalej. Zatrzymuje się przed jakimś stoiskiem. Za ładą siedzi młoda kobieta; spokojna i życzliwa, uśmiecha się uprzejmie. To pierwsze osobiste zetknięcie z człowiekiem, jakiego tu doświadcza. Nad głową kobiety wisi szyld z napisem: „Informacja i obsługa”.

Przed stoiskiem widzi krzesło. Siada. Młoda kobieta nie przestaje się uśmiechać. Nick ma wrażenie, że zaprzeda jej swoją duszę.

— Już dziewiętnasty — mówi Sonia — a nam wciąż brakuje kosztorysu na ten ogród w Surrey. Dwa tygodnie po terminie.

Elaine rejestruje w myślach słowa Soni — nie pechowy kosztorys, lecz datę. No i co...?, mówi do siebie. Rocznicą ślubu? Cóż, na to wygląda, prawda? Wypada każdego roku o tej samej porze, jak sadzenie cebulek lub przycinanie róż. No i co?

Później, kiedy udało jej się znaleźć wolną godzinę na pracę w ogrodzie, data stawała jej przed oczami, wywołując rozmaite refleksje: a to, że Nick rzadko o rocznicy pamiętał, a jeśli pamiętał, to mylił daty i proponował uroczysty obiad tydzień wcześniej; a to, że krew ją wtedy zalewała; a to, że samo wesele jest w jej pamięci już tylko rozmazaną plamą. W jaki sposób wydarzenie tak znaczące w życiu, tak brzemiennie w skutki rozmyło się w kilka mglistych impresji? Kapelusz ciotki Clare, tortowy lukier twardy jak skała, który długo opierał się stali noża, Kath w szerokiej, płynącej w powietrzu, zielonej sukience.

Elaine sady miódunki i usiłuje skoncentrować się na tym, co robi. Ma mnóstwo roboty, ale od czasu wizyty u Mary Packard jest jakaś rozproszona, niezdolna do koncentracji. I wcale nie chodzi o to, że wciąż rozpamiętuje rozmowę z Mary Packard, że roztrząsa wszystko, co tam usłyszała, że mocuje się z mrokiem przeszłości. Chodzi raczej o to, by pogodzić się z nowym, poprawionym widzeniem świata, z nowym układem odniesień.

Dzień mija. Elaine pracuje nad projektem jakiegoś ogrodu, ale więcej czasu zajmują jej różne rozmowy telefoniczne. Do jej pokoju wchodzi raz po raz Sonia i o coś pyta. Także Pam pojawia się z pytaniami, a potem Jim. Elaine zamyka kolejny etap projektu i wreszcie, około piątej po południu, kończy się dzień pracy. Wszyscy się rozjeżdżają i ona zostaje w domu sama.

Nick nie mógł przyjechać o lepszej porze. Elaine bierze kąpiel, siada wygodnie w ciepłarni i odpoczywa; naraz słyszy, jak przed dom zajeżdża samochód.

Podchodzi do drzwi i widzi go — z paczuszką w dłoni.

Elaine jest tym widokiem tak zdumiona, że stoi nieruchomo, nie umiejąc wydobyć z siebie słowa. Bąka tylko: „Ooch...” Polly miała rację; schudł niemiłosiernie. Ale poza tym to ten sam, stary



Nick. Więcej nawet, to Nick z dobrze jej znanym, tajemniczym wyrazem twarzy, zapowiadającym długie i zawile wyznawanie grzechów.

Wyciąga do niej rękę z paczuszką.

— Ee... to szalik — mówi. — W kwiatki. Właściwie, mówiąc szczerze, pomogła mi go wybrać uczynna ekspedientka. Wiesz, w sklepie czuję się jak w afrykańskiej dżungli, nie za dobrze mi to idzie... Powiedziałem o tobie dwa słowa, no i uznała, że najlepszy będzie szalik w kwiatki. Ee... włoski, zdaje mi się. Jedwab.

Elaine nadal stoi nieruchomo, teraz trzyma w dłoniach paczuszkę. W jej głowie pojawia się zupełnie nowy obraz tamtego dnia sprzed trzydziestu trzech lat: Nick trzyma jej dłoń i wsuwa na jej palec ślubną obrączkę. Elaine przypomina sobie tamto uczucie, raptownie narastającą świadomość, że odtąd stanowi część drugiego człowieka; cokolwiek miałyby to znaczyć.

Nick wstał jedną nogą na ganek, niepewny, czekając na ruch z jej strony.

— To... — zaczyna Elaine — ...lepiej już wejść.

Wypowiadając te trzy słowa, dobrze wie, że Nick nie będzie już musiał tego domu opuszczać i że zgadza się na to, w każdym razie tak, jak zawsze się zgadzała.

— Słuchaj, wiesz, ile się na mnie ostatnio zważyło, prawda? — mówi Polly. — I teraz chyba wszystko się odkręca. Naprawdę, życie... No, ale przede wszystkim, wiesz, to chyba wygląda bardzo poważnie, to znaczy z Andym. Spędziliśmy razem cały weekend i... No, powiedzmy, że było wspaniałe i już. Co? Ach tak, jasne, w łóżku było bosko, ale, kurczę, tu nie chodzi tylko o to, nie? On jest taki... tak wiele rozumie. Z kimś takim można się związać. On nie jest taki jak inni, jak faceci, z którymi dotychczas byłam. Boże, wystarczy, że o nim mówię, a już mnie ciarki przechodzą, jakoś się dziwnie czuję. Wiesz, może to ten? Aha, jeszcze coś. Ojciec wrócił do mamy, a właściwie ona pozwoliła mu wrócić. Wchodzę do mieszkania w piątek późnym wieczorem i mam od niego wiadomość na sekretarce, że jest w domu, znaczy u mamy, i na początku tygodnia przyjedzie po swoje rzeczy. Jak gdyby nigdy nic, rozumiesz, sprawa jakoś się sama rozwiązała.

W młodości Oliver nieźle znał łacinę. Jeszcze dzisiaj się zdarza, że przemknie mu przez głowę werset z Wergiliusza czy cytat Juliusza Cezara. Teraz nie daje mu spokoju Eneaszowy lament *lacrimae rerum* — słowa aż grzmiące jękiem. Nauczyciel łaciny tłumaczył im, że tej sentencji nie sposób trafnie przetłumaczyć. Wypisał ją kredą na tablicy, wielkimi kulfonami, a pod spodem umieścił kilka fraz mających w przybliżeniu oddać tę myśl; łzy rzeczy, łzy świata, rzeczy płaczą. „Żadna z nich nie oddaje sensu, jaki tu wyczuwamy, prawda?“, mówił. „To piękna sentencja, sedno poezji, niech pozostanie nienaruszona“.

*Lacrimae rerum*. Tak, w istocie... myśli Oliver. Czymże są jego obecne zgryzoty i zmartwienia wobec upadku Troi, niczym przecież, doprawdy niczym nadzwyczajnym, lecz, mimo wszystko, takie słowa wydają się na miejscu i, co dziwne, są mu pocieszeniem. Nie odgania ich, obcuje z nimi, a któ-

regoś dnia umieszcza je na monitorze komputera, w różnych kolorach, stylach i czcionkach, czerwone, purpurowe, żółte, zielone, pogrubione, kursywą, Symbol, Tahoma, Times New Roman, co tylko chcesz. Żongluje nimi, przemieszcza je na ekranie, powiększa i zmienia kształty liter.

Kiedy Sandra przypadkiem zagląda mu przez ramię, staje w miejscu jak wryta.

— Jezu, co ty wyprawiasz?

— Ech... Bawię się. — Oliver jednym ruchem kasuje wszystkie słowa z ekranu. — No dobrze, zabieramy się do broszury klubu „Rotary”, kto robi schemat, ja czy ty?

Glyn pracuje. Oczywiście, cóż innego Glyn może robić? Zawsze pracuje. Zawsze pracował. Semestr dobiegł końca, nie ma więc wykładów, seminariów, studentów i kolegów z uczelni. Wiele godzin spędza w bibliotece i swoim domowym gabinecie, przygotowując się do dużego projektu badawczego dotyczącego dawnych systemów transportowych. Myśli o prehistorycznych traktach, o soli, spędach bydła i węgla; myśli o drogach, wodzie i torach kolejowych; przed oczami ma ciągle mapę brytyjskich wysp, sieć komunikacyjną, jej kolejne warstwy nakładają się na siebie, krzyżują, gubią chronologię. Glyn nie myśli o sobie. Nie myśli o Kath; albo mu się wydaje, że o niej nie myśli.

Fotografia znowu leży w szafie na półpiętrze. Glyn nie ma już zamiaru ani ochoty jej oglądać. Mógłby ją zniszczyć, ale niszczenie archiwalnego materiału nie leży w jego naturze i kłóci się z jego zawodowym instynktem. Niech tam sobie leży.

Glyn pracuje zakopany w papierzyskach — periodyki, rozprawy, książki, przedruki, kserokopie, mapy. Czyta, pisze, porządkuje informacje, interpretuje, reinterpretuje. Nawet kiedy robi krótką przerwę, to płynie kanałem albo sunie żelaznymi torami; gdy zaparza sobie kawę, to na kuchennym stole pojawia się system wód i zaczynają rwać nurty rzek; kiedy wychodzi do sklepu po gazetę, to rozmyśla nad połączeniami i przesiadkami, nad tym, jak można było przetrwać podróż.

Ale takie oderwanie od codzienności często go zawodzi. Glyn nieubłaganie wpada w zadumę. Myśli przede wszystkim o tamtym dniu. Kiedy wrócił do pustego domu. Nieraz jeszcze wędruje przez tamten dzień i widzi wszystko to co wtedy. Obrazy te same, ale wzbogacone o nowe mądrości — także on sam wygląda już inaczej.

Glyn wie, że musi teraz odszukać nowe życie z Kath, czy raczej życie z nową Kath. Musi się także uczyć życia bez niej, bo wie, że stracił ją po raz drugi — bezpowrotnie.